

An abstract painting by Jan Wolkers, featuring a large, vibrant red shape on the left side, transitioning into a complex, textured composition of yellow, white, and dark tones on the right. The overall style is expressive and gestural.

Jan Wolkers

**Rachat
-łukum**

Rudowłosa
piękność
i rzeźbiarz

Fascynacja
erotyczna

Fascynacja
artystyczna

Iskry

JAN WOLKERS

RACHATŁUKUM

Przełożył i posłowiem opatrzył Andrzej Dąbrówka

Iskry, Warszawa 1990

RASTAPOPOULOS: Ja - nieprzyjemny? Ja jestem największą szują na świecie! To przykre, ale prawdziwe, ani chybi.

CARREIDAS: Co to, to nie, ja jestem największą szują na świecie... A w dodatku jestem dużo bogatszy!

RASTAPOPOULOS: Możliwe, ale ja zrujnowałem swoich trzech braci i dwie siostry, a z rodziców wysałem ostatnią kroplę... I co pan na to?

CARREIDAS: To głupstwo! Ja byłem takim katem dla mojej ciotki-babki, że umarła ze zgryzoty!

RASTAPOPOULOS: No, dość już tego! Proszę natychmiast przyznać, że jestem gorszy niż pan!

CARREIDAS: Nigdy! Słyszysz pan? Niech prędzej umrę!

Jarzyny w garnuszku do golenia

Za cholere nie mogłem się pozbierać do kupy po tym, jak ode mnie odeszła. Przystałem pracować, przestałem jeść. Cały dzień mogłem leżeć w brudnej pościeli, przykleiłem sobie jej portretowe zdjęcia i akty blisko twarzy, tak że w końcu mi się zdawało, że jej rzęsy, pomalowane grubo tuszem, ruszają się, kiedy się brandzlowałem. I że jej wargi pęcznieją i wilgotnieją, gdy je wydyma, i że słyszę to co zwykle, kiedy finiszowała, tak na całe gardło, jak na początku, kiedy jeszcze nie nauczyła się chować rozkoszy dla siebie i dla mnie, tylko obwoływała ją na cały świat, przez co jakaś sąsiadka się jej pytała: „Cóż on ci takiego robi?” A jeden sąsiad powiedział: „Wy chyba trzymacie gromadę psiaków”.

Czytałem od nowa jej listy i wypisywałem z nich na ścianie zdania: *Po tym jak cię opuściłam, musiałam biec do apteki po watę, żeby opatrzyć krwawiące serce. Albo: Wczoraj wieczorem czuć było u nas w mieście zapach siana. Tak tęsknię za tobą. Kiedy do ciebie piszę, moja pizda wykonuje ssące ruchy jak buzia niemowlęcia. Zadręczałem się ustawicznym rozmyślaniami nad tym, co się między nami popsło, dlaczego ode mnie odeszła do takiego chuja złamanego, do takiego komiwojażera, do takiego wymoczka przegiętego w krzyżu. Włosy mi na głowie wędły z bólu od myślenia i grzebania się w tym. Nic nie znajdowałem, nie mogłem tego pojąć. Jak ona mogła dać się tak otumanić. Tej wrednej zgredzie, swojej mamusi. No to znowu się wytrzepałem z tym jej zdjęciem, gdzie ją widać nagą od tyłu. Trochę się unosi, tak że jej pośladki ciężko zwisają. Sraj, krzyczałem, wysraj się dla mnie, wyliżę ci gówna z dziury.*

Ale po dwóch tygodniach miałem dosyć i wylażłem z łóżka. Chudy i

brudny. W kuchni znalazłem na maszynie gazowej rondel z tym, co ostatnio ugotowała w domu. Dwa zrazy. Leżały pod pierzynką pleśni i kiedy je splukiwałem w ubikacji, mogłem rzeczywiście zarazem śmiać się i płakać, bo mi się przypomniał tamten zraz, który jako uczennica wysłała z internatu do Państwowego Urzędu Kontroli Jakości.

Wziąłem prysznic i wyszorowałem do krwi skórę szkieletem ogórka morskiego, który pookręcany był jej rudymi włosami jak nylonową nicią. I włożyłem najlepsze ubranie, i przyjrzałem się sobie uważnie w lustrze. Stwierdziłem, że z tą wychudzoną twarzą, starganymi lokami, w obcisłych czarnych spodniach i czarnej skórzanej kurtce wyglądam nieśmiertelnie pięknie. I z całą powagą, bo nie było mi do śmiechu, powiedziałem do siebie szeptem: „Szczęście w nieszczęściu”.

Ale potem było jak w tym kawale o Żydzie, który, jak go znajomy przyłapał wychodzącego z burdelu po pogrzebie żony, powiedział: „Ach, już sam nie wiem, co ja robię z tej żałości”. Rznąłem jedną pannę po drugiej. Włókłem je do swojej jaskini, zdzierałem z nich odzież i rypałem do upadłego. A potem szybkiego drinka i za drzwi. Czasem trzy jednego dnia. Biuściska zwisające jak worki czegoś papkowego z sutkami w sam raz do ssania. Żałosne skurczki, że nie było co głaskać. No to wtedy bez zdejmowania bluzki. Kępy włosów łonowych, szorstkich jak trawa morska albo miękkich jak futerko. Suche pizdy z krostami w środku. Wstrętne w macaniu, ale dla chuja dodatkowa przyjemność. Pizdy, których nie widziałem, bo zastawiała je rączka. Pizdy pulchne i nawilżone jak ciastko ponczowe. Czerstwe dziwy o biodrach jak gomóły sera, z prowincjonalnym akcentem i agresywne, które człowieka trzymały za kutasa, jakby to była korba świdra. Które ledwo złapały dech, a chciały się brać za zmywanie, mycie podłogi i szorowanie klozetu. Dziewuszki wtulające mokry nosek we włosy na piersiach z płaczem, że zgwałcił je ojciec, kiedy miały piętnaście lat. Indonezyjka, która zaczęła

mi odgrywać dziewicę i się mnie z głupia frant z tą śpiewną intonacją spytała: „Co ty mi zrobisz?” Rozkładałam ci kolanka i wsadzam ci kutasa, i będę cię jebał, aż przestanę czuć ten twój słodki oddech. Dawaj te swoje lepkie wargi. Wystaw język, to ci go zjem.

Kurewski ból głowy po przebudzeniu, kiedy znów jakaś wetknęła podpaskę pod materac. Krew brunatna jak syrop z jabłek. Mendoweszki, którymi cię oblepiały jak małymi strupkami, z pozdrowieniami od licznych przyjaciół z dalekich krajów. A wszystkie te przelotne spotkania zapisywałem w dzienniczku. Często wkleiło się jakiś loczek, niekiedy z włosów łonowych, jeśli która była gotowa tak się dla mnie poświęcić. To, jak je poderwałem, a czasem one mnie. I co mówiły, a co ja. Bo dla kobiety nie ma nic równie pociągającego jak mężczyzna, który cierpi przez utraconą miłość.

Ale po paru miesiącach chciało mi się od tego rzygać. Ustatkowałem się znowu co nieco i wynająłem frontowy pokój dwu amerykańskim studentkom, których nie tknąłem palcem. Studiowały historię sztuki i do ściany pomiędzy reprodukcjami *Baranka Bożego* Memlinga, a z nieodzownym autoportretem tego wariata z Arles z obandażowaną głową przypinały powiezonka.

*THERE IS NOTHING SADDER THAN ASSOCIATIONS HELD
TOGETHER BY NOTHING BUT THE GLUE OF POSTAGE
STAMPS.*

Albo:

*ONE WHO PUTS SALT IN THE SUGAR BOWL IS A
MISANTHROPE.*

Chociaż nie były katoliczkami, w każdy piątek przynosiły z targu zapaskudzoną gazetę mizernych płastug. Do posolenia kładły je po

prostu w zlewie, który był śliski od mojej flegmy i uryny i śmierdział zgniłą sałatą. Nie przyszło im do główek, że to trzeba robić na talerzu. Dlatego nic nie powiedziałem, jak raz postawiły na gazie mój garnuszek do golenia z nakładzoną zieleniną i widziałem, jak osad mydła z czarnymi włoskami rozpuszcza się w gotujących się jarzynach. Co było mówić. Zresztą same twierdziły, że w Ameryce wszystko czuć mydłem. Za to chyba po cztery razy dziennie chodziły pod prysznic, który był zaraz nad wc, tak że słyszałem plusk i chichot, kiedy rozsiadałem się na klozecie czytając gazetę. Przez te ciągłe kąpiele woda zaczęła przesiąkać przez szpary w odpływie. Najpierw tylko pokazała się na ścianie wilgoć, ale po paru miesiącach doliczyłem się siedmiu rodzajów pleśni. Potem zaczęły wyrastać ze ścian i sufitu wapnowate wypustki, tak jakby to ich pochwowa flora wysiała się przez sufit i owocowała parchatymi koralami. Na to też nic nie powiedziałem, no bo w końcu sam używałem natrysku. W inne dni, umówiliśmy się. Wchodziłem wtenczas w bieliźnię do ich pokoju. Siedziały na sofie, z tymi swoimi zadartymi amerykańskimi noskami w książkach. Głośno sylabizując po holendersku: Od katakumb do el Greca i tym podobne kawałki. Zdejmowałem slipy i koszulkę i niczym kupkę składałem na podłodze. Podejrzewałem, że zanim moje owłosione ciało znikło w natrysku, próbowały mi jeszcze prędziutko zajrzeć w dupę. I zaraz z powrotem czytały jedna drugiej: Giotto, Cimabue albo tych paru innych dziadków. Jeżeli byłem w dobrym humorze, wystawiałem głowę zza drzwi i wołałem: „Rembrandt to największy partacz siedemnastego wieku!” One zastygały i nie śmiały spojrzeć w moją stronę, bo nie wiedziały, co wystaje zza drzwi. Potem, śpiewając głośno *The Stars And Stripes Forever* odkręcałem kran.

Pod letnią wodą trzymałem w rękę sztywnego kutasa i wyobrażałem sobie, że wkraczam tak do ich pokoju, kładę się pomiędzy nimi i

pozwalam tym chwytnym dolarowym rączkom na zimno i mocno się obskoczyć. Że rozsmarowują mi nasienie po brzuchu i nalepiają znaczki odparowane od listów z Ameryki (od Grace Anderson alias Miss Lonely Hearts albo Babe Sherman), z wizerunkami statui wolności i łukiem napisu u góry: IN GOD WE TRUST, a pod spodem LIBERTY. Albo z podobizną jednego z tych historycznych wapniaków, jakiejś starej bezzębnej baby w odcieniu jasnej zieleni lub jasnego fioletu, kogoś z ich chwalebnej przeszłości bratobójców i morderców Indian, bizonów i Murzynów.

Ale nigdy do tego nie doszło. Owszem, na początku robiły uwagi na temat mojego wchodzenia i wychodzenia nago z łazienki. Nawet nie odpowiadałem. Szedłem na dół, kładłem kutasa na kawałku papieru na brzegu stołu, robiłem obrys, pisałem u góry MY PENIS i wsuwałem im pod drzwi. Nie odnalazłem tego ani wśród ich przysłów i reprodukcji na ścianie, ani w koszu na śmieci. Toteż przypuszczam, że jedna z nich nosi to po dziś dzień jak klejnot za nie dopranym pasem do pończoch, żeby dotykało gołej skóry.

Nasłaly na mnie amerykańskiego chłopaka, którego poznały w mieście. Pulpecika ostrzyżonego na zero i o wyglądzie misia, ale o złych jasnych oczkach. Przychodził jako pełniący funkcję starszego w kościele Jezusa Chrystusa mormonów. Widocznie mu pokazały mój rysunek i zapragnął rozpocząć nawracanie mnie od sprowadzenia erekcji do stanu normalnego pod hasłem: „Mój Zbawiciel wisi na Krzyżu”. W każdym razie na początek wręczył mi kartkę z kolorowym zdjęciem, przedstawiającym wąski budynek, strzegący kopuły świątyni podobnej do nieudanego jaja. Świątynia mormonów koło Salt Lake City w Utah. Kiedy zbierał się do wygłaszania mi kazania o Księdze Mormona, powiedziałem mu, że Amerykanie w ogóle nie są pobożni. Że myślą tylko twardymi dolarami. Że sam chyba dobrze wie, że mormon to skrót od

more money. Pokręcił głową i nic, nie dał się zbić z tropu. Bo przecież nie można od razu zacząć rzucać napalmem. Ale kiedy wyciągnął z kieszeni trzy małe figurki i postawił je na stole jak pionki do halmy, mówiąc, że to są święci apostołowie Peter, John i James, nie mogłem się powstrzymać przed rozpięciem rozporoka, wydostaniem chuja i powiedzeniem: „A to jest święty Habakkuk”. Kręcąc głową odszedł zasmucony z powodu utraty rynku zbytu. Ale trzech świętych apostołów zgarnął jeszcze pośpiesznie ze stołu jak drobne pieniądze. I tyle go widziałem.

Za to widywałem innych ich koleżków. Błędnych, koczących studentów amerykańskich, na stypendiach za skąpych, żeby wyżyć, a za dużych, żeby umrzeć. Bez wytchnienia wędrowali po ziemi niczyjej nieokreślonych dziewczęcych pokoikach, z głębokimi kieszeniami wystrzępionych wojskowych kurtek wypchanymi prażoną kukurydzą, gumą do żucia i żytnim chlebem. Od Stavanger po Neapol. Kiedy szedłem któregoś ranka do łazienki, naliczyłem ich piętnastu. Rozłożyli się na podłodze, pozawijani w końskie derki albo indiańskie chusty, śpiąc albo niemrawo przeżuając chleb z dżemem Truskawkowym. Stąpałem jak przez kolonię fok. Ostrożnie, żeby nie nadepnąć na ogon albo płetwę. Gdy trafił się jakiś z gitarą, całe popołudnie śpiewali pieśni ludowe. Jakies tam: Hop hop, jechał chłop. Czasem tak głośno, że sąsiedzi dzwonili prosząc, żebym trochę ściszył radio. Kiedy pytałem dziewczyn, czy nie goszczą teraz kogoś, z kim mogłyby się bliżej związać – miałem nadzieję, że reszta się wycofa – spoglądały grymasnie. I okazywało się, że ten jest „too hot to handle”, a znowuż inny „chewed his gum too loudly”. Byli to więc jedynie amatorzy spania na twardej podłodze, jedzenia i natrysku. A stalaktyty na suficie mojego klopa powiększały się niepokojąco, karmione bakteriami, łupieżem i strupami ze wszystkich pięćdziesięciu stanów Ameryki. Kiedy dobrały sobie jeszcze tuzin papużek i puściły je wolno na pokój, tak że wychodząc z natrysku

miałem między palcami pełno ptasiego łajna, a stopy podkurczałem z bólu – bo w podeszwy wrzynały się ziarenka karmy – miarka się przepełniła. Wyrzuciłem clochardów Wuję Sama, pchnąłem okna na oścież i trzepaczką posłałem wszystkie papugi na ulicę, jakbym grał w badminton. Dziewczynom, które blade i zapłakane próbowały w krzakach koło domu łapać papużki w tiulowe chustki, krzyknąłem, żeby wypieprzały razem ze swoją prażoną kukurydzą i swoimi *sweet potatoes*. Że z miejsca wymawiam im pokój, zanim te ich cholerne ptaszki zrąbią mi tymi swoimi krzywymi dziobami tynk aż po goły mur. Jeszcze tego samego dnia wywołały po południu sensację na ulicy, bo wyprowadzały się wioząc graty rowerową riksą w towarzystwie chyba dziesięciu chłopaków, z których każdy niósł po papudze w siatce, pospiesznie kupionej w pobliskim sklepie rybackim. Jeszcze przyszły się pożegnać. Trochę mi było łyso, uważałbym za bardziej zrozumiałe, gdyby mnie z wyrzutem zapytały, czy to ma być wdzięczność za plan Marshalla. Albo gdyby mi rzuciły w twarz to przysłowie, które zostawiły na ścianie wśród drańskiego bałaganu:

KTO TRZYMA SÓL W CUKIERNICY, TEN JEST MIZANTROPEM.

Skrzydła Hermesa

Wiedziałem, że spód głębokiego fotelika, w którym przesiadywał, był miniaturowym krajobrazem górskim z zaschniętego gilu. Wydobywał go z nosa małym palcem, kręcił kulki, które nazywał śrutem, i przyciskał je starannie do spodu listwy. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie mi o nim opowiedziała, bo bardzo kochała swojego ojca. Jej matka śmiertelnie się, tego wstydziła. Bo sprzątaczką odkryła to raz przy porządkach. Na początku myślała, że to jest klej stolarski albo żywica, i próbowała zdrapywać paznokciami. Ale nawet pod nożem odskoczyło

ledwo parę zlepków. Zostawiły więc te żółtozielone reliefy w spokoju, bo i tak wnet doszłyby nowe góry. Niczego nie dało się go oduczyć. Jaki był poczciwy, taki był, ale z tym gilem był jak uparte dziecko. Podczas jedzenia zawsze zwijał sałatę, zanim ją włożył do ust, boby pouciekały robaki. A kiedy w radio nadawali Marsza Radetzky'ego, przyspiewywał słowami: Dupa cyc, dupa cyc, dupa cyc, cyc, cyc. Dupa cyc, dupa cyc, dupa cyc, cyc, cyc, cyc. Dokładnie w takt. I oczywiście kiedy żony nie było w pokoju. Ale najbardziej lubił Młodych nicponi w wykonaniu Petera de Boordera.

Kiedy Olga była jeszcze malutka, zwymiotowała raz w czasie jedzenia na stół i wybuchnęła płaczem. Matka zła uciekła od stołu, a on wziął misia i kiwając nim nad wymiocinami powtarzał: „Misiowi zaszkodziło. Misiowi zaszkodziło”. Dopóki się nie roześmiała.

Pokochałem tego człowieka, jak tak siedział z czerwoną plamistą twarzą wciśnięty otyłym ciałem w fotel, kiedyśmy przychodzili w odwiedziny. Z tłustymi rękami kurczowo na oparciach, chyba że kręcił śrut. Mimo że za każdym razem powtarzał, że Amerykanie to nie cywilizowany naród, i stale na nowo pytał: „A znasz ten kawał o tych dwóch chłopakach, co wybierali się do Paryża? W końcu się nie wybrali”. I za każdym razem trzął się ze śmiechu w swoim ciasnym foteliku. Albo: „Kto liże królową od tyłu?” A jeżeli się patrzyło pytająco, jak przy pierwszym usłyszeniu, mówił: „Každy, kto nakleja znaczek na list”. I długo trzął się ze śmiechu, jak budyń w czasie bombardowania.

Był o wiele za gruby. Od lat był na diecie, o czym mówił: „Dieta, ale nie ta”. Kiedy nocowaliśmy u jej rodziców, jego żona była dla niego troskliwa i po kociemu łagodna. Tylko jednego kartofelka i ździebko sosu, ze spodu. Bo wątroba. Ale z tygodnia na tydzień robił się, cholera, coraz bardziej żółty. Jednego razu wstaliśmy z Olgą wcześniej od stołu, bo zśliśmy na film, a ja wpadłem jeszcze na chwilę do pokoju po papierosy, ona już

mu naładowała pełny talerz kartofli i polewała je właśnie zamasyście sosem. Spojrzała na mnie wrogo i jak winowajca. Przyłapałem ją na powolnym mordowaniu. Ale Oldze nic nie powiedziałem. Martwiłaby się nie mogąc nic na to poradzić. Nikt by nie powstrzymał tamtej przed dawaniem mu tłuszczów.

Nienawidziłem tej kobiety nie tylko z tego powodu, ale też dlatego, że zawsze chciała mnie po macierzyńsku przytulić, bo chodziłem z jej córką – a ja za każdym razem wyczuwałem miejsce po piersi, którą jej odjęli wraz z rakiem. Sztywny materiał pustego biustonosza. Że koniecznie chciała pokazać, że się jeszcze liczy, i co pięć minut zostawiała w łazience na pudełku z podpaskami pokrzwawione kneble zawinięte w gazetę. I zawsze wchodziła do naszej sypialni. Żeby przynieść śniadanie. Jajka ugotowane na roztrzęsione gówienko i biszkopty. A potem nieprzyjemnie długo i nie wiadomo po co jeszcze się kręciła, aż dostawałem snów na jawie, kiedy już leżeliśmy sami z Olgą pośród smrodu siarkowodoru z obciętego fachowo jajka. Że jej matka zdziera z nas koce, kutasa mi wsadza swojej córce, a łapiąc mnie za męderałę mówi: „Już ja się zajmę jajami”. A potem wytrząsa zza podomki swoją jedyną pierś z sutkiem wielkości żołądka i też wpycha Oldze. Więc z zemsty, bo to babsko już wtedy buntowało mi dziewczynę, miałem w łazience ochotę wziąć jej sztuczne szczęki, wybrandzlować się nimi i spuścić do umywalki.

Swojego męża poznała w szpitalu. On pacjent – ona pielęgniarka. Myjąc, wycierając kuper i mierząc temperaturę. Widziała mu cały interes, zanim on ją pierwszy raz pocałował. On bezkształtny, pocziwy i dobrze sytuowany. Ona zgrabna, biedna, chciwa i jeszcze wtedy z dwiema piersiami. Wyrachowana kobieta, wynosząca w tajemnicy z sali porodowej łożyska dla swojego psa, charta, któremu na spacerze, kiedy już załatwił swoją potrzebę, wycierała pupcię papierem

toaletowym. Żartowała przy koleżankach ze swojego grubego pacjenta, a one mawiały: „Jeszcze wyjdiesz za mąż za to swoje pośmiewisko”. Ale ona sama to już dawno obmyśliła. Tak go podpieszczała, tak mu dogadzała, że prosto ze szpitalnego łóżka wymanewrowała go na ślubny kobierzec. W krótkim czasie tak go utuczyła, że mogła być już o niego spokojna, a on nie mógł się prawie poruszać. Dawał jeszcze tylko radę jeździć, głęboko zapadnięty w siedzenie swojego amerykańskiego auta, do przedsiębiorstwa – hurtowni artykułów gospodarstwa domowego, którą po śmierci swojego ojca ochrzcił „Hermes”. Dzięki jej potajemnemu stosunkowi z pewnym niemieckim oficerem podczas wojny bardzo korzystnie nabył ogromną partię noży, tylko że nie mógł ich sprzedać, bo kanciasty model oraz stempel zdradzały pochodzenie. I jeszcze dziesięć lat po wojnie rozdawał je stałym klientom jako prezenty. Kiedy wracał do domu po dniu zipania za biurkiem, często jej nie było. Wtedy chodził bez celu po domu i nawoływał ją, jak grube chore dziecko. Olga, wracając ze szkoły, zastawała atmosferę smutku, rozpacz i nieufności. Wiedział, że u przyjaciółek, do których chodziła rzekomo na herbatę, jego żona przeważnie nie miała nic na sobie. I rzeczywiście, pewien przyjaciel domu, którego matka kazała Oldze nazywać wujkiem, powiedział raz do niej na plaży, kiedy miała trzynaście lat: „Mamy taki sam mały palec u nogi, patrz. Jesteś moim dzieckiem”. Wstrząśnięta i zdezorientowana, długo o tym myślała. Nawet po latach. Kiedy ojciec już się przyzwyczaił do przygód żony jako do czegoś nieuniknionego, uważał je nawet za wygodne. „To piękna kobieta – mawiał – a ze mnie albinos, słabo widzę. Ale niech upadnie szpilka – słyszę, gdzie leży”. Nieraz jednak mścił się na swój łagodny sposób. Gdy odbierał telefon i to był znowu jakiś jej muzyk albo aktor, kiedy ją zawołał i nadbiegała w różowych pantoflach z puchową obwódką i z głową całą w papilotach, mówił jeszcze prędko do słuchawki, tuż zanim ona ją wzięła: „Mówi

kalafior”. A pewnego razu poklepał dobrotliwie Olgę po pośladkach i powiedział: „Uważaj, bo czytam właśnie w gazecie, że znika z horyzontu blondyna o obfitych kształtach”. Matka spojrzała na Olgę zawistnie, jakby ją chciała obrabować z jej młodości. A mnie to podnieciło. Blondyna o obfitych kształtach. Przywabiłem więc Olgę na korytarz, wepchnąłem ją do wc i wziąłem na stojąco. Kiedy finiszowała, musiałem spuścić wodę, bo inaczej od jej wrzasku zleciałby się cały dom. Aż tu nagle okazało się, że z nim koniec. Któregoś dnia powiedział, że fizycznie czuje się jak druciana suszarka do naczyń. Położył się z powrotem i już nie wstał o własnych siłach. Gdyśmy przyszli następnym razem, był już hen daleko. A ona skończyła przy nim, tak jak zaczęła: jako pielęgniarzka grubego pacjenta. Wieczorem wystawiała z pokoju wszystkie kwiaty na korytarz, że wyglądało zupełnie jak w szpitalu. Chodziła strzepując błyskawicznymi ruchami ręki termometr, a ja zadawałem sobie pytanie, gdzie ona mu go jeszcze wtyka. Był już wtenczas kupą błota, a wilgoć przesiąkała przez materac i dom trzeba było obficie spryskiwać wodą kolońską, żeby zabić zapach rozkładu, który przyprawiał o nudności. Olga siedziała cały dzień mnąc nerwowo i bez celu chusteczkę do nosa z nabrzmiałymi policzkami i białkami swoich dużych piwnych oczu nabiegłymi krwią. A wieczorem leżała wiotka w moich ramionach wdychając, ze strąkami mokrych włosów przyklejonymi do twarzy. Ale tak lepiej było jebać to bezwolne, apatyczne ciało. I o mało jej nie namówiłem, żeby nie używać pessarium, bo nigdzie nie jest sensowniej zrobić dziecko, jak nad głową umierającego. W nocy budziła się wciąż z jękiem i szarpała mnie, dopóki i ja się nie obudziłem. Próbowałem ją pocieszać. A ona, wstrząsana jeszcze łzami, mówiła, że znów jej się śnił tamten koń. To była wojenna historia, jaką jej opowiadał jeden ze znajomych, który był na przymusowych robotach w Niemczech. Ze względu na nadciągających Rosjan i uciekających przed nimi Niemców

znaleźli się w Berlinie. W opuszczonej podmiejskiej dzielnicy. Mieszkańcy nie pozostawili nic do jedzenia. Siedzieli setkami jak szczury w pułapce przy ulicy między zwałami gruzów, nad którą fruwały granaty. Naraz nadbiegł koń. Usłyszeli stukot jego podków o bruk. Ludzie przepychali się do wybitych okien i patrzyli z zapartym tchem na zwierzę, które płochliwie biegło wśród kamieni i śmieci. Wtem otwarły się jakieś drzwi i na dwór wybiegł mężczyzna; doskoczył do konia wieszając się wokół szyi i próbując powalić. Ale koń stanął dęba i przewrócił się. Mężczyzna wyładował na wierzchu. Zaraz wychynął z któregoś domu inny człowiek. We dwóch wycięli kawał mięsa z zadu konia, który kwiczał przeraźliwie, zagłuszając odgłosy strzałów. Go chwilę ktoś wybiegał z któregoś z domów, dopadał konia i wracał z drgającym krwawym kawałkiem mięsa. Trwało to jakąś godzinę, zanim ustało rżenie. W ogromnej kałuży krwi leżały tylko kawały skóry, wnętrzności i gnaty oraz łeb z otwartym pyskiem o żółtych zębach. Gdy mi się udało uspokoić Olgę i sam się teraz borykałem z tym koniem, ona nagle powiedziała: „Moja matka to czarownica”. I zaraz zakryła usta dłonią, jakby zlekła się własnych słów. Gdy jej to przypomniałem rok później – bo matka jej wtenczas powiedziała, że jako atrakcyjnej wdowy nie zapraszają jej zamężne przyjaciółki – zaprzeczyła, że kiedykolwiek coś takiego mówiła. Ojciec umarł po kilku dniach. Przedtem wolno nam było jeszcze kolejno do niego wejść, mnie na ostatku – ostatecznie co obcy to obcy. Jego twarz była bezkształtną żółtą maską, a w wodnistych worach policzków zwisających na poduszki wiły się fioletowe żyłki, przechodzące w czerwone wysięki na tkaninie. Nie spojrzał na mnie, ale kiedy przy nim usiadłem, sprawiał wrażenie, jakby wiedział, że to ja. Przynajmniej powiedział dziwnym, wysokim głosem: „Bierzesz sobie tę moją rudą Olgę, co?” Nastraszyłem się, bo myślałem, że nastąpi jeszcze jedna sentymentalna historyjka. Że powinienem strzec jego córki, bo

była jego oczkiem w głowie. Ale to nie było w jego stylu. Powiedział – i zdawało mi się, że próbuje się uśmiechnąć: – „Znasz ten kawał o dwóch chłopakach, co wybierali się do Paryża?” Długo czekał i z trudem dokończył: „W końcu się nie wybrali”. I powtórzył to jeszcze raz, już prawie niedosłyszalnie. I stracił przytomność. Nie odzyskawszy jej umarł dwie godziny potem. W domu zrobił się prawdziwy sądny dzień. Rozhisteryzowana żona wpadała co chwila do jego pokoju i słyszeliśmy, jak wykrzykuje swoje wyrzuty sumienia i poczucie winy. Przeprowadzała z nim całe rozmowy, w których pytała go w kółko o to sarno. Potem przychodziła do nas zawodząc, rzucała mi się na szyję i mówiła, że teraz ja jestem głową rodziny. Żebym rzucił to rzeźbienie, bo i tak nie zarobię tym na suchy chleb, a w zamian został dyrektorem „Hermesa”. Przerazenie targnęło moim sercem, bo zobaczyłem siebie rozdającego do końca życia stałym klientom w prezencie te kanciaste niemieckie no że wojskowe. Przed kremacją w Velzen, tym supermarkecie śmierci, zrobiła jeszcze awanturę w dyrekcji, bo nie chcieli grać uwertury La Donna Diana Rezniczka jako nie dość uroczystej. Wprawdzie bardziej lubił Marsza Radetzky’ego, ale tego w ogóle nie brała pod uwagę, dobrze wiedziała, że nikt z rodziny nie mógłby go wysłuchać, nie słysząc przy tym jego przyśpiewu: Dupa cyc, dupa cyc, dupa cyc, cyc, cyc. I tak trumna została opuszczona w głąb tego podium przy dźwiękach fugi Bacha. Pomyślałem, że zamiast wieńców z kwiatami i wstęgi powinien pójść do pieca razem z trumną tamten fotelik z glutami. Ta rzecz była mu w końcu ze wszystkich najmilsza. Kiedy w kilka miesięcy później odwiedziliśmy jej matkę, która była zajęta przygotowaniami do wyjazdu na urlop zimowy, fotelika nie było. I nikt nie wiedział, gdzie jest.

Błękitne futerko

Jak ją spotkałem. Właściwie dwa razy. Tę rudą diabolicę. Choć tak nazwałem ją dopiero później, kiedy ode mnie odeszła z tym sflaczałym chujem i przy odbieraniu swoich rzeczy – maszyny do szycia, odkurzacza i jeszcze paru żałosnych rupieci – pokazała naraz, że potrafi, furia jedna, rozedrzeć takie ślepia jak mamusia. Ale to było dlatego, że kiedy jej kochanek dyżurował za drzwiami na wypadek moich nagabywań, próbowałem ją przelecieć na stojaka przed lustrem. Strzepnęła spódnice i tupnęła jak nauczycielka. Oboje się nawet smutno zaśmialiśmy. Ja dlatego, że coś, co było między nami takie zwyczajne, nagle okazało się niemożliwe. Dlaczego zaśmiała się ona, nie wiem. A jeszcze chciała przyprowadzić tego swojego, żeby mi go przedstawić. Ale powiedziałem, że jeśli on postawi jeden krok na mojej podłodze, to mu drągiem rozwalę łeb. Już ona wiedziała, że by tak było. Zobaczyłem ją pierwszy raz, kiedy próbowałem złapać okazję na szosie w Limburgii. Gdzieś w okolicy Roermond. Padała marznąca mżawka i za przednią szybą jej samochodu prawie nic nie było widać. W przeciwnym razie nie wystawiłbym nawet ręki. Taka piękna panna w takiej wielkiej gablocie. Studiowałem rzeźbę w Amsterdamie. W akademii. Najstarsze roczniki pojechały w zimowych miesiącach na zaproszenie miasta Valkenburg wykuwać płaskorzeźby w grotach Góry Świętego Piotra. Większe od człowieka religijne sceny, po których burmistrz i panowie rada oczekiwali ożywienia turystyki. Ja się zajmowałem wskrzeszeniem Łazarza. Ale przeszła mi prawie całkiem ochota, bo sknociłem głowę Chrystusa. W skale był skamieniały jeżowiec i żeby go wydobyć w całości, wykułem za dużo marglu. Po paru dniach skamielina, którą uwolniłem z głowy syna Bożego, rozpadła się w hotelowym holu na proszek jak bryłka brązowego cukru. Tego samego wieczora wdałem się w kłótnię z szefem

hotelu, bo miałem zastrzeżenia do naszego wyżywienia i zabrudziłem sufit. No bo rzeczywiście obrzydliwe żarcie nam wtenczas podetknęli. Potrawka myśliwska. Duże kęsy mięsa w brunatnej mazi. Jakby ktoś z gigantyczną sraczką nachapał się w pośpiechu. Artyści są żarłoczni i bezkrytyczni. Każdy już sobie chlapnął tego pełny talerz, ale ja odepchnąłem wazę od siebie i wałnąłem pięścią w stół. „To jest mięso z wieloryba” – krzyknąłem. I wszyscy zaczęli naraz tak ostrożnie cedzić, jakby się bali ości. Próbowali, smakowali, wączali. Zawołali kelnera. Nie mógł zaprzeczyć, ale uważał, że nazwa „potrawka myśliwska” jest jednak uzasadniona. Wieloryby zostały złowione przed laty przez Spółkę imienia Willema Barendtsa i przerobione na konserwy. Ale ludziom nie da się wcisnąć do żarcia byle czego i konserwy poszły po cenach dumpingowych do hoteli, bo liczyli na to, że zgłodniaли turyści będą bez oporów wcinać tę zupę z największych trupów świata. Każdy się bał połknąć choćby kęs, a ten i ów poszedł do klopa, żeby się wyrzygać albo przepłukać usta. Posprząтали ze stołu i nic innego nie dali do jedzenia. Tylko deserek w postaci różowego budyniu, takiego twardego, że jakeśmy wkurwieni ciskali nim o sufit, nie zostawiał nawet śladu. Na drugi dzień zawołali mnie do dyrektora hotelu, bladego spuchlaczka o podbródku przycupniętym do zwiędłej szyi, który bodajże miał zajęczą wargę. Jak się po swojemu do mnie odezwał, to od razu wiedziałem, dlaczego Niemcy po przekroczeniu naszej granicy w maju czterdziestego roku dopiero w Brabancji zauważyli, że są na obcym terytorium. Całkowicie zepsułem apetyt moim kolegom. Przepyszne danie, wysoce cenione latem przez niemieckich i belgijskich smakoszy i figurujące dumnie w menu jako Ragoût de Viande et de Legumes, przeze mnie poszło do świń. Zapowiedział mi, że złoży skargę u burmistrza, żeby mnie odesłali do Amsterdamu. Odparłem, że to całkiem zbyteczne, bo za parę dni, jak się skończy karnawał, sam mam zamiar wyjechać. I tak

właśnie zaliczyłem jeszcze i to jedno. Jak całutka ludność miasteczka, która przez rok nie śmiała spojrzeć na innego mężczyznę albo kobietę, szła na całość. Człowiek wchodził do swojego numeru i patrzył prosto w pizdę obcej babki, podczas gdy podpity facet koło twojego łóżka wydłubywał w pośpiechu faję z rozporka. A piwo przetworzone na nasienie wstrzykiwane było paniom gdzie popadło po korytarzach i chodnikach, gdy obok pędziły korowody i grzmiały śpiewy, z których pamiętam coś w rodzaju:

*„Oj, ta mała się udała,
zanim dała tak, jak stała,
Pokazała, co tam miała,
I wołała, kto da wała,
Mnie też taka by się zdała”.*

Zanim męska połowa ludności przyszła do siebie, z plamami zeschniętego białego krochmalu wokół rozporków, ale z głowami pełnymi odpuszczenia, ja już wyjechałem. Oprócz swoich rzeczy zabrałem jeszcze do wojskowego worka futrzaną kurtkę o wspaniałym błękitnym odblasku, którą znalazłem jak szmatę na korytarzu, z kleistą plamą w środku jako dowodem, że tylko celny strzelec zdobywa futerka. I tak ruszyłem na pobocze szosy koło Roermond. No więc była marznąca mżawka i mój oddech było widać jak dymek z tekstem przy ustach komiksowej postaci. Buty przymarzały mi do ziemi, a na spodniach robiła się warstewka lodu i trzeszczała, kiedy się poruszałem. Ale wszystkie niewygody poszły w niepamięć z chwilą, gdy cisnąłem swoje torby do bagażnika i zapadłem się obok niej w tej landarze, która zaraz zaszła mgłą, bo zaczął się na mnie roztopiać lód i poczułem na udach chłód od nogawek. Co jakiś czas musiała nagle zmniejszać prędkość, bo na drodze leżały duże gałęzie, które porobiły się za ciężkie od oblodzenia

i potrzaskały jak zapałki. Wtedy widziałem, jak jej nogi poruszają się, jakby stąpały po pedałach organów Hammonda. Ktoś przeciągał krajobraz obok nas po obu stronach auta. Brudne chałupy wśród byle jakich wiklin i ochrowych trzcin. Nudne jak flaki z olejem właściwie – gdyby nie to, że się siedziało koło takiej ślicznej panny, a przed oczami miało taki błyszczący pulpit, skąd Cliff Richard śpiewał *Living Doll*. „*Got the one and only walking talking living doll*”. Gdyby się na przykład musiało pedałowac tędy na rowerze jak o, tamten chłop okręcony szalikiem. Kiedy blade słońce przeświecało troszeczkę przez chmury, drzewa lśniły, jakby stały w stopionym szkle. A czasem wydawało się, że dajemy tam nura. Na ostrych zakrętach. Co rusz zerkałem w bok na jej twarz. Krągłe policzki z piegami. Te niesłychane rude włosy, o które już zapytałem, czy są prawdziwe, a gdy przytaknęła, powiedziałem tylko coś w rodzaju, że to jest wenecki blond. Ze śmiechem popatrzyłem na nią, kiedy trochę wtórowałem Cliffowi Richardowi: „*Look at her hair, it's real*”. Tymczasem myślałem o tym, czy włosy pod pachami i łonowe też ma takie rude. I troszeczkę się od niej odsunąłem na siedzeniu, żeby przynajmniej zobaczyć jej oczy, gdy spojrzy w bok, i nie dać się od razu zaczarować. Wspaniałe oczy. Najpiękniejsze, jakie widziałem w życiu. Piwne były. Prawie złote. Mimo woli przypomniawszy mi się, co powiedział mi kiedyś przyjaciel studiujący biologię, trzymając na dłoni pulchną żabę: „Jeśli kiedyś spotkam babkę o takich oczach, z miejsca poproszę ją o rękę”. Ale zaraz dodał „kurwa mać” i odstawił krostowate stworzenie do terrarium, bo mu naszczało na rękę. Mnie coś takiego by nie odstraszyło. Przecie to jakby aniołek siknął ci na język. I kiedy tak spoglądałem na jej twarz w tych piegach, wyobrażałem sobie, że z tym petem niedbale tkwiącym między wargami mógłbym mieć bombowy łobuzerski portrecik. A ponieważ nie rzuciło jej to jakoś na kolana, że jestem artystą, opowiedziałem jej trochę historyjek wziętych prosto z

życia amsterdamskiej bohemy, Tych przyzwoitszych. No bo nie chciałem obrzucać jej najgorszymi brudami realnego życia artysty, bębniąc pięściami w pierś i z rykiem rozochoczonego samca ruszającego do ataku. Jak to kiedyś w akademii wrzuciłem do pojemnika z gliną jasnowłosą modelkę i jak ją calutką tym tłustym burym błotem wysmarowałem. Darła się i gryzła, i chyba z godzinę stała przy umywalce w wyuzdanych pozach i wycierała się w stare fartuchy. Nie dodałem już, że się zemściła. Całkiem smakowicie. Bo kiedy wszyscy wyszli, przycisnęła mnie nagle do ściany i tak jak stała, zaczęła mnie brandzlować. A kiedy wystrzeliłem jej na dłoń, wzięła ręką duży powolny zamach i chlapnęła to na ziemię mówiąc: „O!” I majtając torebką wyszła z pracowni. Albo jakeśmy w pracowni anatomicznej sparzyli ze sobą dwa szkielety. Kiedy wszedł wykładowca – nazywaliśmy go Mistrzem Kościejem, bo traktował szkielety z taką troskliwością, jakby to były dziewczyny – można było pomyśleć, że to on sam ułożył to chroboczące jebanko. Bez zmruczenia oka zaczął od razu omawiać wszystkie mięśnie, które przy podobnej scenie muszą czynić swoją powinność. Dziewczyny siedziały jak piwonie i koniec końców wszystkich rozboleły głowy. Bo zeszło mu na tym bite trzy godziny. A kiedy rozłączył szkielety i podniósł je z podłogi, dymem z fajeczki, którą stale palił, dmuchnął dość bezczelnie na wskroś klatki piersiowej i powiedział: „Jeśli państwa jeszcze by interesowało, jak to jest, kiedy kobieta jest na wierzchu, proszę na przyszły tydzień ułożyć je w tej ciekawej pozycji”. Śmiała się od ucha do ucha trzęsąc brzuchem. A kiedy wyprzedzaliśmy ciężarówkę i przy tej gołodledzi musiała obie ręce trzymać na kierownicy, położyłem jej naraz dłoń na kolanach, które akurat wyglądały spod spódnicy. A nie była to skóra i kości, z tą sterczącą okropnie rzepką, ani też jakieś bezkształtne blade były. Były to wspaniałe, imponujące kawały rzeźb, jak mawiał nasz profesor historii sztuki, kiedy nawijał o greckich mistrzach. I ostatecznie

ja sam nie na próżno całe lata studiowałem anatomię. Nie odepchnęła mojej dłoni, kiedyśmy mieli ciężarówkę za sobą, ani nie ścisnęła kolan, kiedy przesunąłem rękę trochę wyżej na wewnętrzną stronę. Dlatego zaproponowałem jej, żebyśmy zjechali na bok i się pokochali. Widziałem, że oczy zaszyły jej mgłą. Dlatego drugą dłonią dotknąłem jej szyi i podrapałem ją króciutko w miejscu, gdzie kończyły się włosy, i ująłem lekko za koniuszek ucha, jak złapaną kawkę. Skręciła na boczny pas i zanim samochód stał na dobre, leżeliśmy już w swoich ramionach. Zsunęła się w dół z rozchyłonymi udami tak, że mogłem odsunąć jej majteczki i palce miały swobodę ruchów w jej wilgotnej szparze. Od szyi wsunąłem się pod bluzkę i gładziłem ją po plecach, które – jak się okazało, gdy z rozkoszy pochyliła się do przodu, aż mogłem zajrzeć w półmrok przełęczy między jej łopatkami – pokryte były ciemnymi cętkami jak plecy foteli w Royalu na Nieuwendijk. A ona lewą ręką – na szczęście nosząc w lewej nogawce – głaskała najpierw przypadkiem, a potem celowo ten kawałek sprężyny w moich jeszcze wilgotnych dżinsach. Drapała paznokciami po materiale i dosłownie chciała go poharatać na strzępy. Wyciągnęła mi z tyłu koszulę ze spodni i wsunęła dłoń do środka. Trzeba było teraz ją wydostać zza tej kierownicy na moje siedzenie. A jeszcze czy zechce, żeby ją przyszpilić między udami. Z lekka zacząłem ją popychać i o nic nie proszona, nie przerywając pieszczot, podsunęła się miękko pode mnie. Majteczki tylko odsunąłem na bok, żeby skomplikowaną czynnością nie dać jej ochłonać. Bo całkiem się rozplywała odurzona podnieceniem. Kiedy już byłem, gdzie trzeba, powiedziała jak w transie: „Tylko nie zrób mi dziecka, nie zrób mi dziecka”. I powtarzała to za każdym razem, kiedy finiszowała i po moim zziajaniu poznawała, że już. Ale ja stale się powstrzymywałem, beznamiętnie patrząc na pudełko stojące na tylnym siedzeniu, na którym niesamowicie wielkimi czerwonymi literami było napisane

HERMES S. A. - HURTOWNIA ARTYKUŁÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO. Kiedy już nie dałem rady, targnąłem się do tyłu, aż uderzyłem boleśnie plecami o tę całą błyszczącą guziczkami rozdzielnię - zapalniczka, światełko w te, światełko wewte, radio, wycieraczki. Ona, tak gładko jak przyszyła, wysunęła się na swoje miejsce. Coś sobie poprawiła między nogami i pogodnie naciągnęła spódnicę aż na kolana. I tylko rozciągając sztywno wargi przed lusterkiem wstecznym i wycierając poślinionym palcem rozmazania szminki, zapytała: „Nic się nie dostało, najdroższy?” O rany, najdroższy, pomyślałem sobie. Powiedziała to jakoś tak prawdziwie. Czyli nie uważała mnie za ogiera kryjącego, któremu mogła się okazynnie podłożyć. A zresztą może i tak. Też dobrze. Ale jednak najdroższy. Pokazałem jej, co ściekało po siedzeniu. I na to też popatrzyła zza jakiejś takiej mgiełki. A ja trochę jak Mackie Majcher powiedziałem: „Ani kropli, najdroższa”. I wtedy oboje się roześmialiśmy. Kiedy wycierałem plamę swoją chusteczką, zapytałem, czy mnie troszeczkę lubi. A ona na to: „Jakie troszeczkę. Myślisz, że bym się dla ciebie zatrzymała? Nigdy nikogo nie zabieram. Ciebie jednego”. I tak się nią zachwyciłem, że normalnie zapomniałem zasuwając zamek w rozporoku, że kutas nie jest jeszcze schowany pod slipkami. Wyrwał mi się okrzyk bólu i straciłem swobodę ruchów. Skóra mojego chuja dostała się do miedzianego suwaka. Najpierw śmialiśmy się z tego, bo myślałem, że jakoś się z tym uporam, jak wtenczas, kiedy zamkiem u koszuli zaciąłem się w szyję. Powiedziałem, że teraz byłby jak znalazł ten wynalazca zamka błyskawicznego z opowiadania Tucholsky'ego. Ale nic o tym nie słyszała. A ja wychodziłem ze skóry, ale to kurestwo nie chciało puścić. Wyglądało to dosłownie, jak kiedy człowiekowi przytnie coś tramwajowa szyna na rozjeździe. Do tego jeszcze z powodu bólu mój kutas sterczał komicznie tym swoim czerwonym czubkiem do góry, podczas gdy wcięta w suwak skóra

zrobiła się purpurowa. I przy najmniejszym ruchu musiałem wyc z bólu. Nie pozostawało nic innego, jak ostrożnie obcążkami rozłączyć ząbki zamka. Tylko że, cholerny świat, jak samochód długi i szeroki nie było ani śladu małych obcążek. Powiedziałem do Olgi, że musi gdzieś jechać, bo trzeba skądś pożyczyć narzędzie. Najpierw myślała o jakimś warsztacie. Ale tam trudno by nam było powiedzieć mechanikowi otwierającemu maskę, że to chodzi o pewien przewód w środku. Wytarła zamglone szyby i uszyła ostrożnie, bo przy najmniejszym wstrząsie jęczałem jak położnica. Skręciła w najbliższą boczną drogę i zatrzymała się przy wiejskim domku. Patrzyłem na nią, jak wchodzi na podest, z tą piękną dupą. Dzwonek. Otworzyła gruba kobieta z fartuchem na brzuchu. Zaczęła do niej mówić. Za długo. Co ona jej tam za głupoty wciska. I kiedy się, do kurwy nędzy, pokażą te obcążki.

Wyglądałem przez okno, robiło mi się niedobrze z bólu. Kobieta podreptała do środka. Po niej stanął w drzwiach skurczony człowieczek w wyblakłej niebieskawej marynarce roboczej. Zupełnie jak jakieś cholerne laleczki w higroskopie o kształcie domku. Znowu za długa gadka. Nie dziwota, że Marks nie miał wiele zaufania do proletariatu wiejskiego. Są poczciwi, bo są, ale zapłon mają wybitnie spóźniony. No a kiedy wreszcie pokazała się z obcążkami, to oczywiście chciał z nią iść. Napracowała się, żeby go zawrócić w pół schodków. No i nareszcie mogłem ząbek po ząbku rozbierać zamek, gdy tymczasem z chałupki zza fuksji czy jakiejś innej zieleniny nie spuszczały z nas oka. W końcu mogłem zacząć wydłubywać z mojego umęczonego członka jeden po drugim miedziane odłamki, które jak wędkarskie haczyki powczepiały się w moją skórę. Robótka w sam raz dla rybaka, a taka przynęta nie co dzień się trafia. Olga spoglądała nastraszoną, ale przeważnie nie patrzyła w to miejsce. Za to położyła mi ostrożnie dłoń na udzie, a ja powiedziałem coś w tym guście, że Pan Bóg raz okazał się rychliwy.

Kiedy już było po wszystkim i ulokowałem mojego kutasa jak rannego Galijczyka ostrożnie w slipkach, Olga odniosła obciążki. Nim wróciła, wysiadłem uważając na ranną część ciała i wydostałem z bagażnika futerko. Bo uznałem, że o ile ja czuję się na wpół obrany ze skóry, to ona zasłużyła na futerko. Powiedziała, że to niebieski lis. Bardzo kosztowne futro. Kiedy spytała, skąd to mam, powiedziałem, że zamieniłem się z kimś na bardzo rzadką skamielinę, na którą się przy pracy w grotach natknąłem w głowie Jezusa. Więcej o to nie pytała, zawróciła samochód i ruszyła ku szosie. Trochę milczeliśmy, bo niby co miała powiedzieć. Przecież nie, że głęboko współczuje mojemu kutasowi. Albo: jak tam twój chuj. Znaliśmy się zaledwie parę godzin. Ale naraz zaczęliśmy się śmiać. Jednocześnie. Coraz głośniej. I tak się wałnąłem po udach, że aż się zwinąłem z bólu. I myślę, że przez ten śmiech stał się tamten wypadek. Bo nagle auto znalazło się na lewym pasie, a z naprzeciwka coś jechało. Musiała tak ostro szarpnąć kierownicę, żeby zrobić unik, że wpadła w poślizg. Wydała z siebie taki okrzyk, jakby się zaczęła unosić. Samochód obrócił się wokół osi. Zobaczyłem, jak drzewa wzdłuż drogi zahustały się, jakby wisały luzem w powietrzu. Wtedy przejechał na drugą stronę jezdni i kropnął zderzakiem o drzewo. Poleciałem do przodu. Było to tak, jakby mnie coś z niesamowitym pędem wstrzeliło do lodowatego tunelu. Perkusja głośnych stuknięć. W ustach zrobiło mi się pełno ostrych, twardych odłamków. Wszystko wyplułem. Zęby, przeleciało mi przez głowę. Na twarzy poczułem letnie ciepło. Kiedy przeciągnąłem po niej ręką, była czerwona i lepka. Bałem się pomacać głowę, bo zdawało mi się, że ręką bym pogrzebał w mózgu. Potem spojrzałem na Olę. Zamarłem ze strachu. Wyglądała jak nieżywa. Leżała przerzucona do przodu z kierownicą w żebrach i z wystawionym językiem. Oczy miała po prostu otwarte. Miałem uczucie, jakbym z godzinę tak leżał w nią wpatrzony, zanim otworzyłem drzwiczki. Wyciągnąłem ją na

zewnątrz. Futrzana kurteczka opinała ją podarta. Tak ciasno, że bałem się, czy nie powstrzymuje jej oddechu, ściągnąłem to z niej i wyrzuciłem. Potem dźwignąłem ją na ręce i chwiejnym krokiem przeszedłem na szosę. Krew skapywała mi z głowy na jej twarz, ściekała po szyi pod ubranie. I tak z nią stałem. I beczałem, bo byłem przekonany, że się zabiła. Przejechały trzy samochody. Nie mogłem zrobić żadnego gestu. Trzymałem ją w górze i krzyczałem. W dwóch kierowcy patrzyli prosto w moją zakrwawioną gębę. Ale pruli twardo przed siebie. Po co sobie paskudzić samochód. Potem nadjechał stary angielski samochodzik. Morris jeszcze z wojny. Ten się zatrzymał. Wysiadł szczupły Anglik, który nadbiegł z wyciągniętymi ramionami, mówiąc całkiem spokojnie: „*Can I help you, sir?*” Kiedy przełożyłem Olgę na jego ręce, nogi mu się zgięły w kolanach i oboje padli na ziemię u moich stóp. Jej zakrwawiona głowa, uderzyła o jego jasny płaszcz. Jakim sposobem zabierając nas do szpitala dał radę umieścić ją i mnie na tylnym siedzeniu swojego malutkiego samochodziku, nigdy nie zdołam pojąć. Myślałem, że Olga sama wstała, ale nie mogła sobie tego później przypomnieć. Ani tego, że wołała: „Samochód, o, taki piękny nowy samochód”. Pamiętam tylko, że kiedy siedziałem na zielonej skórze tylnego siedzenia otaczając ręką jej drżące ciało, obmacywałem językiem zęby od tyłu. I wtedy wyjrzałem przez okienko na jej samochód. Wrak, który naraz stał się naszym samochodem. Przednia szyba była biała jak śnieg, a w miejscu, gdzie uderzyłem głową, było wybrzuszenie z małą dziurką na środku. Domyślałem się, że okruchy szkła stamtąd dostały mi się do ust. Wrak i wszystko dookoła niego było usiane sopolkami lodu, które oberwały się z drzewa od uderzenia samochodu. A wśród tego błyszczącego pobojuwiska leżała jak rozjechane zwierzę zeszmacona futrzana kurteczka.

Someday Sweetheart

Obejrzelismy Kaprysy i Dziwy Natury. Piszczel wrośnięty w drzewo. Cielę z zajęczą wargą. Mongołowatego cielaka opsiejąłowie, co przyszedł na świat u chłopca Hermsa w Winschoten 13 kwietnia 1952 roku. Pejczy z obozów koncentracyjnych. Grube od smołowatej krwi. Cielę o dwóch głowach. Blade paskudztwo w mętnej cieczy. Równie dobrze mogły to być szklane słoje z na wpół zepsutymi salcesonami, które cudem udało się zdobyć na zbankrutowanym wiejskim rzeźniku. Ale naraz dostrzegało się blade oko. Jak dziurkę na guzik w brudnej bieliźnie. Wróg ludzkości numer 1, RAK. To Trzeba Zobaczyć! No i zobaczyliśmy, a jej przez cały czas ze zgrozy nie przestawały chodzić po grzbiecie ciarki. Może dlatego, że myślała o swojej matce. Ale wtedy ja o tym nie wiedziałem. O tym amputowanym jednym szczycie. Olgę zobaczyłem poraz drugi w ogródku kramu z pęczkami w cieniu drzew amsterdamskiego Nieuwmarktu. Niespełna dwa miesiące po wypadku. Pewnie dlatego trzymaliśmy się z daleka od elektrycznych samochodzików, nie mówiąc o tym ani słowa, ani nawet nie żartując. Za to wjechaliśmy rozgruchotanym wehikułem do Gabinetu Okropności. Tym razem siedziała po mojej prawej stronie i było całkiem tak, jakbyśmy we śnie mieli powtórzyć tamten wypadek. Siedziała koło mnie cichutko, przyciśnięta, i ani pisnęła przy niciach oplątujących nam twarze, kiedy wapnisty pajak o korpusie wielkości orzecha kokosowego zaświecił się naraz niebieskawo na igelitowej sieci, ani wtedy, kiedy nagle w jakimś szkielecie zapaliło się światełko. Prerażający był ten kawałek ulicy, wtedy przez chwilę oświetlony w tych egipskich ciemnościach, i jasne szpary, oznaczające, że budynek jest złożony z osobnych płyt, które można zacząć przysuwać jedną do drugiej, żeby człowieka zepchnąć na zgubę i śmierć do napawającej grozą studni, jak w tym opowiadaniu Poego. Kiedy wyjechaliśmy z

ciemności przez wahadłowe drzwiczki, umieszczone na końcu szeregu olbrzymich żeber, które jak łuki przewieszały się ponad nami, wtedy wydała z siebie okrzyk. Z całej siły i przenikliwie. I wtuliła twarz w mój sweter. Pomogłem jej wysiąść, i mrużąc oczy od ostrego światła, ona w dodatku trochę zakłopotana, wyszliśmy poza teren jarmarku przez tłum liżący patyczki kwaśnych cukierków, pogryzający cukrową watę, włączący wielkie pluszowe misie, strzelający z wiatrówek, wśród jazgotu muzyki, pisku i dudnienia diabelskich młynów. Kiedy ją tam zobaczyłem siedzącą w kawiarnianym ogródku, znowu poczułem w ustach szkło z przedniej szyby. Jak ja się ucieszyłem, że znowu widzę ten rudy mglisty okaz. A ona, że zobaczyła mnie, bo odgarnęła mi z czoła włosy, żeby popatrzeć na drobne blizenki. Gdzie indziej też miałem, ale o tamte nie pytała. Zresztą bym nie mógł wyciągnąć z rozporka chuja, żeby jej pokazać, że fioletowe wgłębienia po ośmiu tygodniach jeszcze nie zniknęły. Jakby ktoś o perfidnie kwadratowych zębach kłapnął wzdłuż szczęką. Przez dwa miesiące nie chodziłem na zajęcia w akademii. W pierwszych tygodniach z powodu strasznego bólu mięśni po wypadku, przez co mogłem chodzić tylko o lasce, bardzo uważając, i w okularach słonecznych, bo mnie bolały oczy i wszystko widziałem podwójnie. Ale w szpitalu w Eindhoven, gdzie mnie prześwietlali i tak mi naciskali głowę, jakby mi chcieli skrócić kark, powiedzieli jednak, że nie było wstrząsu mózgu. A potem jeździłem parę razy w tygodniu do Alkmaaru w nadziei, że ją spotkam. Godzinami sterczałem w bramie na ukos naprzeciw ich przedsiębiorstwa. Na okrągłej, niebiesko emaliowanej tablicy z namalowanym Hermezem, w czapce, z kaduceuszem i skrzydłami u sandałów, miałem ochotę pisać: KOCHAM CIĘ! CZEKAM NA CIEBIE, WYJDŹ DO MNIE. NIGDY CIĘ NIE ZAPOMNĘ! Nad biurem, gdzie mieszkali, nigdy nic się nie poruszyło za oknami. A kiedy dzwoniłem, energiczny głos biuralistki mówił: „Spółka Akcyjna Hermes,

slucham". Wtedy prędko odkładałem słuchawkę, nic nie mówiąc. Bo kiedy za długo czekałem, ten sam głos dodawał oziębłe: „Niepotrzebnie pan znowu dzwoni, przecież pan wie. I tak nie połączymy pana z panną Olgą". Gdybym wtenczas wiedział o tych nożach z czasów wojny, byłbym się, już choćby po to, żeby dłużej pozostać w kontakcie z jej domem, podał za prezesa towarzystwa kempingowego poszukującego solidnych nakryć: „Noże mogą być jak najbardziej z wojny. Żaden problem, jeśli w metalu wryty jest napis GOTT MIT UNS albo HEIL HITLER albo WIR HABEN ES NICHT GEWUSST. Ale niestety, nie byłem jeszcze tak dalece wtajemniczony w arkana prywatnej inicjatywy. Za pierwszym razem, kiedy zadzwoniłem, przełączyli mnie na wewnętrzny i odebrała matka. Ani myślała wołać dla mnie do telefonu Olgę. A żeśmy razem o mały włos uniknęli śmierci, to żaden powód. Dostyc jednej szkody, nowiutkiego samochodu. I zapowiedziała, że gdybym się naprzykrzał Oldze, ona podejmie kroki, które na pewno nie sprawią mi przyjemności. Słodziutko, że do rany przyłoż, ale: mój mąż i ja w żadnym wypadku sobie nie życzymy, aby nasza córka utrzymywała podobne kontakty. O co jej chodziło? Że jako przyszły artysta nie mam widoków, żeby zarobić na suchy chleb? Albo chciała przez to powiedzieć: z takim typem, co siedzi w samochodzie mojej córki z rozpiętym rozporkiem? Bo to niewątpliwie usłyszeli na policji. Tam nawet przez sekundę nie wierzyli w dziurawą dętkę, przez którą miała stracić panowanie nad kierownicą. Po trochu nas podpuszczali, że jesteśmy młodzi, że to rozumiały, kiedy się ludzie trochę poobejmują i pogłaszczą. A skończyli na insynuacjach, że na pewno jedno z nas, a może i oboje trzymaliśmy ręce nie tam, gdzie trzeba. Pies policyjny z pewnością wyniuchał krople spermy we wraku, który wisiał w wozie transportowym na podwórzu komisariatu. I wciąż nieufnie patrzyli na mój stojący otworem rozporek, który przyciągał uwagę białym trójkątem poniżej kurtki. Z drugiej strony mogli przecież

pomyśleć, że to mi się zrobiło w wypadku, bo nogawice moich dżinsów były pełne rozdarć, jak kora rosnącego drzewa. „Więc to opona? I oboje państwo jesteście tego pewni”. Niezręcznie napisany protokół. Przeze mnie, dyżurnego takiego-a-takiego, sporządzony itede. Tak czy owak, teraz przecież ją odnalazłem. W drodze do mojego atelier powiedziała mi, że rodzice pojechali na urlop do Austrii. Na trzy tygodnie. Pomyślałem sobie, to mogłabyś sprowadzić się do mnie na trzy tygodnie, ale nie śmiałem jej tego zaproponować z obawy, że odmówi. Sama z tym wyszła. Kiedy siedziała za mną na rowerze obejmując mnie w pacie ramionami. I ja czułem wtedy, że z tyłu za pochylonymi plecami wiozę taki skarb, siedzący tą piękną mięsistą dupą na bagażniku, że przez to bardzo ostrożnie jechałem. Żeby się to wszystko na niej nie trzęsło. I postanowiłem sobie, że nie rzucę się na nią od razu jak to zwierzę, tak jak wtedy w jej samochodzie. Bo nie z czego innego biorą się wypadki i przykrości. I tak też było. Godzinami siedzieliśmy na podłodze atelier gadając, aż nie wiadomo kiedy zrobiło się ciemno. I w kółko nastawialiśmy jedyne dwie płyty, jakie miałem. Drugi koncert jazzowy Benny Goodmana: „*Hello, this is Benny Goodman and it seems to me that I have heard that thing before. You may have heard it too as well as the other numbers...*” W końcu znaleźmy to od a do zet. Z dziesięć razy *Someday Sweetheart, Stardust, My Gal Sal, Josephine, Everybody Loves My Baby, You Turned The Tables On Me.*

A w przerwach ona opowiadała różności. Najpierw o ojcu, bo jego najbardziej kochała. O jego manii dłubania w nosie. Składowisko śrutu na spodzie fotela. Że strasznie się śmiał całym swoim grubym ciałem, kiedy sztywna od tego wypadku wróciła do domu i z bólu nie mogła usiąść, i że wcale się nie gniewał z powodu auta. Że wszystkie jeremiady jej matki kwitował stale powiedzeniem: „Kobieto, co tu drzeć szaty o jakąś blaszaną puszkę?!” Że w czasie deszczu albo wichury podchodził

do okna i pocziwie mówił: „Jaka zła pogoda, zupełnie jak ludzie”. Pewnego razu umówiły się z jej koleżanką, że wyrecytują to razem z nim w chórze, dokładnie co do słówka, bo to już było coś jak wyliczanka. I wyrecytowały to dokładnie co do słówka. Tylko że on nie otworzył ust i trząś się ze śmiechu. Bo w niektórych rzeczach potrafił być po svińsku przebiegły. Że chodził po domu kaszłąc tak po staroświecku. Słyszała to aż w swoim pokoju, gdzie leżąc czytała *Pod skrzydłami mamusi* albo *Uparcuszka*. I jak kiedyś jej ostrożnie wyciągał paluszek z buzi, jak korek z butelki, mówiąc przy tym: „Twoje paluszki to przecież nie lizaki, laluniu”. Że matka powiedziała jej, kiedy jako dziesięcioletnia dziewczynka weszła do łazienki i zobaczyła to miejsce po obciętej piersi, wyrównane jak grabiami: „To się zrobiło od twojego ssania”. I potem długi czas myślała, że się traci piersi przy urodzeniu dziecka, bo niemowlę je zjada. O szkole podstawowej. O pierwszych chłopakach ze zbyt długimi rękami. Tych jednoręczkich: „Zwiążę cię jedną ręką!” Skrzyżowane ręce przycisnąć do piersi, przytrzymać jedną ręką, drugą można macać. Że kiedyś z którąś koleżanką związały szkolnym ręcznikiem w niebieską kratę chłopczyka z klasy. Koleżanka powiedziała wtedy: „Winnetou wolny, gdy zje robaka”. A on miał powtórzyć. „Winnetou wolny, gdy zje robaka”, powiedział potulnie i zmysłowo, z zadumaniem w oczach, jakby robił kupę. Przyniosły spod kamienia na boisku jakiegoś robaka i położyły mu na języku, który on wystawił, jakby się spodziewał opłatka. I z rozstawionymi wargami, żeby dobrze widziały, pogryzł robaka na kawałeczki i połknął. Potem powiedział: „Teraz jestem wolny”. Wypuściły go, a on poszedł do kranu i popił łykiem wody. Popatrzyła się na mnie z powagą i powiedziała: „Kiedy się zje robaka, to się jest wolnym. Naprawdę w to wierzę. Ale ja bym tak nigdy nie potrafiła”. Wzięłam ją za ręce, podciągnąłem, żeby wstała, i zaczęliśmy tańczyć. *I hadn't anyone till you, I never gave my love till you,*

And through my lonely heart... I zapaliłem parę świeczek, bo to było w czasach artystycznych prywatek przy świecach i cierpkim krajowym winku. Świece w pustych butelkach. I chcąc nie chcąc przypomniałem sobie, co ktoś kiedyś powiedział na takiej zabawie: „Takie pełne krągłe babeczki to się, proszę ciebie, nie szczypią”. W trakcie tańca uniosłem jej spódnicę i ściągnąłem majtki poniżej pośladków. Kiedy była odwrócona do lustra plecami, na dłuższy czas zatrzymałem obroty i tańczyliśmy w miejscu. I widziałem, jak te wspaniałe pośladki lekko się kołysały. Bezwstydnie przy świetle świec. I czułem się taki cholernie bogaty. Ale wtem ona się obejrzała i powiedziała na poły zgorziona i zdziwiona: „Tyś mi się przyglądał”. Chciała mnie puścić, żeby podciągnąć majtki i strzepnąć spódnicę. Ale kiedy szybko się obróciłem, żeby mogła zobaczyć, jak ja tańczę z tym kawałkiem jej nagości, przestała się opierać. Poczułem ciepło jej ciała przez spodnie, ukląknęłem przed nią i nie wiadomo kiedy miałem między wargami jej soczystą pizdę. A nie była to taka zwykła dziura obrośnięta byle jak chaszczami włosów, która sprawia wrażenie, że się cmoka mężczyznę z brodą i wąsami. Ani też takie wejście do rzeźni z dużymi wargami sromowymi kłapciaste na zewnątrz, jak brunatne drzwiczki salonu, gotowe przytrzasnąć człowiekowi jaja. Nie, choć tylko pobieżnie obejrzałem jej kozią bródkę, wiem, co zobaczyłem. Jak jej brzuch, z zabłąkanym tu i ówdzie na dół piegiem niby brązowa fasola wśród lśniącej pszenicy z Pieśni nad pieśniami, poniżej, po lekkim wklęśnięciu znowu przechodzi ku przodowi w wypukłość, prawie jak mała napięta pierś dziewczęca. Dojrzały różowy owoc o rudych włoskach, z bruzdką która się otwiera od mlecznej soczystości. Otuliłem dłońmi jej pośladki i przycisnąłem do siebie, i wetknąłem język w tę wilgotną bruzdkę. Zamruczała i stęknęła, a jej szpilkowe obcasy zastukały o podłogę w drżącym napięciu, naraz coś jakby pchnęło ją ku przodowi, i obiema rękami zaczęła przyciągać

moją głowę twarzą do tego miękkiego przepysznego miejsca. Potem pokręciła pizdą wokół mojego języka. Wreszcie odepchnęła mnie od siebie, ale broda zaczepiła mi się o gumkę w jej majteczkach rozpiętych sztywno między udami i zdążyłem jeszcze ją na odchodne liznąć ze smakiem. Mimowolnie przypomniało mi się, co przeczytałem we francuskim przekładzie Kamasutry: *Podniecone bezpośrednio ssaniem, oddechem i lizaniem wszystkich ich organów kobiety popadają w szal i tryskają w usta mężczyzny gęstym śluzem z gruczołów sromowo-pochwowych.* Zawsze myślałem, że to była przesada i że Henryk IV – królestwo za pizdę – który taki był na to łasy, że wręcz świata za tym nie widział, musiał być ofiarą swojej rozgorączkowanej fantazji. Uważał to za większy przysmak niż ostrygi. Otóż ją nie lubię ostryg, ale kiedy już miałem taką na języku, to patrząc na Olgę, jeszcze obracającą na wpeł zamkniętymi oczami i się rozkoszującą, musiałem kosztując przyznać, że to było smaczne. Olga naraz przycisnęła dłonie do włosów w kroku i powiedziała, że musi koniecznie wyjść. Powiedziałem, że śmiało może wysusiać się w moje usta. Ona na to, że jestem świntuch, i pobiegła do miejsca, które jej wskazałem, umywalki w drugim kącie atelier. A kiedy trochę zawstydzona, ale z przyjemnością wypuczona nad umywalką szczała, niedokładnie ukryta za dużym fikusem, ucieszyłem się, że nie przyjęła mojej propozycji. Bo dochodził stamtąd taki ciurkot, jakby jakaś koza pimpowała na kawał blachy. A taki byłem na nią napalony, że zanim skończyła, doleciałem do niej, wsunąłem z góry rękę między jej uda i pottrzymałem dłoń w tej wspaniałej gorącej urynie. A potem natarłem sobie tym twarz. Zrobiła obrzydzoną minę, ale ja powiedziałem, że nic nie pachnie tak pysznie, jak szczyzny zdrowej, młodej kobiety, o ile nie jest piwoszka. A w dodatku to działa leczniczo. Zwłaszcza na poparzenia pokrzywą. Potem wziąłem ją z tą mokrą pizdą na ręce i zaniósłem do łóżka, po drodze całując ją i liząc po całej twarzy. Nawet

uszy i dziurki w nosie. Gorzko i słono. Kiedy ją rozebrałem, na co mi pozwoliła ulegle i leniwie, poustawiałem dookoła łóżka na ławkach i skrzynkach butelki ze świecami. Potem usiadłem na krześle, żeby spokojnie na nią popatrzeć. Jak jej piersi nie opadają jak zbyt rzadki budyń, ale twardo sterczą z sutkami wskazującymi na sufit. A te sutki to nie były takie rodzyneczki, które jak się weźmie w dwa palce, to znikają, ale najprawdziwsze zwieńczenia imponująco sklepionych frontonów. Usiane setkami drobniutkich piegów, jakby posypane brązowym cukrem. A jej skóra między tymi wszystkimi brązowymi plamkami była taka biała, jakby ona zawsze się myła mydłem maślankowym. Leżała sobie spokojnie z tą swoją okrągłą, uroczą główką i kasztanoworudymi włosami faliście na poduszce, rozglądając się tymi dużymi ciemnymi oczami. Po atelier. Patrząc na rośliny, szkice aktów, w lustrze łóżko otoczone świecami. Wyszedłem na chwilę do ubikacji, a kiedy wróciłem, już spała z jedną rączką przy rudych włosach łonowych, a drugą przy policzku. Znowu usiadłem na krześle i dalej na nią patrzyłem. Wtem zobaczyłem, jak rozklejają się jej usta, do środka wchodzi kciuk i zaczyna się powolne ssanie. Jak długo tak siedziałem, zafascynowany tym uroczym stworzeniem, nie wiem. Jedna po drugiej gasły świece. Czasem z sykiem, kiedy reszta parafiny z palącym się knotem osunęła się przez szyjkę do butelki i tonęła w winnym osadzie. I usłyszałem, kiedy ptaki zaczęły jak oszalałe śpiewać, gołębie gruchać i burczeć na długo, zanim się rozwidniło. A gdy się zrobiło widno, ona się przebudziła z porannego chłodu. Położyłem się koło niej, narzuciłem luźno prześcieradło, i wtedy zaczęła się dla nas noc.

Jabłko zemsty

Kiedy te amerykańskie cipki ze swoimi papugami, albumami (ten smutas Dürer z trefionymi włosami), objającymi się koleżkami – nie mogę odeprzeć wspomnienia, że ich kalesonki były z jakiegoś elastyku, który ścisnął do kupy cały interes – dostały ode mnie krzyżyk na drogę, moje upojne życie zaczęło się na nowo. Albo zacząłem nowe upojne życie. Uszlachetnione samotnością i cierpieniem, można by powiedzieć. I tęsknotą do tej rudej. W każdym razie nie latałem już tak zawzięcie z kutasem na bacność, żeby go jak harpun wbić w pierwszy lepszy polec słoniny, jaki wychynie z odmętów wieczornego miejskiego życia. Nie, szukałem, jak to mówią, wewnętrznego kontaktu. Brałem do domu dziewczyny, po których było widać, że są w kłopotcie. Dziewczyny, z którymi można było rozmawiać godzinami, zanim została dobyta biała broń. O śmierci, nieszczęściach, chorobach, sutkach wewnętrznych, na co i tak nie ma rady, można było przykładać się do ssania z całą namiętnością, aż wschodziły jak ogniste pąki, ślina w ustach robiła się letniocłodna, a te siup, znowu przepadały w porowatej tkaninie tych młeczarni – o domu, rodzicach, młodszych siostrach, starszym bracie, kazirodztwie, jebaniu w dupcię i o trądziku młodzieńczym. Ale często wypadki toczyły się niespodziewanym trybem, bo słusznie powiadają, że kto z dziećmi spać się kładzie, zasrany wstaje. A tak samo ze stukniętymi. Elly na przykład, którą jak kreta wydłubałem z budki telefonicznej i za późno przy tym się spostrzegłem, że urwała się z zakładu. Jak mi wieczorem opowiedziała, że wycięła w dziecinnym krzeselku płótno, bo nasrała tam jej siostrzyczka, i że w domu na obrazach wszystkim ludziom ponakłuwała oczka, myślałem tylko, że jest grubą i głupią patologiczną kłamczuchą, fantastką. Ale kiedy obudziłem się rano, siedziała wyprostowana koło mnie na łóżku z takim

dziwnym błyskiem w oczach i rozdrapaną do żywego mięsa skórę na rękach. Kiedy ją zapytałem, coż na litość boską robiła, ona powiedziała: „A, naszła mnie chętka na kawałek skórki”. A do tego wszystkiego jeszcze mnie zdrowo podeszczała. Kalwinka Ewelina, czarne, zabiedzone chucherko z piersiątkami obwisłymi jak woreczek na datki na tacę i z piździajką wąską jak sardelka. Całą bożą noc rypałem ją w pocie czoła, żeby pomóc jej przeboleć fatalny rozłam w łonie synodu biskupów protestanckich z 1886 roku. A ta cipa mi rano cedzi przez zaciśnięte usteczka: „Brakowało mi Boga między nami”. Pewnie, że małe trio pomaga na różne rzeczy. Ale w żadnym razie nie wolno było wtedy żartować i mówić, że się jest w tych rzeczach lepszym od Pana Boga, albo złościć jej pytaniem, dlaczego Bóg, jeśli jest wszechmogący, to nigdy nie znajdzie pierwszego jajka czajki, tylko zawsze ktoś inny wręcza je królowej. Bo wtedy się dopiero zrywała burza. Operując sprawniej niż śmierć kosą cytatami z artykułów wiary podcinała skutecznie poranną pełnopęcherzową erekcję. Katoliczka Truus, tłusta od zażerania się rybim mięsem w piątki, a przy głębokich pocałunkach zasobna w ślinę jak kropielnica. Kiedy już wysłuchawszy wszystkiego, co jej leżało na sercu, chciałem ją przelecieć, okazało się, że ma okres. Faktem jest, że mówiła idąc do toalety, że jest boleśnie niedysponowana, ale kto mógł wiedzieć. Myślałem, że ma sraczkę. No i za późno się zorientowałem, że stosowała antykoncepcję systemu Niezauważalne Zabezpieczenie, tak że kutas utknął nagle na mieliźnie. Kiedy chciałem wsadzić jej od góry, powiedziała: „Nie po to Pan Bóg dał człowiekowi usta”. Próżno było zachęcać, że właśnie ma się zamiar udzielić świętej hostii. Bo wtedy była zdolna zawiązać ci chuja na kokardkę. Ale to wszystko i tak była kaszka z mlekiem w porównaniu z takimi, co zwracały się do ciebie per Stary Jaszczurze, Kociu albo Kudlu-Pudlu lub coś podobnego, co usłyszały w dukaniach rodziców po dwudziestu pięciu latach

małżeńskiej rutyny i stęchlizny. Albo z histeryczkami, co miały kompleks ognistego chłopaka znad Morza Śródziemnego, jak ta podła tleniona blondynka Bertie, która gdy się na chwilę wynurzyłem od niej, żeby iść do ubikacji, patrzyła za mną żarłocznie, mówiąc przy tym: „Chodzisz zupełnie jak włoski rybak”. W takich razach trzeba było mieć się na baczności. *O mamma mia*. Za parę dni dostałem list od jej prawnego opiekuna, którego zdołała przerobić na swata: „Z powodu kontaktu, jaki pan utrzymuje z Bertie, nad którą sprawuję kuratelę, byłbym wielce zobowiązany, gdyby zechciał pan mnie odwiedzić”. Zupełny dziewiętnasty wiek, jak w historyjkach z Camera Obscura. A za siedem miesięcy można ją było widzieć na Kalverstraat, jak człapała za wózkiem z ciemnowłosym dzieciątkiem o dużych piwnych oczach, niechybnie zrobionym przez włoskiego rybaka z łuskami i krwią tuńczyków we włosach łonowych, gdzieś o zmroku na plaży między Genuą a Neapolem, podczas gdy między jej mokrymi pośladkami skrzypiał piasek, a po wodzie niósł się zgiełk głosów i arii, jakby morze było najwyższą galerią opery w czasie przerwy. Surinamska Mulatka, która była statystką w zespole baletowym z Afryki i straszne katusze cierpiała z tego powodu, że ci czarni jak węgiel skoczkiem nie uważali jej za pełnowartościową: „Ty w ogóle jesteś nie wiadomo co. Kawa z mlekiem. *Du cafe et du lait*”. Która na wszystko, co powiedziałem, miała jedną odpowiedź: „Idź zrób szybko kupę, idź z tym prędko do toalety”. Która stroiła do mnie najdziwniejsze urocze minki przy udziale swojego bardzo ruchliwego noska i nazywała mnie Lubczyk Dupczyk, i obejmowała mnie, kiedy w odwet robiłem dzikie miny, mówiąc przy tym: „Potworku, no chodź, dam ci buzi”. Bładolica Willie, która się musiała zapatrzeć w fusy od kawy i do mojego atelier przyszła z wózkiem, w którym pod parasolem w białe kwiatki królowała między torbami zakupów urocze i spokojne Murzyniátko. I która mi dokładnie z okazaniem odcinka kasowego

wyliczyła, ile jestem jej winien za siekany befsztyk, który mój kot fachowo wypakował i zjadł między igrającymi nóżkami dziecka, kiedy myśmy się kochali. Annie, która twierdziła, że nienawidzi wszystkich mężczyzn, a to dlatego, że dawniej jej ojciec, czasem, kiedy był nie ogolony, brał ją na ręce, mówił, że da jej spróbować kruchego sucharka, i szurał swoim szorstkim zarostem o jej policzek. I wybuchał śmiechem, kiedy ze łzami w oczach uciekała. Nie chciała się ze mną pierdolić, odwróciła się do mnie kościstą dupą i powiedziała, że moje cholerowanie kojarzy jej się z chlorowaniem (na wkłęsło, chlorkiem żelaza – chodziła na kurs miedziorytnictwa). Kiedy ją jednak w środku nocy wziąłem po półprzytomnej szamotaninie splątanych nóg, nie mogła się spuścić. Choć starałem się być dla niej taki miły, jak tylko umiałem, i dawałem wszystko z siebie, było tak, jakbym próbował napompować przebitą dętkę. Dziewczyna z psem bokserem, która tak rozpaczliwie się we mnie zakochała, że chciała mi się oddać dopiero w noc poślubną. A kiedy do tego nie doszło, codziennie przechodziła stęskniona koło mojego domu odwracając głowę. Jedynie kiedy pies podnosił nogę pod pobliskim drzewem, spoglądała przelotnie w moje okna. Natomiast jeśli przycupnął na drżących tylnych łapach, żeby wydusić balaska, jakby zapuszczał korzeń, szarpała go niecierpliwie. Czerwieniła się ze wstydu po szyję, jakby to ona osobiście przede mną w kucki robiła kupę. W dniu urodzin położyła mi pod drzwiami dużą muszlę słodkowodnego małża, której środek z macicy perłowej wyמושczony był mchem, a na tym leżały czerwone jagódki, imitacje pereł i jeszcze jakieś śmietki. Obok leżała kartka z reprodukcją Picassa, dziewczyną o płaskiej twarzy, jaką sama miała, i wielkich melancholijnych oczach. Ona niestety takich nie miała. Na odwrocie napisała: „Jakże musisz być samotny, abys przestał to czuć. Jakże musisz być cichy, aby pragnienie przestało przemawiać”. Ale w końcu i tego było mi dosyć. Skończyłem z tym. Straciłem ochotę.

Zacząłem rzygać na sam widok spódniczki. Najpierw myślałem, że popadłem w impotencję po jednej dziewczynie, która miała takie zarośnięte piersi, że głowa człowieka leżała jakby między dwoma orzechami kokosowymi. Ale to nie było to. Nie mogłem tego po prostu odnaleźć. Niczego z niej. Z Olgi. U wszystkich tych dziewczyn, jakie przypadek nawiał mi ze wszystkich stron świata do łóżka, znajdowałem zaledwie maleńką cząstkę tego, czego tak usilnie pożądałem, za czym jak wariat tęskniłem.

Jedna miała jej oczy (prawie jej oczywiście, w przeciwnym razie już by mi to wystarczyło), inna jej pośladki, jej głos, jej pępek, jej biodra, była pocętkowana piegami na podobieństwo asfaltu Piątej Avenue w Nowym Jorku po paradzie z confetti, jak mój ukochany rudzielec. Ale gdybym nawet założył cały harem z tych cząstek i cząsteczek Olgi, nie potrafiłbym z takiej rozsypanej łamigłówki ułożyć pełnego jej wizerunku. I wtedy przyszło najgorsze. Zacząłem o tym chrzanić. O niej i o tym nieszczęściu. Jak wyglądała. Jej włosy, jej oczy; jeśli byłem bardziej spoufalony, o jej piździe, pośladkach, cycach. Jaka była. Że pewnego razu czyszcząc zamsem szybę powiedziała: „Czy zauważyłeś kiedy, że parapety mają specyficzny zapach?” Kiedy zapytałem, czym pachną, ona odpowiedziała: „Mokrym oknem”. Że kiedyś na samym początku spytałem ją, czy pójdzie ze mną obejrzyć Wiśniowy sad. A ona zachłannie i żarłocznie na to: „Tak, a gdzie to jest?” Kiedy jej powiedziałem, że to taka sztuka Czechowa, trochę się zawstydzila mówiąc, że o tym wiedziała, tylko chciała zapytać, w jakim teatrze grają. A jestem pewien, co sobie wyobraziła: że to jest sad, w którym za parę guldenów można się najeść wiśni, ile dusza zapagnie. Że w parę dni potem przyniosłem jej dużą torbę majowych czereśni i że się zaczerwieniła, ale pałaszując powiedziała: „To jest najgorsze w całej śmierci. Że się już nigdy nie będzie jadło czereśni”. Że któregoś rana

leżeliśmy długo w łóżku i pod naszym oknem rozległ się jakiś ostry kobiecy głos: „Uhu-uhuuu, Frits!”, na co ona powiedziała: „Ratuj się, komu Frits na imię”. I to o trutniu też często opowiadałem: „Jakby to było fajnie być trutniem. Gruby brzuszko w wełnianym swetrze w paski, na takich dwu skrzydełkach z gazy”. Gdy to opowiadałem, oczy mi napływały łzami (ona miała taki wełniany sweter w paski, ale go spaliłem, kiedy odeszła) i wtedy musiałem starać się, żeby nie mrugać, bo wtenczas spływały. Ale zanim do tego doszło, pożółkłe rączka jednej czy drugiej nieco zwietrzałej kariatydy (z tych podpierających ściany na zabawach) już mnie ze zrozumieniem obejmowały. Bo czego jak czego, ale bezbłędneho instynktu w ocenie stopnia wilgotności twoich oczu nie można takim odmówić. I wtedy dopadają cię pikującym lotem, jak motyl kielicha kwiatowego pełnego nektaru. Gdybym ja mógł napisać: Widzimy bohatera niniejszej opowieści w tym stadium kryzysu duchowego, kiedy doprowadzony przez zadumę nad sobą samym i samotność do rozpaczliwego stanu, dostaje silnego przechyty w stronę pocieszycielskiej damskiej piersi. Gdybym mógł tak ironicznie sobie o tym pisać. O sobie jako bohaterze. Wówczas nie byłbym ofiarą tej historii, a trzymałbym wszystkie sznurki mocno w garści. Ale nie widzę, kurwa mać, żadnego bohatera. Widzę siebie i wszystko, co we mnie jest żalosego. Z tymi krokodylimi łzami i w ogóle. Widzę się na przyjęciu przyciśniętego w kącie do jakiejś starszej kobiety. I nie, żeby od razu jakiś masaż, jakby kto myślał. Czysty przypadek syna marnotrawnego. Ona otoczyła mnie pocieszycielsko ramionami, podczas gdy za nami wśród niedopałków i rozchlapanych napojów całe to stado wściekłych bawołów galopuje od *Rock Around The Clock* do *Yes Tonight Josephine*. I niech mnie kule biją, przecież się nie wyprę, że właśnie toczę słowa. Widać to po moich barkach. Że próbuję się powstrzymać. Wypłakiwać się u jakiejś pierwszy raz w życiu spotkanej baby! I to w dodatku jakiejś

szantrapy. Gdyby była inna, to przecież już by tańczyła rocka albo na bosaka szłała się w ludowych wygibasach. Z wielkimi siekaczami zawadzającymi przy mówieniu o dolną wargę. I tak stałem się znany na przyjęciach. Milczący chłopak o nieodwołalnie białych jak marmur i przedwcześnie zapadłych policzkach. Romantyczny poeta suchotnik Piet Paaltjens w nowym wcieleniu z tworzyw sztucznych. A czasem usłyszałem, jak ktoś w pobliżu rzucił w rozmowie: „To chyba była tamta ruda, co?” albo „W naszych czasach to się prawie nie zdarza. Każdy się cieszy, jak mu się stara zmyje”. A bardziej chropawe natury: „Też ma się, kurde, czym przejmować. Przecież wszystkie są takie same, jak się już ich dosiędzie. Byle którą, byle z dziurą, powiedział chłop i przystawił się do swojej świni”. Ale te wszystkie pocieszające mamuśki czegoś mnie nauczyły. Bo nieraz miały córki w tym samym wieku co Olga. I jedna z tych żądnych władzy zgred powiedziała mi kiedyś, gdy rozmowa zeszała na moją teściową – tamtą z jednym cyckiem – i się jej spytałem, jak matka może córkę tak z pełną świadomością wpędzić w nieszczęście: „Każda matka jest dla swoich córek macochą”. I wtedy olśniło mnie coś, co Olga na samym początku mówiła, że początek bajki o Królowie Śnieżce zrobił na niej jako dziecku takie okropne wrażenie, że matka nigdy nie chciała jej przeczytać tej bajki, bo uważała ją za zbyt okrutną. Ale ojciec czytał. Królowa, która patrzy na padający śnieg przez okno w ramie z czarnego hebanu. Kłuje się igłą w palec i patrząc na krew mówi: „Chciałabym mieć dziecko tak białe jak śnieg, tak czerwone jak krew i tak czarne jak heban”. Czern, biel, czerwien. Te kolory utkwiły jej na zawsze w pamięci jako bajkowy strach. I nagle pojąłem, że matka nie chciała jej tego czytać wcale sobie tego nie uświadamiając, ponieważ bajka podstawiła jej pod nos lusterko, mówiące nie tylko to, kto w kraju jest najpiękniejszy, ale i to, co zrobić z zatrutym jabłkiem, które się trzyma na podporządku dla swojej pasierbicy. I już ją widzę, to

wstrętne, podłe babsko, przebrane za staruszkę, a w gniewie mało mi się nie napisało: specjalnie się nie musiała do tego przebierać. Widzę, jak wyciąga jabłko z za pazuchy. I dostrzegam, że wypycha mojej ukochanej w usta nic innego, jak swoją zrakowaciałą, pełną zgnilizny i trującą pierś. I rozumiem teraz, że od samego początku na wszystko było za późno. Wiem, że już nigdy nie będzie możliwe, aby zatruty kęs wyskoczył jej z gardła, a ona żeby siadła prosto i zapytała: „Gdzie ja jestem?” I że ja nigdy nie będę księciem, który powie: „Jesteś przy mnie. Kocham cię bardziej niż cokolwiek na świecie”.

Requiem dla nieżywego wróbla

W atelier, które wtenczas zajmowałem, mieszkał w czasie wojny jakiś bojownik ruchu oporu, rozstrzelany przez Niemców. Po wojnie umieszczono na frontowej ścianie brązową płytę z napisem ZGINAŁ ZA OJCZYZNĘ. Pod nią na zardzewiałym gwoździu, który przez resztę roku jakby zapraszał, żeby się na nim powiesić, pojawiała się rokrocznie wiązanka kwiatów. Kępa wilgotnego torfowca z wetkniętymi białymi i czerwonymi goździkami oraz niebieskimi irysami. Nie wiem dlaczego, ale nienawidziłem tych kwiatów. Każdego roku, zanim zdążyły zwiędnąć, zabierałem je z muru i wyrzucałem do kosza na śmieci. Kiedy dmuchał wiatr, wstążka z napisem RUCH OPORU ARTYSTÓW 1942-1945 furkotała wściekle za szybami. Odkąd Olga poszła sobie z tym gnojkiem, za każdym razem podrywało mnie to na nogi: kiedy myśląc o czymś innym wchodziłem do kuchni i nagle kątem oka zauważałem poruszającą się w słońcu jedwabną szarfę. Przenikał mnie dreszcz przestachu i radości, że wróciła, bo wyglądało to na jej sukienkę z wieloma kokardkami i tasiemkami, jaką zaczęła nosić, gdy ode mnie odeszła. Że stoi pode drzwiami i boi się zadzwonić. Krótco potem, jak u

mnie zamieszkała – po wszystkich korowodach z domem, ojcem, który bardzo do niej tęsknił, matką, która w głębi serca cieszyła się z tego, że mała przestała jej mieszać szyki, ale z prostej zajadłości nie chciała zostawić nas w spokoju i kazała się zakładowemu kierowcy przywozić pod nasze drzwi, żeby, drepcząc jak rozjuszona kwoka, przez bite pół godziny bez przerwy do nas dzwonić – dzieci z sąsiedztwa znalazły w rocznicę najazdu niemieckiego, czwartego maja, nieżywego wróbla. Tuż pod naszym oknem pochowały go na trawniku. Na grzbiecie, z wystającym łebkiem, żeby nie naleciało mu do oczu piasku. Zaraz potem przysłała kobieta i przed oficjalną uroczystością położyła na ziemi bukiet narcyzów. Dokładnie u stóp wróblej mogiłki. Chciało mi się strasznie śmiać, ale Olga oczywiście jak ta głupia poleciała na dwór i w kucki przyglądała się tej wystającej nad ziemią główce, bo bała się, że on jeszcze żyje. Zawołałem ją do domu, bo przeczuwałem, że to się źle skończy. I oczywiście zaczęła gadać o zmarłych członkach rodziny. Ciotka Zocha dostała u nich na schodach udaru serca i skacząc jak worek kartofli zjechała na brzuchu w dół. Inna ciotka wyschła powoli do cna, chora na raka. Z której podczas mycia wałkowały się zacierki martwego ciała i przywierały do rękawic. Dziadek, który umarł u nich w domu, kiedy miała dwanaście lat. Nie mogli mu zamknąć powiek. Stale się przez szparkę patrzył. Pewnie ze strachu o HERMESA, gdyż pod kierownictwem jego grubego pocziwego syna przed firmą nie rysowała się świetlana przyszłość. I przez to się rozbeczała, bo u tego wróbla matowo pobłyskujące oczy też wyzierały przez szparkę. Bo w ogóle była ulubienicą dziadka i zawsze od niego dostawała prezenty. Histerycznie szlochała i kazałem jej przestać. Ale nie umiała tego sama opanować. Nadstawiła mi twarz i powiedziała, żebym ją uderzył. To wtedy jej przejdzie. Powiedziała, że ma to jeszcze z dawna. Że i tak tego nie zrozumie. Z miejsca uderzyłem ją mocno w mokre policzki. Kiedy

wciąż nie przestawała, rzuciłem ją na łóżko, zdarłem kieckę, ściągnąłem majtki i z całej siły dałem jej na płask parę klapsów w tyłek. Aż skóra zaczerwieniła się i nabrzmiała, i pośladki nabrały strasznie apetycznego wyglądu. Jakby gołą pupą wyczochrała się o pokrzywy. Wtedy przerznąłem ją trzymając dłonie pod jej rozpalonym siedzeniem. Wilgotna twarz z pozlepianymi strąkami rudych włosów przy moim policzku. Jej zdyszany szlochający oddech w moim uchu. Spuściła się z takim zwierzęcym krzykiem, że pomyślałem sobie, jak to mogło zakłócić uroczyste przemówienie rocznicowe przed domem. Kiedyśmy wstali i ciągnąc pizdą i kutasem nitki spermy podeszli do okna patrząc na grupki ludzi, którzy po wszystkim jeszcze stali i rozmawiali, powiedziała mi, że cały czas nie mogła oderwać się myślami od swoich figurówek z brązowymi trzewikami, które dostała na urodziny od dziadka tuż przed jego śmiercią, i że nawet w dniu jego pogrzebu nie mogła sobie odmówić tego, żeby pojeździć. Dlatego miała teraz uczucie, jakby zamaszystymi łukami żeglowała poprzez mroźny dzień zimowy, kiedy był grzebany ten stary człowiek. Że przez to nie myślała o pogrzebowym przemówieniu na dworze. I powiedziała, że bym zakopał tego wróbelka całego, bo inaczej stale będzie o tym myślała. Ale zanim mogłem to zrobić, nasz kot już go wniósł do bramy. Znalazłem go, wsunąłem na kawałek gazety, zawinałem i wrzuciłem do kosza. Nic o tym nie powiedziałem Oldze, a ona potem już nie pytała, gdzie on się podział. Razem z kwiatami, które na moje polecenie zdjęła spod tablicy i wsadziła do kosza, wszystko pewnie u niej poszło w zapomnienie. Czy zepchnęła to do wspomnień razem z łyżwami i trzewikami, które jeszcze wcześniej, gdy się zrobiły na nią za małe, powiesiła w swoim pokoju na ścianie, otoczywszy starymi fotosami Soni Henie, i które chciała zachować na zawsze? Kiedy zamieszkała u mnie na dobre, matka zadzwoniła do Armii Zbawienia i oddała te łyżwy oraz prawie wszystkie zabawki i

dziewczęce książki. Lalki ona sama przedtem oddała. Kiedy jeszcze była w takim wieku, że mogła się bawić lalkami. Z płaczem i bólem serca, bo bez przekonania. Ale nie było innego wyjścia. Nie mogła patrzeć na lalki. Kiedyś dostała taką wielką lale. Prawie wielkości niemowlęcia. Mówiła „mamo” i otwierała i zamykała oczy z długimi rzesami. Codziennie ją rozbierała i robiła jej kąpiel. A rano przed pójściem do szkoły wtykała kawałeczki chleba do otwartej buzi. Po jakimś czasie wydało jej się, że lalka zachorowała, bo przestała mówić „mamo”, choćby nie wiem jak nią wymachiwała. A kiedyś nachyliła się nad kołyską i zobaczyła, że twarzyczkę lalki oblażą robaki, które macając przed sobą drżącymi trąbkami wychodzą z lalczyniej buzi. Chciała krzyczeć, ale nie mogła. Włożyła czubki palców w usta i zacisnęła zęby. I tak stała wpatrzona, póki nie przyszła matka, żeby powiedzieć, że spóźni się do szkoły. Płaczącą odciągnęła ją od kołyski. Kiedy wróciła ze szkoły, ojciec nalał wybielinki do wnętrza lalki. Usta utraciły przez to barwę i po policzkach rozchodziły się wyżarte promienie. Zgiętą szpilką do włosów próbował wydlubać tę obrzydliwą bryję, ale w połowie roboty miał dość, tak że kiedy się poruszyło lalką, to coś w niej chlupało. Nie chciała jej więcej trzymać, a i innych lalek też. Nie chciała też oddać ich koleżankom. Wszystkie trzeba było wyrzucić, zakopać. No i tak ojciec, poczciwy grubas, bo matka chciała po prostu wrzucić wszystko do kosza, zawinął rękawy koszuli i wykopał w ogródku dołek i je tam zakopał. O tym wszystkim Olga opowiedziała mi dużo później i dlatego wtedy zastanawiałem się, czy to tę historię z lalkami miała na myśli wtenczas, jak mówiła: „To mam jeszcze z dawna. I tak tego nie zrozumiesz”. Bo miała takie swoje tajemnice, o których człowiek czegoś się dowiadywał bardzo powoli. Dopiero po dwóch latach bycia razem zorientowałem się, że jej górne siekacze nie były naturalne. Miała wspaniałe mocne zęby. Białe i takie zwierzęce. Dbała o nie z chorobliwą

skrupulatnością. Natychmiast po jedzeniu wydobywała resztki jedzenia spomiędzy zębów wykałaczką z przyciętego gęsiego pióra. Potem akuratnie je szorowała z ustami pełnymi piany. Pewnego razu, kiedy stojąc przed lustrem znów drobiazgowo usuwała z zębów resztki jedzenia, naraz wydała okrzyk. Z grymasem na twarzy i otwartymi ustami podbiegła do torebki, wydostała małe lusterko i wetknęła je do ust pod kątem do dużego lustra. Z oczami rozwartymi szeroko ze strachu badała od tyłu zęby. Kiedy zapytałem, co się stało, wskazała tylko ze wstrętem na wykałaczkę, upuszczoną na podłogę. Podniosłem ją i zobaczyłem na niej robaka. Powiedziałem, że oczywiście resztki jedzenia dostały się do środka pióra i że jakaś mucha złożyła tam jajeczka. Ale nie dała się uspokoić. Uparcie wierzyła, że wydobyła go ze swoich zębów. I wtedy nastąpiła historia ze wstawianymi zębami. Że zawsze miała takie uczucie, jakby w każdej chwili mogły powypadać. Ponieważ jeśli korzenie by spróchniały, to nic by nawet nie poczuła, bo były zatrute. Że jako trzynastoletnia dziewczynka spadła z żelaznego ogrodzenia skwerku. Akurat na usta. Ułamały się dwa górne siekacze, ale jeszcze parę lat tak chodziła. Jakiś chłopak z klasy powiedział, że wygląda jak gniazdko elektryczne, a ponieważ jej rude włosy były wtedy jeszcze jaśniejsze, przezywali ją w szkole Lampką z Abażurem. Uśmiełem się z tego i rozczulony przytuliłem do siebie. Ale ona mnie odepchnęła, podeszła z poważną miną do telefonu i zapisała się do dentysty.

Automat z niespodziankami

Kiedy widzę dzikie kaczki na niebie, zawsze mi się przypomina, jak powiedziała, że wyglądają całkiem jak latające butelki chianti. Orzeszków ziemnych nie chciała łuskać, bo przypominały jej palce u nóg starca. Kiedyś pojechaliśmy do Ijmuiden, znanego z lemoniad,

i zapytałem ją, czy kiedyś tam była, a ona odpowiedziała: „Tak, jeden raz. Jedną butelką napoju lukrecjowego”. Szliśmy objęci po molo i patrzyliśmy, jak holownik ciągnie gigantyczny statek pasażerski. Ona bardzo długo stała koło wędkarza, zaglądając do zawieszanej w wodzie siatki na złapane ryby. Wił tam się zakrwawiony węgorzyk, od którego widoku chuj mnie rozboleł i prędko poszedłem dalej. Długo siedzieliśmy na tarasiku w słońcu patrząc, jak parzą się muchy. Ale nie mogliśmy się dopatrzeć, jak one to robią. Powiedziała, że gdy się tak dobrze przyjrzeć, jak one się myją, toby człowiek nigdy więcej w życiu ani jednej nie zabił. W alejce handlowej przy drodze na plażę, której drewniane sklepiki, baraczki, kioski z przekąskami wyglądały jak dekoracja ulic miasteczka z westernu po zdjęciach, gdzie wśród zapachu frytek, owoców i ryb, kiedyśmy przechodzili, gwizdali na nią chłopcy, albo mówili: „Ale sztuka”, albo śmiejąc się jeden przez drugiego szeptali sobie o niej świństwka, dałem jej ćwierć guldena, żeby wrzuciła do automatu z niespodziankami. Wyskoczyła brudnobiała kulka na kształt jaja płaza. W środku była mała dygocząca salamandra w kolorze cielistym, z okazałą główką i o dużych smutnych oczach. Uznała, że to jest coś wstrętnego, a ja powiedziałem, że najzabawniej byłoby niepostrzeżenie nadziać ją na haczyk jakiemuś wędkarzowi. Ale ona od razu chciała się jej pozbyć, wywierciła obcasem dołek w piachu i tam ją wrzuciła. Zasypała piaskiem i zadenęła nogą. Albo tamto w Lasku Amsterdamskim, między sosnowymi pniami, z których spływała mleczna żywica, w cieniu taka niebieska jak bluszcz, na którym leżeliśmy. Na ceglastym koniu przejeżdżał jeździec, który się do nas zaśmiał i powiedział: „Może pan się ze mną zamieni? Kasztanka za kasztankę!” A tam mi opowiedziała, jak pewnego razu zatrzymał ją z koleżanką policjant na koniu. Na zakazanych wydmach koło Egmond van Zee. Otworzył już swoją raportówkę, żeby spisać dane, gdy wtem

jego koń wypuścił na niesamowitą długość bladego wiotkiego chuja i zaczął szczać jak sikawa. Policjant natychmiast schował notatnik i powiedział, żeby w tej chwili zeszyły mu z oczu. Pewnie miał takie uczucie, jakby to on sam, kiwając chujem wypuszczonym z rozporaka, odlewał się na oczach tych dwu małych dziewczynek. Przez pierwsze miesiące, kiedy byliśmy razem, zjeździliśmy wzdłuż i wszerz całą Holandię. Od Amelandu po Limburgię - unikając Góry Świętego Piotra i turystów siorbiących potrawkę z wielorybiego mięsa - i od latarni morskiej w Westkapelle do Denekamp. To były też ostatnie miesiące moich studiów na akademii i nie bardzo już miałem ochotę chodzić na zajęcia. Sztuka nie wytrzymała konkurencji z nią. Miałem oczywiście zabrać się za wszystko od nowa, ale najpierw musiałem dać się wyszumieć swojemu szalonemu zakochaniu. Kiedy jej rodzice wrócili z urlopu, znaleźli jej list, który nie pozostawiał cienia wątpliwości. Który więc z rodzicami, ową niewidzialną pępownię nie tyle przecinał, co wysadzał w powietrze. Razem z łożyskiem i w ogóle. (Muszę gwoli uczciwości dodać, że go jej podyktowałem.) Bo też sypały się później na nasze głowy strzępki w postaci podłego judzenia i obłudnych szepczików. Ale jej ojciec nic sobie z tego nie robił. Nawet na jakiś czas dostała samochód, żeby uczcić nasze przedmiodowe miesiące. Odkąd z oszczędności mieszkali nad zakładem, i tak prawie wcale go nie potrzebował. Tylko dla reprezentacji. A co mogło być bardziej reprezentacyjne, niż kiedy jego piękna córka jeździła w samochodzie, na którego drzwiczkach dostojnymi złotymi literami było napisane HERMES S.A. - HURTOWNIA ARTYKUŁÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO. Zaraz po wypadku, kiedy jeszcze bała się prowadzić, wepchnął ją do nowego fiata mówiąc, że inaczej nigdy się nie przełamie. A dla swojej żony i tak go nie potrzebował, bo mu na pierwszej lekcji jak ta głupia wpakowała się komuś na żywopłot i wjechała ludziom do ogródka. Nie licząc szkód w samochodzie,

trzeba było zapłacić odszkodowanie za trzy szklanki oranżady i dwie grenadyny, co stały na stolyczku, a który trącił zderzakami samochód przed zatrzymaniem. No więc trafiliśmy i do Coevorden, gdzie szczególnie mocno pragnęła się znaleźć, bo ta nazwa utkwiła jej w pamięci z lekcji geografii. Zawracanie głowy, wiejska uliczka i parę domów na krzyż. Niewarte tego, żeby z całą litanią innych wkuwać na pamięć. Zrobił człowiek dwa kroki i znowu miał pod nogami golutkie brązowe torfowiska pod niemiecką granicą, gdzie się nawet porządnie nie można było wyruchać, nie zapadając się w kałuże torfowego błota. A znów we Wschodnim Flevolandzie prześladowały nas bure tornada komarów albo ryzykowało się tym, że szybujący nad łągami drapieżny błotnik weźmie w koszącym locie kutasa za zaskrońca albo ci do oczu zacznie skakać szlamnik-rycyk, bo nie mogąc nie dopuścić, żeby z kija wypuścić, musiałeś prędko wybierać ścieżkę zamiast gościńca i schlapałeś mu się na gniazdko, paćkając jajeczka w barwach ochronnych. Nie, ta miłość na łonie natury to wielkie zawracanie dupy.

Zawsze wyglądało to tak, jakby wszystkie stworzenia polne sprzysięły się, żeby nam uniemożliwić rozmnażanie. Ledwie człowiek zdążył się wygodnie ułożyć ze spodniami spuszczoneymi do kolan i złapać wznosząco-opadającymi ruchami rytm jej podniecającego stękania, które się wydobywało spomiędzy grubych warg, aż tu jakaś larwa lub chruścik gramoli ci się wprost do dupy, to znów Olga tuż przed ostatnim pchnięciem podskakuje jak oparzona, bo do środka chciał się wśliznąć pływak żółto-brzeżek. Albo konik polny przysiadł na czubku jej nosa i zdmuchnięcie zakłóciło kadencję. Nie, nigdzie nie było tak smacznie jak w domu na łóżku albo na materacu przesuniętym pod duże lustro, jeżeli chcieliśmy spoglądać. Jak moje jaja dobijają do jej pośladków przy każdym pchnięciu; na purpurowe krwiaczki między piegami na jej pięknych pełnych plecach; albo jeśli patrzyła w lustro, na

jej twarz z boku, kiedy widziała moje uwijające się owłosione ciało na tle jej delikatności. Jej mętny wzrok i to podniecające rozdygotanie warg chciało się przetłumaczyć na słowa, które aż tętniły w skroniach, ale których nigdy by nie wymówiła: „Zlej się we mnie, małpiszonie. No, już, chlap się!” Natomiast na tym niezmiernym polderze, wśród żółtych pól kwitnącego rzepaku, przy asfaltowej szosie, która lśniła w upale jak woda i prowadziła od jednego bezsensownego zielonego horyzontu do drugiego, jedliśmy wędzonego węgorza, kupionego w Kampen z łodzi od rybaka z sekty zwanej Artykuł 31. Nie umiała ich wyczyścić, więc musiałem sam wtykać jej miękkie mięsko kawałeczkami jak małemu ptaszкови, który jeszcze jest karmiony. Nie spotkaliśmy żywej duszy nawet potem, jak przemknęliśmy po tym śmierdzącym smołowatym paskudztwie koło tablicy WITAMY W LELYSTAD, RÓWNIEŻ W KOŚCIELE. Wydawało się, że wszyscy mieszkańcy tych małych nowych domków i barakowych obozowisk padli ofiarą środków owadobójczych. Panował suchy zapyłony spokój zaprowadzony przez DDT i nawet nie dał się zauważyć ani jeden znajomy zwitek opakowania po batonach czekoladowych Mars, które zawsze rzucają się w oczy jako zwierzątka. *Not a breath of wild air*. Kiedyśmy wracali w pomarańczowym słońcu przez Knardijk do Harderwijk, siedziała obok mnie spieczona słońcem na różowo z bukietem rumianków i maków, które przy jej ciele umierały z gorąca. W domu poszliśmy razem pod prysznic i wymyłem jej z włosów łonowych nasiona traw. Nie ubraliśmy się potem i chodząc tak po atelier mogłem przy niej uklęknąć, pocałować jej pośladki i liznąć po dupie, która smakowała mydłem. Wsadziłem jej tam kwiatusek maku i zaczęła latać po atelier kręcąc tyłkiem, bo ją świdrowało. Ale jednak to jej się podobało, bo go tam zostawiła i oglądała się za każdym razem, jak przechodziła koło lustra. I zacząłem ją gonić z listewką. Aż się poddała i z dupą do góry walnęła się na łóżko, gdzie roztrzepałem kwiatek o jej

pośladki na czerwony sok i zasnąłem na niej z palcem w pizdeczce, bo znowu nie było można. W środku nocy obudziłem się z zimna z kutasem w jej dupci. Sama nadziała się na mnie i jak oszalała dobiegała właśnie do szczytu: wsadziła sobie swoje palce między moimi w pizdę i sobie na całego dobrze robiła paluszkami. Takie było życie na początku. Przynajmniej kiedy było ciepło i mieliśmy w domu maki. Ale jest pewne zdarzenie z tamtego okresu, którego się bardzo wstydzę. Po niedługim czasie dostałem na żołądki jakiejś wysypki. Wpadłem w furję, bo myślałem, że normalnie coś od niej złapałem. Przysięgała mi z płaczem, że już na długo, zanim się spotkaliśmy, z nikim nie spała. Ale jej nie uwierzyłem i zawlokłem ją do dermatologa, który powiedział, że mój stan zapalny na czubku to skutek zbyt intensywnego współżycia seksualnego. Kiedy wróciliśmy do domu, kipiała z wściekłości. Już po drodze szła koło mnie tak jakoś popędliwie, a ja nie bardzo wiedziałem, co mam powiedzieć. Dlatego prędko nastawiłem płytę, którą bardzo lubiła. Kwintet jazzowy Phila Woodsa z Jonem Eardleyem. *Pot Pie* oraz *Mad About The Boy*. Ale tym razem można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że zwariowała na moim punkcie, bo pchnęła na bok ramię gramofonu, złapała płytę i puściła ją z rozmachem przez otwarte okno. To widać ostudziło jej gniewny zapał, bo naraz wybuchnęła donośnym i niepohamowanym śmiechem. Niedługo potem wzięliśmy ślub. Gratisowo. Tylko książeczka małżeńska kosztowała nas pięćdziesiąt centów. Pojechaliśmy tak samo, jak ją wtenczas po jarmarku przywoziłem pierwszy raz do mnie. Na rowerze. Ona na bagażniku, gdzie z tej okazji położyłem miękki kocyk pod gumowe wiązania. Koniec końców z jakiej racji w najpiękniejszym dniu całego życia miały jej się w pupę wrzynać druty. Miała na sobie purpurową sukienkę i słomkowy melonik, który sama zrobiła z meksykańskiego sombrera, obcinając szerokie rondo. Sukienkę kupiłem jej za zaliczkę a konto pierwszego

zamówienia. Za pierwsze przez siebie zarobione pieniądze. Jeszcze musiałem co prawda zrobić figurkę, która by wyrażała Szczęście Macierzyńskie, a miała stanąć na tym czy innym skwerku, ale to było późniejsze zmartwienie. Na ratuszu administracyjny młyn połknął trzy pary za jednym zamachem, większość oblubienic była w zaawansowanej ciąży. Jeden ślub trzeba było nawet odroczyć, bo w poczekalni zaczęły się bóle. Ale urzędnik stanu cywilnego zadał sobie jednak trud i nie poszczędził czasu, żeby uszczęśliwić nas małym osobistym przemówieniem. Rzecz była o kwitnącej miłości młodych, a cały czas się ze smakiem oblizywał nie spuszczać oka z mojej ukochanej, która nie posiadała się ze szczęścia, a w tę purpurową sukienkę z imitacji skóry była swoim obscenicznym ciałem wciśnięta jak węgorz w skórę. (Później, kiedy ode mnie odeszła i popełniała liczne małżeństwa jedno po drugim, urzędnik czytając nazwiska poprzednich małżonków kaszlał znacząco, a jeden nawet, kiedy skończył tę litanię, powiedział: „No, no”). Chcieliśmy spędzić ten dzień po prostu w swoich ramionach z butelką szampana przy łóżku, a gdy się ściemni, na nogi i pójść zjeść coś na mieście. Ale co pięć minut byliśmy, kurwa mać, wyrzynani z łóżka do telefonu przez znajomych jej i jej ojca. Okazało się mianowicie, że jej matka wydrukowała jednak zawiadomienia o ślubie i rozesłała je prawie po całej Holandii Północnej. Papier satynowy z wytłoczonymi różyczkami i nasze nazwiska złotymi czcionkami. Postanowiłem raz na zawsze jasno powiedzieć mojej świeżo upieczonej teściowej, żeby przestała wtykać nos w nie swoje sprawy, a mieliśmy za parę dni pojechać do nich na świętowanie zaślubin. Kiedy jej ojciec po nas przyjechał, musiałem zamiast Olgi sięść koło niego. Na miejscu dla samobójcy. Ponieważ lekarz odradzał mu siadać kiedykolwiek za kierownicą, jak mi spod nosa mruknął, gdyśmy beztriosko płynęli po szosie z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. I wtedy

opowiedział mi swój pierwszy kawał. Jeszcze nie ten o dwóch chłopakach, co jechali do Paryża. Ten o innych dwóch chłopakach, którzy spotkali piękną pannę i mieli zaprosić ją na kolację. Umówili się, że jeśli w czasie jedzenia jeden odważy się powiedzieć trzy świństwa, to drugi ustąpi mu pola. Podają barszcz i osobno gotowane jajka. On sobie nie bierze, tylko się pyta: „Może pani ma ochotę na moje jaja?” Przy drugim daniu, z kurczaka, on się pyta: „Czy pani też ma taką twardą pierś?” I jeszcze się nie zdecydowali, na czym skończyć. On mówi: „Jeżeli chodzi o deser, to jestem gotów spuścić się na panią”. Choć się tego i owego domyślałem, nie wpadłem mu w słowo i jak skończył, szczerze się roześmiałem. I zaraz dodałem coś od siebie, może nie nazbyt stosownego na pierwsze spotkanie zięcia z teściem, ale wydał mi się taki ujmujący i sympatyczny, że postanowiłem walić prosto z mostu, jak między starymi kumplami. Szyper z córką i pomocnikiem mają tylko jedną koję, w której muszą spać we trójkę. Szyper w środku. Kiedy szyper już głośno chrapie, pomocnik siada, trąca córkę i pyta: „No to jak?” Ona mu mówi, żeby najpierw wyrwał ojcu włoszek z woreczka. Trochę to polecenie wydaje mu się dziwne, ale dobrze, albośmy to jacy tacy, w końcu coś za coś. I tak parę nocy pod rząd, a kiedyś rano córka i pomocnik stoją na przednim pokładzie i ona zaczyna śpiewać: „Jak dobrze poszło dzisiaj w nocy! Hip hip!” A pomocnik: „A jutro pójdzie jeszcze lepiej! Hip hip!” Aż tu nagle ze sterówki rozlega się głęboki bas szypra: „Jak tak dalej pójdzie, au, będę łyse jaja miał! Hurra hurra hurra!” Tak się zaniósł śmiechem, że jak niedawno jego córka porządnie odbił na lewy pas. Dzięki ostrym światłom z naprzeciwka i gwałtownemu hamowaniu uniknęliśmy katastrofy, my i auto, oddalające się z wymyślaniami klaksonu. Przy jego akompaniamencie powiedział nieporuszony: „W ruchu ulicznym to jest tak: wszystko dokładnie do siebie pasuje. A kiedy za którymś razem nie pasuje, to słyszać brzdęk”.

No i o mały włos bylibyśmy brzdęknęli. Tymczasem za niedługo staliśmy w ogrodzie pośród notabli i kontrahentów. Jej matka wolała przyjęcie urządzić w restauracji z zimnym bufetem na zakończenie, ale każdą restaurację, jaką ona wymieniła, on zbywał jednym: „Już dziś wiem, jak będzie tam smakować jedzenie 17 kwietnia 1992 roku”. Wówczas ze snobizmu rzuciła się na nowinkę dopiero co przywiezioną z Ameryki, bo uparła się, i miała swoje party: Barbecue. Z całym zestawem dzbanuszków z przyprawami w najpiękniejszych odcieniach rzygowin. Oczywiście każdy snuł się po ogródku ze łzami w oczach od dymu i smrodu – bo nie umiała się obchodzić z węglem drzewnym i przed podpaleniem oblała go sownicą naftą – trzymając w ręku kawałek mięsa, który jedną stroną przypominał nadżartą gumową podeszwę, podczas gdy na drugiej krew mieszała się z fioletowym tuszem stempla kontroli sanitarnej. Jej ojciec spoglądał na to wszystko ze swojego wygodnego fotela na podeście, tym razem bez dźubania w nosie i kręcenia śrutu, ale za to z odrobiną życzliwego szyderstwa, i tak się do mnie odezwał wierszem: „Tymi skrawkami nikt najeść się nie może, Ale to taki miły sport ten cały rozeń”. Niestety, żylaste porcje, od których człowiek dostawał w ustach uczucia jak kominiarz po dniu pracy, znikwały, ukradkowo, ale zdecydowanie ciśnięte między petunie i lawendy na grządce, gdzie się z nimi załatwiał niemiecki wyżeł któregoś z gości. A kiedy już wzniesiono nieskończenie wiele toastów i jednej czy drugiej ciotce-babce z Haarlemu, ubranej w pomiotłową kieckę w orzechowy wzorek, co ze czterdzieści lat leżała w antymolowej skrzyni i na kilometr cuchnęła naftaliną, zachciało się koniecznie zaprodukować na temat naszego przyszłego szczęścia, głosem, który przemieszczał się skrzypliwie wraz z obluzowanymi szczękami, tamto nażarte psisko precyzyjnie się między nogami zażenowanego i ofiarnie słuchającego tłumu na gazon i z łbem przy ziemi zaczęło konwulsyjnie rzygać. I oto

na oczach wszystkich w trawie pojawiło się niezaprzeczalnie siedem czy osiem czarnych szaszłyków w szarym sosie treści żołądkowej. Jej ojciec był nie zastąpiony, bo wstał z fotelika, wyciągnął spod brody serwetkę, którą mu nie znoszącym sprzeciwu gestem założyła wciskając do rąk swój nadpalony przysmak, i przykrył nią niezgrabnie kupkę bryi. Rozległy się nieśmiałe brawa, które go zakłopotanego wpędziły z powrotem na fotel. Moja obawa, że jakiś spóźniony gość może chcieć podnieść serwetkę myśląc, że ktoś ją upuścił, była na szczęście przedwczesna. I tak przyjęcie, które ani rusz nie chciało rozwinąć się w serdeczne święto, rozlało się, z dwoma obrazkami na koniec: starej ciotki z Haarlemu uciekającej na łeb na szyję w krzaki przed osą i słoniowatego wuja, który jednym stąpnięciem swojego buta numer czterdzieści osiem wdepnął ze szczętem w gazon kieliszek sherry, odstawiony na trawę przez któregoś z gości. Kiedy wszyscy zaproszeni zniknęli, i rozeń już tylko trochę dymiał opuszczony, przysłała do mnie do ogrodu Olga. Powiedziała, że ojciec chciał z nami porozmawiać o pieniądzach, ale że za tym oczywiście kryła się jej matka. Ta wstrętna żmija. Byłem zdolny posadzić ją tym zadem otulonym w szarą plisowaną spódnicę prosto na rozeń. Olga podała mi rękę i poszliśmy spokojnie poczekać w pokoju na to, co się miało wydarzyć. Naraz drzwi odskoczyły i ona wepchnęła go przed sobą do środka. „No to do dzieła”, powiedziała i ulokowała go w foteliku. Rozłożył się w nim ciężko, spojrzął na sufit, na dwór, zabębnił palcami w poręcz fotela. Marsz Radetzky’ego, pomyślałem. A ona coraz natarczywiej próbowała pochwycić jego wzrok. Zakaszłała po damsku i wreszcie rozdrażniona i zniecierpliwiona powiedziała: „No, tatusiu”. Ale on nie przestał milczeć, kręcił tylko coraz czerwieńszy głową na wszystkie strony, nie patrząc na nas ani na nią. Tupnęła i rzucając mu jeszcze jedno jadowite spojrzenie puściła naraz coś w rodzaju słownego pawia. Że garściami wydawała pieniądze, aby

ten dzień był czymś niezapomnianym. Że co prawda wymusiliśmy na nich zgodę na małżeństwo grożąc im sądem, ale żebyśmy sobie nie myśleli, że dostaniemy od nich kiedykolwiek choćby jednego centa. I że ona, Olga, niech przede wszystkim nie liczy, że za parę miesięcy będzie mogła wrócić do domu z nosem na kwintę. Że dość wyraźnie została ostrzeżona przed życiem artysty, które jest jednym pasmem nędzy, zwłaszcza dla kogoś z zamożnego mieszczaństwa. I inne takie fantastyczne, bezsensowne komunały. A kiedy przerwała, żeby wziąć głębszy oddech i z nową siłą parsknąć trucizną, on, jak głupkowate grube chłopaczysko, które niczego nie skapowało, ale myśli, że już wszystko się wyjaśniło i polubownie dało załatwić, powiedział: „No to jesteśmy umówieni”. Ona podskoczyła, jakby rzeczywiście siadła na rożnie, i na szczęście dla siebie mogła swoją złość wyładować na paluszku popiołu, który spadł mi z papierosa na dywan między stopami. Pobiegła do kuchni i za chwilę wróciła z obrotową szczotką do odkurzania dywanów, i zaczęła mnie stukać nią po butach sprzątając. On, zacierając ręce, podszedł do barku i nie zbity z tropu nalał sobie kieliszek beerenburgera, jakiejś odmiany dżinu ziołowego, bo to był jego ulubiony napój. Z przepelnionym kieliszkiem wrócił na swoje miejsce nie uroniwszy kropli i, zsiorbując wianuszek, z prawie niezauważalnym szyderstwem w głosie, które stawiało pod znakiem zapytania jego poprzednią głupkowatość, i wyglądając przy tym z przekorną wesołością do ogrodu, gdzie już tylko serwetka leżała na gazonie, powiedział: „To było jednak święto”.

Marksistowska mała architektura

Od matki dostała na ślub wózek. Taki wysoki, angielski, który latami stał u niej na strychu w pokrowcu. Kupiła go dla siebie, kiedy

jej się wydawało, że w ostatnim momencie, tuż przed definitywnym zamknięciem interesu, zaszła w ciążę. Czy w końcu była to ciążą urojona, czy jednak powiła jakiegoś martwego królika – wtenczas była strasznie oczarowana pewnym wędrownym magikiem o białych włosach – już nawet nie wiem. Wózek nie był w każdym razie nigdy używany. Kiedy posłaniec go przyniósł, czego matka nie poprzedziła pytaniem, czy jest potrzebny, Olga natychmiast wstawiła go do rupieciarni. Z biegiem czasu nakładło się do niego różności i obwiesiło go łachami, że w końcu całkiem się schował. Kiedy go wstawiła, powiedziała zirytowana, że na pewno jej matka chciałaby jak najprędzej widzieć ją bez piersi i z takim obwisłym brzuchem. Można było mówić jej nie wiem co, tłumaczyć, że ten lęk przed urodzeniem dziecka wziął się stąd, że kiedy zobaczyła u matki miejsce po zrakowaciałej piersi, to ta głupia występna stara cipa powiedziała, że to ona jej tę pierś wyjadła jako niemowlę. Albo że była zawsze niewierną żoną, a ją i jej ojca zostawiała swojemu losowi. Nic nie pomagało. Nie dało jej się wybić z głowy tego lęku. Zaczynała wtedy o swoich przyjaciółkach, które były pięknosciami, ale po pierwszym dziecku człapały za wózkiem jak dziadówki. Albo które z powodu karmienia podostawiały zapaleń i musiały okupić macierzyństwo znamionami i bliznami na piersiach. Toteż ciągnęła mnie na punkt konsultacyjny świadomego macierzyństwa po prezerwatywy i po pessarium dla siebie. A przy tym urządzonku używała tak przesadnie dużo pasty plemnikobójczej, że się wpychałem jak w słoiczek kleju. Mogła właściwie tylko parę dni w miesiącu. To się po żołniersku nazywa ostre strzelanie. (Zresztą „mogła” to źle powiedziane. Drętwiała ze strachu na myśl, że może jest jednak jakieś niebezpieczeństwo. Nie było po prostu jak. Nie była w stanie rozewrzeć nóg.) Trzy dni przed okresem i parę dni po. W czasie okresu nie lubiła. Nazywała to krwawe gody i zawsze się mnie czepiała, kiedy z włosów łonowych i jąder z mozołem

spłukiwałem wyciekłą krew. Później wkładało się do środka gumową błonę dziewiczą, żeby powstrzymać te kijaneczki następnej generacji. A kiedy była płodna, co mogła stwierdzić z prawie godzinną dokładnością mierząc temperaturę, wtedy w ogóle nie było można. Mogłem wciągać na chuja po dziesięć kondomów na kupę i na dodatek wszystkie torebki plastikowe i czapeczki narciarskie, jakie tylko były w domu. Ale muszę przyznać, że zapewniała mi wtedy całkiem udane zastępstwo dla swojej psiteczki. Swoje wspaniałe pełne pośladki. (Przez krótki czas miała włoskiego przyjaciela.) Po początkowej grze kładła się na brzuchu i rozsuwając dłońmi pośladki i pokazując mi swoją różową pupcię, mówiła bardzo czule: „Wejź tutaj, kochany”. Biegłem wtedy prędko do kuchni i na chwilę zanurzałem chuja w oleju stołowym, żeby ułatwić ślizganie, a po chwili leżąc na niej patrzyłem po usianych pieprzykami plecach i wspaniałych okrągłych biodrach, jak moja sztanga pracuje między olbrzymimi białymi (na pośladkach miała tylko jedną myszkę) wzgórzami. Finisz miała nie gorszy niż kiedy indziej. Z muzyką i w ogóle. Zawsze mówiła: „Czuję to po prostu od środka. I to tylko ciuteczkę słabiej”. W takich razach musiałem dbać, żeby sobie zaraz wymyć gówno spod napletka, bo inaczej budziłem się z czubem spuchniętym i czerwonym jak światełko odblaskowe. Przy takim układzie zawsze udawaliśmy, że jestem kapłanem inkaskim, ofiarującym dziewicę. Odchylałem jej głowę do tyłu, żeby szyja z przodu była napięta, i wyobrażaliśmy sobie, że kiedy się w nią zlewam, kapłanka jednym pociągnięciem ostrego jak brzytwa noża podcina jej gardło. Kiedy ją takie gierki bardzo podnieciły, odwracała głowę na bok, otwierała usta i mówiła, żebym tam napluł. Kiedy się będę spuszczał. Bo moja ślina jest trująca jak kwas pruski i zabije ją na miejscu. Gdy się tak w nią chlapałem z dwóch stron naraz, jej małe nie rozsadzało z podniecenia. I tak nam się jednak mimo jej panicznego strachu przed ciążą żyło bardzo szczęśliwie i podniecająco.

Zresztą naprawdę jeszcze nie czułem potrzeby, żeby mieć w domu takiego wrzeszczącego ssaczka. Chwilowo miałem pełne ręce roboty z własnymi płodami, ponieważ nie było fraszką zaczynać jako rzeźbiarz w mieście, które poprzednia generacja zapchała tą marksistowską małą architekturą. Wszędzie się to widziało. Na mostach. Na szczytach domów. Na grzybkach. W piaskowcu, w wapieniu lub granicie. Takich malutkich ludzików. Kurdupli z łysymi główkami i przeważnie z nagim korpusem. Mieli rzekomo przedstawiać robotników w tym kraju, w którym praca uszlachetnia. Ale pewien mój kolega powiedział mi szeptem: „To nie jest ludzki socjalizm. To jest socjalizm dla małych”. Chwilowo nie miałem więc nic wspólnego z tymi stosowanymi neandertalczykami. Zamówiono u mnie dla pewnego skweru przedstawienie w brązie Szczęścia Macierzyńskiego. Musiała się z tego oczywiście zrobić matka z dzieckiem. Tak dała do zrozumienia Komisja Upiększania Miasta: „Robią teraz te różne abstrakcje albo kobietę podobną do napompowanego balona, która nazywa się wtenczas Pramatką, lub coś w tym rodzaju. My jednak odrzucamy taką sztukę”, wydukał z siebie jeden z członków komisji.

Myślałem nawet trochę o kobiecie ciężarnej, ale oni uważali, że takie szczęście macierzyńskie jest cokolwiek przedwczesne. Zresztą trudno by mi było namówić Olgę, żeby do pozowania przywiązała sobie poduszeczkę na brzuchu pod ubraniem. Przekreśliłaby się z obrzydzenia, jak sama powiedziała. Wystarczająco trudne było dla niej sterczenie z tą dużą lalą na ręku, którą kupiłem w pobliskim sklepie z zabawkami bardzo tanio, bo była Ciut Uszkodzona. Trwało to miesiącami, czasem po sześć godzin dziennie. Ale kiedy tylko było można, kiedy zajmowałem się tyłem postaci, ona natychmiast kładła lalkę u stóp. Wciskając twarzyczkę w podłogę. A kiedy posąg był gotowy i komisja przyszła go oglądać, wszyscy byli rozentuzjzmowani oprócz siwego urzędnika,

który wyrzekł te prorocze słowa: „Wygląda, jakby matka bała się tego dziecka”. I tak było. Cieszyła się, kiedy posąg powędrował do odlewnika, i nigdy nie chciała pójść obejrzeć miejsca, gdzie stanął. Na tym skwerze przy kanale okalającym miasto, pośród matek z wózkami i maluchami. Wśród prawdziwego, niekłamane szczęścia macierzyńskiego. Nie dokończonych i pękniętych studiów w glinie i gipsie też chciała się pozbyć. Wolałem nie stawiać ich koło śmietnika, bo zaraz oglądałbym je znowu stojące na kominkach za oknami moich sąsiadów. I wtedy przydał się wózek. Zdjęliśmy i wyciągnęliśmy z niego pały śmietnik i załadowaliśmy miniaturami matek z dzieckiem, mało nie puściły sprężyny. I tak pewnego wieczora wjechaliśmy na most nad Amstemem. I całkiem jakby było w tym coś zabawnego, nawet chyba śpiewaliśmy: „Wyjechała furka z mojego podwórka”. Na środku mostu chciałem odczekać, aż nie będzie żadnego ruchu, bo ktoś mógłby pomyśleć, że topimy dziecko. Ale ona z miejsca chlupnęła wszystko do wody, raz za razem, jak tylko mogła najdalej. Mnie nawet nie dopuściła. W pewnym momencie zobaczyłem wędrującą na dno lalkę. Zachowała ją sobie na koniec. Potem z ulgą prowadziła wózek do domu, puszczała z pochyłości mostów i znów go doganiała. To była bardzo szczęśliwa twarz. Młoda matka nie posiadająca się z radości. Ale w domu od razu wstawiła go do rupieciarni i przyrzuciła wszystkim, co przedtem na nim leżało. Teraz, kiedy już mieliśmy czysto w domu, mogłem się zabrać tylko za nią. Za pieniądze, które mi zostały z honorarium, mogłem – przy oszczędnym życiu – przez cały rok pracować tylko dla siebie. I prawie okrąży tamten rok ona przechodziła nago w moim atelier. Rysowałem ją siedzącą, leżącą, w pozycji tanecznej. Ramiona ułożone poziomo i jedna noga w górze. Powiedziała, że w balecie nazywają to arabeską, ładne słowo. Ale przy tym można jej było zajrzeć prosto w pizdę. Rysowałem ją jako Pomonę z jabłkami (które pozując stale zjadała. *Scrapple from the Apple*),

jako Persefonę z bukietami polnych kwiatów, które sama zrywała. Skąd przechodziły na jej boskie ciało gąsieniczki motyli i cykad. Kułem w granicie jej tors. Przepadł on w ogrodzie pewnego bogacza o duchu chętnym, ale ciele mdłym: jako że gdy nie możesz dostać kobiety, musisz się pocieszyć kamieniem. Zrobiłem jej setki rysunków. Z zamkniętymi oczami widziałem całe jej ciało, każde zgięcie, każde zagłębienie, każdą fałdę obmacałem oczami. Powtórzyłem dłońmi w glinie. Byłem jak żyjątko wypełzające z bukietów, dla których jej piersi były wzgórzami, mierzonymi godzinami wędrówki, i które mogły się ukryć w cieniu na nizinie między jej łopatkami. A podczas przerwy, kiedy wychodziła do wc, rysowałem nas, jak się kochamy na wszelkie sposoby. Podpisywałem: SCHODŹ PRĘDKO! TO BĘDĘ Z TOBĄ ROBIŁ. Albo: CHCĘ CIĘ OFIAROWAĆ. A kiedy była nieodparcie pociągająca – przede wszystkim w dobach płodności, bo to było po niej widać, wyglądała wtedy jak kwiat w swojej pełni – pisałem: BARDZO CIĘ KOCHAM, NIE WYCIERAJ SOBIE DUPY, WYLIŻĘ CI DO CZYSTA. Nigdy tego nie zrobiła. Zawsze myślała, że to tylko takie gadanie. Poetycka przesada. I przy tym wszystkim jeszcze w fantastyczny sposób prowadziła dom. Nie mogliśmy wydawać dużo pieniędzy na jedzenie, ale z uparowanej makreli umiała zrobić takie fileciki, dodać sosu i obłożyć różnościami, że chciało się pytać kelnera, jakie wino radziłby do tego wypić. A całe atelier zastawiała tacami pełnymi owoców. W połączeniu z parnym od gliny powietrzem stwarzało to wrażenie, że mieszkamy w sadzie. Gdy kupiła pory, płukała i układała na dzień przed zjedzeniem na bryłach kamienia. Robiła to ze wszystkimi warzywami. Po prostu uważała, że to grzech tak od razu pokroić na kawałki i spałaszować takiego pięknego białego kalafiora. Albo znowuż przyniosła wielką torbę dymki i cały dzień siedziała na balkonie z czerwonymi od łez oczami i obierała cebulę. Wiatr miotał potem po całej ulicy srebrzyste łupinki, a w domu unosił

się odurzający winny zapach suszonych liści laurowych. Po paru dniach szafa w atelier była zastawiona słoikami cebuli w occie z liśćmi laurowymi, zielem angielskim i goździkami. Stały razem z jej figurkami wśród rysunków. A ona jeszcze z czołem spoconym od napięcia patrzyła na nie głęboko ukontentowana i mówiła: „Zapas na zimę”. To wniosło do atelier bezpieczny zimowo-kominkowy nastrój. Jakbyśmy mieszkali w chatce na kurzej nóżce (budząc się zawsze jakże uradowani) gdzieś na skraju wydm w lasach przyginanych do ziemi przez morski wiatr i pełnych muchomorów i purchawek. Jakbyśmy musieli tylko uważać, żeby nie rozgniewać żywiołów. Sąsiedzi i wszyscy zauważyli, ile serca wkładała Olga w to, żeby wszystko jak najładniej urządzić i jak najlepiej zrobić, bo kiedyś na przyjęciu usłyszałem, że jeden sąsiad mówił za moimi plecami: „Piękna babka i tak się poświęca. A jaka dla niego zawsze miła. Nie mam pojęcia, co on z nią wyrabia, ale facet chyba musi mieć złotego kutasa”. Kiedy opętany nią i jej ciałem przepracowałem tak cały rok, dostałem nowe zamówienie. Dla budynku Czerwonego Krzyża. Ale diabeł chyba maczał w tym palce, bo miała to być znowu matka z dzieckiem. Od razu powiedziała, odwal się ode mnie. Zapowiedziała, że nie będzie pozować, nie chce mieć z tym nic wspólnego. Że rozchorowałaby się, że by umarła, wyrzygała, odeszła ode mnie. Ale że nigdy już nie będzie jak głupia stać z jakąś obrzydliwą lalą na rękę. Niech to sobie wybiję z głowy. Tak też zrobiłem. I oto widać, jak istotną rolę w rozwoju sztuki mogą odegrać domowe okoliczności. (*Lard pour Fart*). Bo oto zrobiłem pochyloną postać wielkości większej niż naturalna, całkowicie otwartą, która podnosi z ziemi nie tyle dziecko, co jakieś stworzenie. Posąg wyrażał raczej jakiś macierzyński gest, niż miał cokolwiek wspólnego z rzeczywistym wizerunkiem matki i dziecka. Brak piersi, korpus jedna wielka dziura, przez którą musiała być widoczna trawa, gdzie miał zostać ustawiony, oraz twarz pozbawiona

ludzkiego wyrazu. Pięść skierowana do ziemi. Olga była zachwycona i rozentuzjasmowana. Przesadnie. Ponieważ to nie miało nic wspólnego z nią. Może nawet uważała, że to nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek matką i dzieckiem. Toteż kiedy przyszło wykonywać gipsowy odlew, przepracowywała się: z chustką na głowie, w dżinsach i bluzie, z kropkami na twarzy i rękach, biegła jak kamieniarz, sztukator i rosyjska kobieta murarz w jednej osobie. Pomagała mi przy sporządzaniu formy, wyjmowaniu z niej gliny, rozrabianiu gipsu. Kochana! Wszystkie zgięcia i linie na jej ciele były białe. A rude włosy wyglądały jak siwe od pyłu. Kiedy posąg był odlany w brązie i ustawiony, otrzymałem zaproszenie do wzięcia udziału w otwarciu gmachu przez królową. Zamiarem było „przedstawienie artysty Jej Wysokości na miejscu dokonania”. Bardzo się z tego oboje śmialiśmy, bo w atelier, w cieniu posągu zdrowo się waliliśmy i jedno dokonanie zmieniało drugie. Olga zaczęła natychmiast szyc sobie nową sukienkę. Wycięła ją głęboko i przychodziła do mnie, nachylała się i pytała, czy coś widać. „Tylko sutki”, odpowiadałem. No bo tak było. W dniu otwarcia staliśmy na posterunku przed moim dziełem w gorącym jesiennym słońcu. Wyglądała tak pięknie, że wprost nie mogłem patrzeć na swoją rzeźbę. Widzieliśmy przez okna, jak królowa kroczy z jednego oddziału na drugi, otoczona drepzczącą świtą powciskanych we fraki marabutów. Królową wypuszczano zawsze parę kroków do przodu, tak jakby miała wypróbować, czy sklepienie wytrzyma. Zaraz potem widzieliśmy, jak zwiedza otoczenie, odpoczywa nad stawem i wymachuje, zapewne na pelikany na wysepce. I jestem przekonany, że odpowiedziały jej skinieniem tylko swoich odkurzaczych worków. Wzięło się to może stąd, że Jej Wysokość znowu miała na głowie jakiś koszmar z piórami i może dopatrzyły się w niej egzemplarza swojego gatunku. A potem ruszyli w naszą stronę. Olga stała obok mnie w pozie dziobowego

posągu, prezentując trzy czwarte piersi na tacy swojego gorsu. Ale kiedy świta czarnych mrówek ze swoją królową na czele była już blisko, skręcili i ominęli nas wielkim łukiem. Później na tarasie, kiedy królewski gość odjechał w lśniącoczarnym dworskim aucie i każdy mógł złopać sherry ile wlezie, a Olga wyszła na chwilę do toalety zostawiając mnie samego w kąciku, podszedł do mnie mały, ruchliwy mistrz ceremonii o inkwizytorskim wyglądem. Spojrzał z naganą i powiedział: „Rozumie pan, że w tej sytuacji nie mogliśmy przedstawić pana Jej Wysokości”. Gdy uniosłem ze zdziwieniem brwi, dodał szeptem: „To, jak jest ubrana dama, która panu towarzyszy, przekracza wszelkie granice”. Kiedy w kilka lat potem, jak ode mnie odeszła, znalazłem się przypadkowo w tamtym miejscu, a dojdzie do budynku znalazłem zagrodzone, usiadłem naprzeciw pomnika po drugiej stronie kanału. Stał mi przed oczami tamten wrześniowy dzień. Jak stała w tej obcisłej sukience i z tymi swoimi cycami na wierzchu, jak daleko na, cyzelowanej tacy. Jak błądł przy niej mój posąg. Pozbawiona życia abstrakcja, która nic z niej nie zachowała. I wtedy mnie uderzyło, że przecież tym posągiem dałem kształt jej lękowi. Lękowi przed macierzyństwem. Że to nie była kobieta, która podnosi dziecko, ale taka, która odpycha je od siebie na ziemię. Że to dziecko wypełniłoby sobą dokładnie dziurę w ciele tej kobiety. Że to wszystko teraz jednak dotyczy jej, jaka była, gdy ją niedawno spotkałem. Zmaltretowana, po dwóch skrobankach u jakiejś brudnej baby, z wyciętym jednym jajnikiem i śmiertelnie zmęczona ucieczką przed samą sobą. I przeraził mnie ten dawno zrobiony posąg. Przy którym mi pomagała taka beztroska i szczęśliwa. Musiałem zdumiewająco jasno widzieć przyszłość. Co jednak moje ręce wiedziały wcześniej, ja sam za późno rozumiałem. Za późno, żeby jej jeszcze pomóc.

Peel me a grape

Jasne, że była próżna. A co byście chcieli, jak ludzie o mały włos nie wpadają pod tramwaj, oglądając się za tobą; kiedy chodzisz po zakupy przy nie milkącym koncercie klaksonów, a wszystkie kobiety z osiedla najchętniej spaliłyby cię na stosie jako czarownicę, bo ich mężowie czekają z nosem przy szybie i z ręką w kieszeni, aż będziesz wracała od rzeźnika. Kiedy wybierała się do Bata International na Kalverstraat po buty, często kupowała za małe. Mówiła wtedy, że stopy ma nabrzmiące od chodzenia po sklepach. Ale od razu poznawałem po poduszczkach na jej podbiciu (istnych dolnych cyckach), że nie w tym rzecz. Kiedy później ją bolało, gdy w nich chodziła, mówiła, że jednak miałem rację. Że czuje się jak jedna z przyrodnych sióstr Kopciuszka. Wtenczas odkręcałem imadło i mówiłem, że mogę jej odjąć piłką do metalu kawałek pięty albo palucha. Albo zabierałem się do niej z ostrymi jak brzytwa obciążkami. A pewnego razu, kiedy wracaliśmy w niedzielę o czwartej nad ranem z nocnego koncertu – Jay Jay Johnson i Lee Konitz – miała rzeczywiście krew w butach. A gołębie na drzewach Van Baerlestraat gruchały jak najęte, ale nie o tym, że ona nie jest prawdziwą narzeczoną. Na początku szła na bosaka, kuląc się z bólu, ale długo tak nie wytrzymała. Zresztą bała się, że któryś zdartym bąblem nastąpi na żółtozieloną flegmę, wycharkniętą przez jakiegoś starego grzyba. Powiedziałem, że ją zaniosę do domu. Najpierw chciała spocząć swoimi okrągłościami w moich ramionach. Ale o tym nie mogło być mowy. Nie byłem Johnnym Weissmullerem ani zresztą ona Jane. No więc podkasła obcisłą spódniczkę i wziąłem ją na barana. I za każdym razem, kiedy wyprzedzał nas autem jakiś półpijany hulaka, zatrzymywał się, żebyśmy mu jeszcze raz przededefilowali. Bo te jedwabne figi znikają bez reszty w jej wielkim kanionie i wyglądało to tak, jakby wlaża na mnie z

gołą dupą, a coś takiego nawet dla kogoś półprzytomnego z niewyspania i męczącego nudnościami po alkoholu to był widok nie do przeoczenia. Można było przy tym nie wierzyć własnym oczom. W owych czasach chodziliśmy na wszystkie koncerty jazzowe, nawet jeśli musieliśmy przez cały tydzień odmawiać sobie po to mięsa. Art Blakey and the Jazz-Messengers z Lee Morganem na trąbce. Kwintet Milesa Davisa. Jazz from Carnegie Hall:

Dizzy Gillespie, Roy Eldridge, Stan Getz, Trio Sonny Rollinsa. Max Roach and his All-Stars. Dziesiątki obiadów z samych jarzyn z kartoflami. Kiedyśmy wracali po koncercie w porze, kiedy tylko rybacy ruszali na łowy, a ona nie miała za ciasnych butów i mogła ustać na własnych nogach, wtenczas po to, aby nam te cholerne płyty nie przesuwwały się pod stopami tak powoli, bawiliśmy się w Które Auto Ci Kupię, Gdy Będę Bogaty. W długiej alei Churchilla. Mówiła na przykład przy biedniutkim volkswagenie: „Dziesiąty samochód licząc od tego dostaję, gdy będziesz sławny i bogaty”. (Bo była przekonana, że taki za parę lat będę). Kiedy wypadł citroen DS albo jaguar, była uszczęśliwiona jak dziecko. Całowała mnie w oba policzki, jakbym go już tam właśnie dla niej postawił. Jeśli wypadł zszargany wypierdek o przeżartej rdzą karoserii, stojący jednym kołem na złomowisku, albo poharatany gniot, twierdziła, że musieliśmy się gdzieś pomylić w liczeniu. I że zaczynamy od nowa. Bo do czego by to było podobne, gdyby ona, we francuskich butach ręcznej roboty od Charlesa Jourdana za sto pięćdziesiąt guldenów, wczółgiwała się do wehikułu, który nie był wart nawet pięćdziesięciu guldenów za złom. Bawiliśmy się w to w różnych rejonach Amsterdamu, bo chodziliśmy na dużo różnych imprez. I stale też na nocne seanse klubu filmowego w Kriterionie. W prowincjonalnym ważnym kinie w tym swoim zakichanym Alkmaarze nie obejrzała wiele więcej niż Romy Schneider w Młodej cesarzowej Sissi albo High Society z Louisem

Armstrongiem. (Różne rzeczy stąd podśpiewywała myjąc endywię albo przy obieraniu kartofli: „Dam sto tysięcy, co ty na to. Ja nic. Mogłabyś wszystko kupić za to. Ja nic.”) Była taka zdumiona całym tym światem filmu. Nawet jej się nie śniło, że coś takiego istnieje. A ja byłem dla niej czarodziejem, który to wszystko wydobył na światło dzienne. Kolosalne dekoracje z Nietolerancji Griffitha. Głowy Asyryjczyków, których po seansie chciało się szukać między fotelami, tak prawdziwie toczyły się na salę. Dosłownie się na mnie wdrapywała, kiedyśmy przeżywali chwile grozy z Conradem Veidtem albo Borisem Karloffem. Albo kiedy brzytwa w Psie andaluzyjskim zbliżała się do wybałuszonego oka, a kamera przejeżdżała na księżyc, na tle którego przeciągał wąski wężyk chmury. I wydawała z siebie mrozący krew w żyłach okrzyk. Łysy Mongoł dmuchający we wspaniały futrzany kołnierz z lisa przypominał jej futerko, które jej podarowałem na początku. Kiedy próbowałem złapać okazję, a ona mnie zabrała. Uważała, że patrzyłem z taką samą zachłannością. Nie na futro, tylko na nią. Po obejrzeniu Potiomkina miesiącami wołaliśmy przy różnych okazjach o Łyżkę Strawy. Ale najpiękniejszy ze wszystkiego był dla niej Obywatel Kane Orsona Wellesa i z jego udziałem. Zwłaszcza to, jak ten stary człowiek leży na łożu śmierci i upuszcza z umierających rąk szklaną kulkę z wirującym śniegiem mamrocząc ROSEBUD. I za każdym razem, kiedy w domu kładłem się na sofie z piłeczką tenisową, którą wypuszczałem z rąk stękając naturalistycznie rosebud, ona prawie miała łzy w oczach. (Pewnie dlatego, że przypominało to jej ojcowe łoże śmierci. Nigdy jej nie mówiłem, że ostatnią rzeczą, jaką powiedział, był tamten kawał o chłopakach, co wybierali się do Paryża. Może gdyby to było coś tak pięknego, jak rosebud, na przykład gdyby to był pączek jaskra, to wtedy bym jej powiedział. Ale życie to dalaibóg nie jest film. W końcu się nie wybrali.) Najwięcej uśmieła się na tym filmie z Mae West, gdzie ta,

potraktowana strasznie z góry pod drzwiami własnego domu przez bogatą damę, co przysłała ją prosić, żeby zostawiła w spokoju jej męża, wraca do pokoju i odgrywa się na służącej, której wyniośle nakazuje: „Obierz mi kiść winogron”. I kiedy ja, zamiast bogaty i sławny stałem się biedny i obdarty ze wszystkiego, i przeszedłem na system „dostarcz dzieło – dostaniesz zasiłek”, bo tej bandzie łobuzów w Hadze znowuż się wszystko popieprzyło i oszczędnościami w zakupach chcieli zatkać wyrwę w budżecie rozklekotanym od hysterii zbrojeniowej, wtenczas ona, biorąc eleganckim gestem te parę dziesiątek zasiłku na życie, jakie jej wtykałem, mówiła nieraz: „Peel me a grape”. I nie tracąc pogody ducha szła dorobić. W zakładziku nie opodal dostawała guldena za godzinę zgrzewania majtek z tworzyw sztucznych dla niemowląt. I kiedy przepracowała od ósmej do dwunastej i wracała do domu z miałem plastykowym we włosach i palcami sztywnymi od mechanicznej pracy, ale z czterema przez siebie zarobionymi guldenami, była dumna z tego, że sama zarobiła na jedzenie dla nas tego dnia. A kiedy nie odbierała wypłaty przez parę dni i dodatkowo pracowała w sobotę do południa, często przynosiła do domu ćwiarteczkę jenevera, dużą butlę coli i torebkę słonych orzeszków. Wtenczas popołudnie spędzaliśmy miło przed otwartymi drzwiami atelier, popijając, chrupiąc i słuchając płyt Parkera, Milesa Davisa i Sonny Rollinsa, które kupiłem za pieniądze na materiały, jakie dostawałem raz na trzy miesiące. Slow Boat To China, How Are Things In Glocca Morra, Sipping At Bells, Chasing The Bird. Kiedy zaczęła pracować w Banku Ubezpieczeń Społecznych i dużo więcej zarabiać, pod koniec tygodnia zawsze przynosiła do domu jakieś rośliny. Przeważnie kaktusy. Zrobiła dla nich na parapecie całe stanowisko. Jakby taką małą trybunę. Jakby te wodniste grubasy przede wszystkim musiały widzieć, co się dzieje na ulicy. Sterczące kłujące korniszony, leżące soczyste ogórasy, pokryte srebrnoszarymi

włoskami. A przede wszystkim „żywy kamyk”. Zwyczajny kawałek czegoś (dość obrzydliwego) z korzonkami. Zwariowała na jego punkcie i mogła mu się godzinami przyglądać, jakby jej tam jakiś balet przedstawiali. Ale dla mnie to było jak nadgniłe cycki albo pizda starej suki. (Kiedy ode mnie odeszła i po paru tygodniach chciałem podlać całą tę kaktusiarnię, na którą przez cały ten czas nawet nie spojrzałem, było już za późno. Wysuszone i pokurczone, wyglądały jak krokiety, co przez miesiąc leżały na Saharze). W tamtym banku strasznie byli nią na początku zachwyceni, ale na dłuższą metę nie mogła się tam utrzymać. Swoją ofiarną pracą biurową nie mogła powetować strat wydajności, jakie powodowała swoim wyglądem. Naczelnik wydziału wciąż ją wysyłał z piętra na piętro do naczelników innych wydziałów, niby to z teczkami dokumentacji. A kiedy pewnego razu na korytarzu zajrzała do środka, dossier zawierało jeden arkusik papieru, na którym długopisem było napisane: *Drogi Arie, to jest ten smakołyk. Dobrze sobie obejrzyj. Ale mordka, co? Zauważ głównie, jak ona chodzi. Kic, kic, kic. Rozumiesz, co mam na myśli. Cześć pracy, Willem.* I po czymś takim facet zniknął przeważnie na kwadransik w toalecie. I tak musiała stamtąd odejść, jeżeli nie chciała rozłożyć całej obsługi rent dla osób z zaburzeniami psychicznymi i innych inwalidów w rozumieniu prawa, jak to nazywają. Wtedy na jakiś czas trzeba było pożegnać się z dżinem i jazzem. Ale dobrze mi było z tym, że znowu miałem ją cały dzień koło siebie, a ona bardzo dobrze znosiła biedę. Było jej tak swojsko i przytulnie, jak mi kiedyś powiedziała. Bo wtedy znowu mogła mi pokazać, co potrafi zrobić z wędzonego śledzia i paru pomidorów, pietruszki i jajka na twardo. Ale kiedy już nie mogła wytrzymać, bo taka ją brała ochota na coś smacznego, pytała jak mała dziewczynka: „Czy mogę zrobić torciki?” Kupowała świeży chleb i pół kostki masła śmietankowego. Z rozpromienioną twarzą zasiadała do stołu, z rozkoszą smarowała

kromkę chleba grubo masłem, posypywała to na centymetr czekoladą w ziarnkach, a na to tłuczony anyżek. Zima w Czekolandii to się nazywało. Albo wychlapywała pół słoika dżemu truskawkowego na dwa chlebki, na to płatki czekoladowe i przykrywała różowym plasterkiem sprasowanych wiórków kokosowych. Mając duże usta pełne dżemu i ziarenek rozkoszowała się tym potem z miną spiskowca i niecnoty. Bo robić torciki pozwalał jej kiedyś ojciec, kiedy w przerwie obiadowej przychodziła ze szkoły, a matka była znowu gdzieś na kominkach. On wtenczas zaczynał pierwszy od swojej racji dwu kromeczek, chleba i dwu plasterków sera, jakie przygotowała dla niego na blacie kuchennym. Ale kiedy tak patrzył na pałaszowanie Olgi, w końcu nie wytrzymał i szeptem, jakby jego zły duch podsłuchiwał pod drzwiami, prosił: „Zrób i dla mnie jeden torcik”. A kiedy już sprzątnął ze trzy lub cztery, zmiatał ziarenka ze swojego talerza na talerz Olgi i mówił: „Ani słowa mamusi, dobrze?” Torcików u mnie mogła jeść, ile dusza zapragnie, ale zamiast na koncerty jazzowe i filmy chodziliśmy teraz dla rozrywki na łono natury, bo to było bez biletów. Do miejsc, które później niemal równocześnie z nią przepadły. Zasypane piaskiem i zabudowane blokami. Południowy Szlak Spacerowy z pomarańczowymi kortami tenisowymi, z wysokim żywopłotem czarnego bzu, walącymi się komórkami i szopami nieokreślonego charakteru. Szkolne ogródki z dziećmi grzebiącymi się między grzędami jarzyn w czarnej torfowej ziemi. Zabielone wapnem szklarnie, niechlujnie, jakby nad nimi na drzewach mieszczała się kolonia czapli. Kwiaty, których samemu można było sobie narwać za pięćdziesiąt centów. Ile kto mógł unieść. Tutaj wpadłem na pomysł zrobienia z niej tamtej wielkiej Persefony. Ugorek, gdzie wśród pobliskich trzciny rośla pałka, z której chłopcy rwali całe naręcza brązowych kolb dla matek, kiedy uszargali się w błocie po kolana. I gdzie zawsze, gdyśmy przechodzili objęci, paru chłopców

wołało do nas ze zbudowanego przez siebie szałas: „No, całujcie się, na co czekacie!” A którymś razem z prześmiewcami, tak że myśleliśmy, że to na żarty. „Proszę pana, tutaj jest taki facet, który chce, żebyśmy mu pokazywali ptaszka. Przecież to jest brzydko!” Ale wtem zobaczyliśmy niepozornego chłopinę, jak się przez trzciny przemyka do swojego roweru i zwiewa na łeb na szyję. Szlak Spacerowy za Buitenveldert, na wskroś nisko położonej podmokłej łąki z jasnymi rowami wody, gdzie nawet w środku lata można było wyobrazić sobie pochylone ciemne sylwetki, wywracające się na tyżwach z miasta na poldery. Porośnięte wikliną zakole, gdzie były ustawione ławki i gdzie tak często zrzuciła buty i wyciągała się jak długa w słońcu z głową na moich kolanach, słuchając odgłosów z ogródków działkowych, tłumionych przez zarośla. Przynajmniej jeżeli miejsce nie było zajęte przez jakiegoś frajera, co siedział i czekał na przejeżdżającą samotnie na rowerze pielęgniarce, żeby jej pokazać swojego chuja. No i wreszcie Dijk, ostępy wzdłuż grobli nad Amstelem, prawie zawsze uczęszczane przez podglądaczy zbyt licznych jak na liczbę kochających się par, przez co niekiedy robiło się tak, jakby to ekipa filmowa uwieczniała na celuloidzie miłosną scenę w plenerze. I zakręt rzeki widziany z góry, któredy skośnie sunęły frachtowce o pokładach pełnych czerwonych skrzynek albo pomarańczowych beczek z olejem. Gdzie bujały na falach daleko w dole czaple, w takich samych barwach co woda, i skąd dochodziły głosy wioślarzy, jakby byli bliżutko. Drzewa Amstelrust w oddali z boku, skąd niekiedy wzbijała się w powietrze cała chmara wron, tak jakby korona drzewa nagle nabrała dużo powietrza. W tamtym miejscu nad rzeką pewnego razu zjadła jedną po drugiej osiem porcji lodów, które jej kupiłem u lodziarza koło zardzewiałego stojaka na rowery przed pływalnią Mirandy. Oczywiście rozboleł ją brzuch i musiała wracać do domu zgięta w pół i przyciskając rękami żołądek. Takie różne drobiazgi

pamiętała jeszcze po latach, kiedy już dawno wszystko między nami było beznadziejnie minione i stracone. Jak się okazało, kiedy ot tak sobie na chwilę do mnie zajrzała. Po prostu zmusiłem ją, żeby po ciemku poszła ze mną na spacer na Dijk. Sam nie byłem tam już całe lata. Grobla już prawie całkiem zrównała się z nasypanym piaskowym gruntem po obu stronach. Wysokie żywopłoty z ligustru zniknęły, a ziemia była zryta głębokimi śladami spychaczy. Płonęło ognisko ze starych walizek, rozwalonych foteli i wszystkiego, co z biegiem lat uzbiera się na takim nieużytku. Stała tak blisko niego, że skóra napięła się od gorąca, i powiedziała: „Ogień to najpiękniejsze, co istnieje”. Potem patrzyliśmy na powstające ekraniki oświetlonych okien, a ja próbowałem pokazać jej, gdzie było wszystko kiedyś, ale sam już tego nie widziałem. W drodze powrotnej powiedziała, że pierwszego stycznia sześć lat temu jedliśmy baraninę z fasolką szparagową. Imorele na deser. Wtedy przypomniałem sobie zdanie z listu, jaki dostałem od przyjaciela tuż potem, jak poszła: „Byliście ze sobą bezczelnie szczęśliwi, i to się po prostu skończyło”.

Mysz z urazem

Nie bała się myszy ani pajaków. Kiedy kot pewnego wieczora wszedł do domu z myszą w pysku – tylko ogon wystawał ozdobnym zawijaszem, co upodabniało go do Salvadora Dali – zaraz mu ją odebrała. Pewnie się chciał z nią pobawić, bo nic jej nie było. Była tylko spaćkana kocią śliną i jedno ucho miała starmoszone o łepkę. Posadziliśmy ją na strzępach gazet w wiadrze, żeby przyszła do siebie. Kiedy po paru godzinach zajrzeliśmy, miała wspaniałe puszyste futerko – chciało się w nie prawie dmuchać, jak ten Mongoł z Burzy nad Azją, takie było śliczne – i stojąc na tylnych łapach myślała sobie pyszczek. Tak samo ucho było całkiem w porządku i od razu jadła mi okruchy chleba „z ręki. Chcieliśmy dać jej do

jutra czas na otrząśnięcie się z przestרחu i dopiero wtedy wypuścić. Kiedy nazajutrz rano chcieliśmy ostatni raz przed wypuszczeniem na wolność popatrzeć na Jonathana – tak nazwała ją Olga – przyłączył się naraz do nas zaciekawiony kot, oparł się przednimi łapami o krawędź wiadra i zerkał w dół. I natychmiast, jakby się pociągnęło za ścięgno, tak jak w odrąbanej kurzej nodze, ucho znowu było potarmoszone i przyklejone do łebka. Kiedy kota odepchnęliśmy, znikło to jak za dotknięciem różdżki. Olga chciała teraz ją zatrzymać, bo uważała, że to bardzo ciekawe mieć jako zwierzę domowe mysz z urazem psychicznym. Ale po paru dniach zdołałem ją namówić, żeby jednak to maleństwo, które wciąż podskakuje w wiadrze i z bęcnięciem spada, wepchnąć do mysiej dziurki pod kuchnią. Później dowiedziałem się, że prawdopodobnie musiała tam zginąć straszną śmiercią. Bo myszy wykańczają każdego obcego przedstawiciela swojego gatunku, który wtargnie na ich terytorium. I to nie żeby przegryzały mu gardło, one zwyczajnie zaczynają go po kolei zjadać, bo obcy element musi po prostu jak najszybciej zniknąć. (Czego mysz nie zna, to zjada.) Mówią, że ludzie, którzy nie mogą albo z takiego czy innego powodu nie chcą mieć dzieci, próbują sobie ten brak rekompensować zwierzętami. Olga nie mieszkała ze mną jeszcze miesiąca, jak zapragnęła mieć kota. Kiedy pewnego razu byłem na bazarze na ulicy Alberta Cuypa po zieleninę, zobaczyłem stojącego za szybą w oknie sklepu zoologicznego małego kotka. Odstawiłem rower i przyjrzałem się uważnie kosmatemu stworzonku. Było w rudoczarne cętki, rudość odcienia takiego jak włosy Olgi. Koniuszek ogona miało jasny i od czoła do nosa biegł jasny prążek, przez co wyglądało zupełnie jak dzidzius. Ale profil jego główki był taki szlachetny jak u tygrysa. Skoro już przecież mówiliśmy o myszach z urazem, mogę spokojnie powiedzieć, że właśnie ta dwoistość charakteru, tak wyraźnie uwidoczniająca się w jego wyglądzie, skłoniła mnie do

kupienia go Oldze. Ponieważ był, jak mi się zdawało, do niej podobny. I oczywiście dlatego, że tak żałośnie zamiauczał, kiedy zastukałem w szybę, i że oddzielone od niego tylko kawałkiem gazety były obok trzy pokojowe pieski, niewiele większe niż on, ale wściekle baraszkowały i go płoszyły. Za dwa i pół guldena stał się moją własnością. Wsadziłem go za pazuchę, bo padało. W drodze przelał pod kurtką do rękawa. I kiedy wróciłem do domu i powiedziałem Oldze, żeby usiadła, bo mam dla niej niespodziankę, mogłem go dosłownie wytrząsnąć z rękawa na jej kolana. Objęła mnie, z kotkiem między nami, i natychmiast poszła kupić szczoteczkę, żeby mu lśniło futerko, i oddzielnie miseczki na mięso, ryby i „koci chleb” z puszki. Po jakimś czasie kot tak się do niej przyzwyczaił, że wcześniej ode mnie rozpoznawał po stukaniu szpilek jej zbliżające się popędliwie kroki. A kiedy wychodząc po zakupy zostawiała otwarte drzwi, wybiegał za nią i czekał na rogu ulicy, aż wróci. (Jeszcze po roku od jej odejścia podbiegał do drzwi, kiedy zbliżał się odgłos wysokich obcasów w popędliwym rytmie. Zaczynałem wtedy dygotać z napięcia, bo myślałem, że wróciła. Ale zawsze się oddalały te czyjeś kroki. Uważałem, że on mógł bardziej przeżyć jej nagłe zniknięcie niż ja). Ruda Olga. Olga od zwierząt. Potnia Theron, panująca nad zwierzętami, jak nam tłumaczył nasz profesor historii sztuki przy wizerunku Artemidy, która w każdej ręce unosiła za skórę na grzbiecie jakieś stworzenie podobne do kota. Jej życie u mnie można by rzeczywiście przemierzyć w siedmiomilowych butach patrząc na zdarzenia związane ze zwierzętami. Zaczynając od kotów. Których mnogości dość prędko się dorobiliśmy. Kocię wyrosło na kotkę, która dwa razy do roku zachodziła w ciążę. Pełne koszyki młodych. Małe rude kocurki, czarne kociczki i wszystkie odcienie pośrednie. Kocica ospale na boku z czerwonymi suteczkami, no a cała paczka dalejże pić na umór. Ale za którymś razem, w taki duszny dzień sierpniowy, kiedy

ciepło dosłownie włązi całym ciężarem na człowieka, a kotka znowu się kociła, Olga wyciągnęła jej ostatnie małe, które utkwiło. Jednak kotka leżała dalej dysząc i nie przejawiała żadnego zainteresowania małymi. W środku nocy musieliśmy jechać taksówką do weterynarza. Tam okazało się, że miała jeszcze jedno małe, ale było martwe i z powodu ciepła zaczęło się rozkładać. Trzeba było natychmiast operować. Siedziałem otaczając ramionami jej lepkie ciało w duchocie poczekalni, dokąd nagle przenikła z korytarza woń eteru. Skuliła się, gdy ją poczuła, bo wiedzieliśmy już, że się zaczęło. Nagle strasznie zagrzmiało, a topole w ciemności ogrodu na zapleczu zakołysały się, choć nie można było zauważyć wiatru. Zabębnił deszcz. Była na pewno przekonana, że się nie uda, że doktor już nic nie wskóra. To przez tę złowróbną burzę, która wciąż piekielnie biało oświetlała ogródki, tak że przez ułamek sekundy widziało się te wszystkie drzewka, których przedtem nigdy w życiu się nie zauważało. Jakby do dramatycznego filmu klasy B ktoś przejął chwyt z kreskówek. Ale wtem weterynarz stanął w drzwiach, uśmiechnięty, w pokrwawionym fartuchu na prążkowanej piżamie. Pozwolił nam spojrzeć na kotkę. Leżała w klatce po prostu na blasze. Mokra i rozczochrana, i jeszcze bez przytomności. Na brzuchu miała łysą bladoróżową plamę, a ciało było tak ściągnięte, że wyglądało jak zraz zawijany. Lekarz powiedział, żebyśmy się zgłosili za tydzień po odbiór, a zanim wyszliśmy, objęła go za szyję i pocałowała z dubeltówki, bo poświęcił dla nas nocny spoczynek. Ja sobie myślę, że noc się dla niego dopiero zaczęła. Tyle o kocie.

Teraz gołębie, bo z nimi wróciła za którymś razem z targu drobiowego na Amstelveld. Para piaskowych synogarlic z tym czarnym sierpem poniżej głowy. Od razu zabrałem się do robienia dla nich klatki, z niebieskimi grzędami i kruszywem z muszelek na dnie. Na początku było nawet fajnie z tym gruchaniem, i to była jakaś jurna parka, bo

różnęły się nieraz więcej niż my. A potem śmiały się i chichotały rozkosznie, tak że człowiek sam nabierał znowu ochoty. Było też w tym coś poetyckiego. Na łóżku młoda zakochana para, z nagością w połowie ukrytą pod prześcieradłami, i do tego to gruchanie gołębi. Ale zabiegi miłosne tych hałasników miały zwykły przebieg, bo w ciągu paru miesięcy samiczka już wysiadywała dwa białe jajeczka. Olgi nie można było oderwać od jajek. Wciąż tylko nasłuchiwała i pewnego dnia powiedziała, że słyszy cichutkie tykanie. I myślała sobie, że wydostaną się wspaniale upierzone małe ptaszki. Coś w rodzaju pulchnych strzyżyków wole oczko albo małych kurczątek. Aż tu któregoś dnia leżąc ci w gnieździe takie dwa obrzydliwe gołe worki na kiszki z tymi prehistorycznymi łbami. Cóż to było za straszne rozczarowanie. I robiło jej się niedobrze, jak rodzice przy odgłosach wymiotów wypluwali im w dziobki półstrawiony pokarm. Wyglądały coraz okropniej, w miarę jak rosły. Z każdym dniem robiły się bardziej sine i zgredowate, i widać było prześwitujące ze środka te wszystkie kiszki i żyłki, jak się rozpanoszały jak jakaś choroba. Wreszcie trzeba to było zabrać jej sprzed oczu. Wiem dlaczego. Nigdy jej o to nie zapytałem, ale z całą pewnością z powodu tego zrakowaciałego cycka matki. Bo mnie samemu trudno było o tym nie myśleć, gdy widziałem ten kłębek wnętrzości trzymany w kupie przez pomarszczoną błonę. Kiedy pewnego razu przyszła jej przyjaciółka, której z zachwyty aż dech zaparło na ich widok, ze stratą je od razu odstąpiła. I nigdy więcej nie wspominała słowem o tych jurnych wesołkach. Po sierpówkach przyszły rzekotki. Zieloniutki jak mech i te przynajmniej nie darły mordy. Czasem któraś wyduła pęcherz brudnobiałej barwy w podgardlu, ale nie słyszałem, żeby doszło kiedykolwiek do rechotu. Trzymała je w szklanym słoju, dokąd parę razy w tygodniu wkładała świeże gałęzie z liśćmi i karmiła je mącznikami i rurecznikami, które, jak długo się dało, próbowała trzymać w dobrym

stanie w słoiku pod bieżącą wodą z kranu. Nieraz mogła dłuższą chwilę przyglądać się temu różowemu pulsującemu zlepkiowi, a kiedyś powiedziała, że gdyby człowiek miał duszę, to mniej więcej tak musiałaby wyglądać. Kiedy to dzwonienie wody jak deszczu ciekącego z rynien mnie kiedyś zmęczyło i zakręciłem kran, w jedną noc ten zlepek podobny do jakiegoś morskiego polipa zamienił się w kupkę cielistego błota. I to prędzej tak mogłaby wyglądać dusza. Czasem sadzała taką żabę na dłoni, żeby skakała na rośliny. Albo urządzaliśmy zawody w skoku w dal, jakby to były zabawki. Ale zazwyczaj wiodły zapomniany żywot przy oknie komórki, bo z trudem można było się do nich docisnąć obok wózka. Kiedy ode mnie odeszła i tygodniami otepliał z bólu nie wychodziłem z łóżka, kot stracił szklaną pokrywę słoja. Uciekły i z biegiem czasu znajdowałem je to tu, to tam zasuszone wśród rupieci. Można je było jeszcze śmiało rozpoznać jako żabki, ale były twarde jak celuloid. I był jeszcze gość przelotny. Łasiczka. Zobaczyłem, jak biegnie, kiedy wyglądałem na dwór zza drzwi atelier. Zaraz za nią ruszyłem. Za tym szybkim brązowym prążkiem, co znikł w drugich drzwiach, które były uchylone. Kiedy ostrożnie otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka, zza kubła ze szczotką wychylał się mały łepiek i prześwidrowała mnie para czarnych oczek. Zawołałem Olgę – wzięłem ze skraju podestu pusty blaszany pojemnik na śmieci i Kazałem jej trzymać otworem przy szparze drzwi, kiedy ja wejść przez bramę do środka. Znowu bystra główka obrzuciła mnie spojrzeniem, ale zaraz znikła. Prześliznąłem się do kąta i zastukałem w wiadro ze szczotką. Brązowy błysk strzelił ku drzwiom. Krzyknąłem na Olgę i natychmiast usłyszałem trzaśnięcie wieka. Wszystko musiało się odbyć bardzo szybko i dlatego nic nie widziała. Nie wiedzieliśmy, czy łasiczka jest w środku. Zabraliśmy pojemnik do atelier i kiedy go otworzyłem, wyskoczyła gdzieś na pół metra w górę. Ale na szczęście pionowo, tak że

bęcnęła z powrotem na dno. Piorunem wieko w dół, garść waty umoczonej w eterze do środka i po chwili trzymałem za skórę na szyi zwierzątko z tym brzuchem białym jak szeroki krawat. Położyliśmy ją w starym gołębniku i prędko przysła do siebie. Zaraz zaczęła jeść mielony befszytk, który jej ugniatałem trzonkiem pędzla i podawałem przez kratki. Musiała być wygłodzona, bo zjadła bez odpoczynku całego kotleta. Olga chciała ją zatrzymać i mało nie otworzyła drzwiczek, żeby ją pogłaskać. Ale jej powiedziałem, żeby dała spokój, bo potrzebuje wszystkich dziesięciu palców przy tym zgrzewaniu niemowlęcych majtek. Że takiego drapieznika nie trzyma się w klatce, bo to dla niego męczarnia. Zaraz poszedłem do sąsiadów po szklany słoje, w którym mógłbym ją wygodnie na rowerze wywieźć za miasto i wypuścić. Olga miała tymczasem mieć na nią oko. Kiedy wróciłem, była zrozpaczona. Poszła na chwilę po pocztę do skrzynki, a kiedy wróciła do atelier, łasiczka uciekła. Nie mogłem wprost uwierzyć. Odstępy między prętami kratki nie były większe niż centymetr i nigdzie nie były wygięte ani nie było żadnych włosków. Zaraz przeszukaliśmy całe atelier, ale nie znaleźliśmy ani śladu. Pomyślałem, że może wymknęła się przez jakąś szparkę w podłodze, może przez myszą dziurkę, ale odtąd za każdym razem, kiedy w atelier odsuwałem kawał kamienia, oczekiwałem, że ją tam znajdę zasuszoną i ściśniętą, i że przewróci się jak kawałek dykty. Kiedy po dwóch latach zdjęto się do pomalowania wielki kaloryfer i Olga mogła wreszcie sprzątnąć cały śmietnik, jaki się za nim w ciągu lat nagromadził – kawałki wapienia, jeszcze sprzed wojny, zardzewiały drut, bryłki gipsu, kawałeczek płótna z niezdarnie namalowanymi olejną farbą ptaszkami – w pewnej chwili podeszła do mnie uroczyście i dramatycznie z czymś rudobrazowym na obu dłoniach. Przestraszyłem się nie na żarty, bo pomyślałem, że wypadło jej tyle włosów. Ale to było wszystko, co pozostało z łasiczki. Trochę pergaminowatej skóry z

futerkiem wyłazającym od dotknięcia. Niewarte nawet zachodu z pogrzebaniem. Razem z zardzewiałym drutem, w który się zaplątała, oraz innym śmieciem bez ceregieli poszła do kosza na śmieci. Następnym był śliczny malutki przyjaciel domu, który dostał prawdziwy pogrzeb, gdy zginął w okropnym wypadku. Z kwiatami, łzami i w ogóle. Na rowerowym bagażniku w skrzynce po cygarach. Kiedy w Łasku Amsterdamskim wygrzebałem własnymi rękami dołek pod jesionem o rzadkiej koronie i wstawiłem tam skrzynkę, i Olga szlochając ułożyła na niej orchideę, kupioną za własne pieniądze (kosztowała pięć guldenów. Dziewczyna musiała na to przez pięć godzin zgrzewać te niemowlęce majtki), przyszło mi ją podtrzymywać, żeby nie osunęła się na ściółkę między pokrzywy. Palce mnie aż bolały, tak zagrzebywałem, ale nie przez tę milutką biało-czarną kaczusię, która zdeptana na śmierć leżała w skrzynce na cygara, tylko przez tę orchideę, która została pochowana żywcem. Na wakacje zawsze jeździliśmy na wyspę Ameland (sącząc małe buteleczki sherry już w wagonie restauracyjnym pociągu do Leeuwarden i półpijani przesiadając się na łódź w Holswerd), gdzie na campingu zaraz za wydymami wynajmowaliśmy domko-namiet, do wysokości ramion zmontowany z drewna pomalowanego na biało wapnem, a powyżej dokończony z płótna namiotowego, co dawało przedziwne oświetlenie. Herbaciane i ciepłe, gdy świeciło słońce, a gdy niebo było zachmurzone, wyglądało to jak lody miętowe od środka. Były tam kilometry plaży, gdzie nikt nie przychodził oprócz nas dwojga, gdzie cały dzień chodziliśmy nago i gdzie w płytkim dołku z wodą mogła mnie tą swoją śliczną dupą dosiąść i sobie pojeździć. Albo dać się wyruchać w słońcu na mieliźnie wśród morszczyzny i sinych meduz o brzeżkach purpurowych jak u halki. Tam też zrobiłem jej to zdjęcie, gdzie leży na plecach w sybkim piasku, z kwiatuszkami dzikiej róży, które jej wetknąłem we włosy, i z piersiami sterczącymi prościutko w

górze, o co ktoś się kiedyś zapytał: „Cyc-fotomontaż?” (Wtenczas na to nie odpowiedziałem, bo już dawno sobie ode mnie poszła, a te jej piersi, te wspaniałe twarde, a przecież miękkie cycusie, przez jej głupie niechlujne życie, jej pijatyki i nocne hulanki, też już całkiem sflaczały.) I to tam na wydmach znalazła tę małą kacuzszkę nurową. Z miejsca to się za nią pokraćkało, tak jak gdzieś czytałem, że tak robią, kiedy zgubią matkę. Pierwsza żywa istota, jaką wtedy napotkają, jest ich matką, czy to będzie piękna kobieta jak Olga, czy poławiacz muszel o krzywych włochatych nożyskach i paznokciach szerniałych od wodorostów. Więc to napotkał ten śliczny puszysty oharek z czarno-białym wzorkiem. Z miejscowej poczty w Nes natychmiast zadzwoniłem do biologa, który powiedział, że można je utrzymać przy życiu karmiąc kawałkami świeżej ryby i krewetkami. Ale że nocą potrzebują matczynego ciepła. I tu trudność, bo wprawdzie można je w nocy trzymać na piersi, ale wtedy człowiek wstaje zafajdany. Bo u matki całe stadko śpi pod nią z kuperkami na zewnątrz. Kiedy któreś ma do cztyknięcia kupkę, wydaje piśnięcie i zanim zdąży się załatwić, matka unosi trochę skrzydła, żeby pióra nie musiały posłużyć jako papier toaletowy. Opowiedziałem to wszystko Oldze, która siedziała przy stole z ułożonymi w płótek rękami, między którymi tam i z powrotem biegało kaczątko. Powiedziała, że jest gotowa tyle z siebie dać. No i zasypiała co wieczór na plecach z tym maleństwem między piersiami. (Czasem, kiedy wcześniej się obudziłem i ją tak zobaczyłem, wyglądało to, jakby miała potrójne piersi. Dwie zwyczajne ze smakowicie różowego ludzkiego ciała i trzecią na zimę między nimi, pokrytą puszystym futerkiem.) Przed pójściem spać okręcała kuperek szmatą i przeważnie to zdawało egzamin, ale czasem małe wygrzebywało się z tego i wtedy budziła się z piersiami jak wymię kozy, co leżała w błocie. Z tymi zabrudzonymi gołymi cycami leciała skoro świt przez drzemiące pola namiotowe do morza i sflukiwała je słoną wodą, podczas

gdy ja na całego łapałem siatką języczki solek, fląderki i krewetki dla kaczątką. A kiedy przelatywało kilka dorosłych oharów, tak dostojnie i pewnie, mówiłem jej, że i nasza taka urośnie. Wtedy smutniała, bo wiedziała, że kiedyś będzie musiała puścić ją na swobodę. A małe zmierzało do tego wielkimi krokami, bo rosło tak szybko, że aby zabrać je po wakacjach do Amsterdamu, potrzebowaliśmy specjalnego pudełka. Dostało małych skrzydełek i wypiąwszy pierś potrafiło nimi śmiało trzepać, jakby już wypróbowało skrzydła wolności. I wszędzie łąziło za Olgą. Nawet po ulicy, kiedy szła do piekarza, nie odstępowało jej, powodując zakłócenia w ruchu samochodów. I po atelier, gdzie pracowałem nad jej pomnikiem z kotem na rękach i gdy polewalem wodą glinę, taplało się w kałużach na posadzce, jakby z betonu mogły wypływać morskie szczecionogi. I tam się wydarzyła ta straszliwa rzecz. Kiedy się cofałem, żeby popatrzeć z pewnej odległości na statwę Olgi – nadepnąłem na to maleństwo. Usłyszałem chrupnięcie, jakby miało w środku małe drewniane okienko. W konwulsjach leżało u moich stóp, a Olga skuliła się z krzykiem. Cały dzień siedziała przy ścianie z podkurczonymi nogami i martwym ptakiem w pudełku i popłakiwała. Czasem siadałem koło niej i obejmując ją ramieniem beczałem razem z nią. Ale była niepokieszona. I myślę, że to dlatego ta statua kobiety z kotem wyszła tak prawdziwie. Bo pozowała mi do niej taka smutna i miesiącami nie dawało jej to spokoju. I w przeciwieństwie do rzeźby tamtej kobiety z dzieckiem, którą wcześniej z nią zrobiłem i o której jeden z członków komisji powiedział, że wygląda tak, jakby bała się tego dziecka, o tej statui kobiety z kotem, kiedy sprzedawałem ją miastu Groningen, ktoś z komisji zakupów powiedział: „Ta kobieta tak trzyma tego kota, jakby tuliła w ramionach ukochane dziecko”. Kiedy Olga ode mnie odeszła, gipsowy model tej rzeźby jeździł po wystawach plenerowych w całym kraju. A gdy raz znowu do mnie zaszła po drugim

czy trzecim małżeństwie, powiedziała nie bez dumy: „Znowu widziałam samą siebie. Jak stałam z tym kotem. W Rotterdamie na Lijnbaan”. Kiedy to zostało odlane w brązie, pewnego razu, już po sprzedaniu, wróciłem późno w nocy do domu i zobaczyłem ją nagle stojącą białym cieniem przed drzwiami do atelier. Tak się nastraszyłem, że musiało minąć sporo czasu, zanim zrozumiałem, że to odlewnik przywiózł z powrotem gipsowy model i ponieważ nie było nikogo w domu, postawił go pode drzwiami. Musiałem chwilę postać oparty o rzeźbę, zanim opadły wszystkie emocje i zebrałem siły, żeby wtaszczyć ją do środka i ustawić na miejscu, gdzie miała stać. Gdzie od tamtej pory zawsze stała. Aż po dziś dzień.

Wcięta jak osa

Co to się stało z nią, z Olgą. Co się zmieniło z biegiem lat. Czy mo że byłem ślepy na coś, co zawsze było. Nie zauważyłem, że ukochany rudzielec najpierw niepewnie i prawie niezauważalnie, ale później coraz usilniej chce się wyzwolić z mojego uścisku. W kółko się nad tym zastanawiałem wśród całej mojej tęsknoty i rozpacz, kiedy dopiero co ode mnie odeszła. Bo to oczywiście nie była prawda, co czasem potem mówiłem, że gdybym sobie nie założył telefonu, nigdy by ode mnie nie odeszła. Wprawdzie coraz częściej wracając do domu zastawałem ją, jak rozmawiała przez telefon z matką. Szczególnie po śmierci ojca nie było w tym nic dziwnego, ale to, że skoro tylko wszedłem, to naraz nie miała nic więcej do powiedzenia i odkładała słuchawkę, wzbudziło we mnie na dłuższą metę podejrzliwość. I to, że zacząłem to potem po niej rozpoznawać. Jakiś taki nastrój niezadowolenia. Siadała z książką na kolanach, ale nie czytała. Kiedy ją zapytałem, o czym myśli, mówiła: „A tak, o niczym”. I skwapliwie zabierała się do czytania. A kiedy trochę

później spojrziałem znad roboty, siedziała tak samo jak przedtem. Przy jedzeniu wyłaziło nieraz szydło z worka. Któraś z przyjaciółek odwiedziła jej matkę swoim samochodzikiem, który dostała od męża na urodziny. I z entuzjazmem opowiadała o podróżach po całej Europie, które już odbyła. I te szafy sukienek, z których mogła brać-wybierać, kiedy po południu szła z przyjaciółkami na miasto. Mogłem sobie dokładnie wyobrazić, jak matka jej to przedstawiła. Ta wstrętna chytra suka. Tym słodziutkim głosikiem i pozornie bez żadnych ubocznych zamiarów. Bo dobrze wiedziała, że trucizna tak najskuteczniej działa. Na początku zbywałem takie historie żartem. Że ta cała Nancy po niespełna roku małżeństwa jest już blada i wygląda na niezaspokojoną, ma żylaki na zwiotczonych łydkach i zwis cyców trzeciego stopnia, bo mąż jest impotentem z powodu choroby managerów. I że tamto blade cimcirymci z pewnością nie ma takiej pięknej sukienki, jak ta, którą ona uszyła z materiału, jaki dopiero co jej kupiłem. I że jej samej byłoby pewnie nieprzyjemnie, gdybym był wicedyrektorem fabryki margaryny, która swoimi podłymi produktami przysparza ludziom wysypki. Że się wtenczas jeździ po Europie i napycha szafy boLERami i etolami z farbowanego futra króliczego kosztem cudzego świerzbu.

Że na materiał na jej sukienkę przynajmniej zapracowałem własnymi rękami, a nie orznąłem dwustu osób personelu na wynagrodzeniach. A zapracowałem tak, że kiedy była w pracy, pewien białowłosy filigranowy wytrawny znawca sztuki zakupił u mnie rysunek. (Nie omieszkał oczywiście wytargować pięćdziesięciu guldenów upustu od ceny.) Natychmiast skoczyłem na rower i pojechałem do Bijenkorfu, gdzie już od dawna widziałem ten materiał na wystawie. W różowe, czerwone, brązowe i ciemnożółte prążki. W atelier wyciąłem ze sklejkki szablon jej sylwetki i tak umocowałem listwami, że mógł sam stać. Potem udrapowałem go obciśle materiałem i do szyi przykleiłem kartkę

papieru z napisem: MISS OSA, dlatego że często z całych sił i zapierając się kolanami o jej brzuch musiałem próbować zacisnąć jej pasek jeszcze o jedną dziurkę dalej. Kiedy przyszła do pracy, zaczerwieniła się z radości. Podniosła szablon, podeszła do lustra i postawiła przed sobą. Zupełnie ją pokrywał, schowała się sama za sobą. Było całkiem tak, jakby już miała włożoną sukienkę. I powiedziała zdziwiona: „Ależ ty wiesz, jaka ja jestem”. Kiedy, wystawiając język i kłując się na całym ciele szpilkami, wreszcie ją uszyła i pierwszy raz ubrała, i stanęła przede mną z rękami odsuniętymi trochę od ciała, wtedy powiedziałem: „Olga, ty jesteś najpiękniejsza w całym kraju. Jesteś tak śliczna, jak wypolerowane jabłko”. (Kiedy później, szukając tych przeklętych rzekotek, natknąłem się wśród rupieci na tę jej sylwetkę ze sklejki, zabrałem ją do lustra i ustawiłem koło siebie. Położyłem dłonie na jej biodrach i spojrzałem na nasze odbicie. Znowu poczułem i zobaczyłem tamten materiał i spróbowałem sobie ją wyobrazić, jaka była wtedy. Ale wciąż widziałem ją taką, jaką się stała, i kiedy otrząsnąłem z siebie tamten obraz, zostałem sam z tym zarysem. Szablon, cień jej osoby. Projekt naszego szczęścia, który trzeba było umieć odczytać, bo inaczej był tylko kawałkiem brązowej dykty.) Ale to nie tylko tamte jadowite telefony jej mamusi na dłuższą metę ją ode mnie odstręczyły. Nasiona chwastu, który miał, zagłuszyć całe jej życie, zostały wysiane dużo wcześniej. I wierzę, że najbardziej zgubne było dla Olgi to, jak widziała swojego ojca, jak go raczej musiała widzieć. Bo jej matka nie zostawiła z niego nic więcej oprócz grubego, workowatego, łasego na słodycze chłopczyka, który, kiedy ona nadchodziła korytarzem z wazą zupy, musiał tam prędyutko zajrzeć i ruszał przed nią w ciężkich łobuzerskich podskokach, skandując dyszkantem: zupa-z-trupa, zupa-z-trupa, zupa-z-trupa. Wśród niewierności i poniżenia nic innego nie mógł robić, jak zgrywać się na clowna. Kiedyś słyszała, jak przygnębiony zapadł się w sofę mówiąc do

jednego z wujków: „Za każdym razem udaję po prostu, że ją pierwszy raz widzę na oczy. Tak jakby o, przyszła z wizytą jakaś miła pani, której nigdy w życiu nie widziałem. Wtenczas nie muszę pytać, gdzie się podziewała. Bo to mnie wówczas nie obchodzi”. I pamiętała też, jak na przyjęciu z okazji jej dziesiątych urodzin jeden z tych niby wujów z obleśnym śmiechem powiedział do kogoś na korytarzu: „Ale, proszę pana, ta kobitka ma coś w tych swych rękach. Wszyscy to w końcu doskonale wiemy”. Jak tylko u mnie zamieszkała, spała zawsze z kolanami podkulonymi aż do piersi i z kciukiem wetkniętym aż po dłoń w usta. W czasie snu spychała mnie swoim ślicznym tyłeczkiem na wąski pasek ziemi niczyjej, na którym mogłem się utrzymać tylko wtedy, gdy koce były dość mocno wetknięte pod materac. Na początku próbowałem to zmienić, pozostając po kochaniu w najlepsze między jej udami. Zupełnie przy sobie i w sobie tak zasypialiśmy. Ale w środku nocy budziła mnie nieskładna, powolna, ale nieustępliwa przepychanka łokciami. Zaraz potem rękami i nogami odpychała mnie od siebie pokwękując jak marudząca płaksa, która nie może postawić na swoim. Można było pchać, bić albo krzyczeć, nic nie pomagało. Spała jak kłoda. Dopiero kiedy łóżko było w trzech czwartych zajęte przez nią i leżała wypięta z tyłkiem na moim brzuchu, wtedy się uspokajała i zaczynała zgodliwie pochrapywać z kciukiem w ustach. Olga ze wszystkim, co w niej było zwariowanego, dokuczliwego, miłego i nieposkromionego. Ależ ja po wariacku nie przestawałem jej kochać! Mam teraz przed oczami nas dwoje, jak w otwartych drzwiach czekaliśmy na deszcz w taki duszny do utraty tchu dzień sierpniowy, kiedy muchy wykończone kleiły się człowiekowi do skóry, jak do lepu. I wtem się zaczęło. Wielkie krople, które w ciągu paru sekund zmoczyły całą ulicę. Tylko drzewa stały jeszcze w środku szarych okręgów, jakby otrząsnęły z siebie wszystek kurz. Potem nagle przegnały groźnie po niebie sinoszare

strzępy i za chwilę, wraz z odgłosem grzmotu, jak przy uderzeniu deskami o deski, oberwała się chmura. Ona zrzuciła z nóg buty i z rozstawionymi rękami jęła brnąć w tym potopie. Aż przemokła tak, że przez sukienkę widać było jej skórę. Wtedy weszła do domu, rozebrała się i włożyła swoje bikini. Tak położyła się w rynsztoku między zaparkowanymi samochodami w burym strumieniu deszczówki trzydziestocentymetrowej głębokości, bulgocącym od bąbelków powietrza, i wystawiła się na biczowanie tych smagających strumieni. (Ale nie wołała przy tym bez ustanku, tak jak pod prysznicem, kiedy puszczała zimną wodę, żeby mieć jędrne piersi: „Ohyda, ohyda, ohyda!”) Nalałem dwa kieliszki wina – pewnie znowu miałem jakieś zamówienie – postawiłem je na tacy, wyniosłem to na dwór i usiadłem na skraju podestu koło niej z nogami w tej wodzie. Zanim deszcz rozwodnił wino, wypiliśmy je i odstawiliśmy kieliszki na tacę, która dryfowała trochę po powierzchni, zanim nie zatopił jej deszcz, lejący wciąż z nieba jak z cebra. Myślała, że kierowcy mijają ją tak powoli, żeby jej nie ochlapać. Kochana. A gdy deszcz się skończył i w atelier zwlokłem z trudem mokre, krępujące ubranie, ona powiedziała: „No to teraz masz mnie z całej siły i miarowo wypierdolić”. Kiedy na dworze ulewa z gulgotaniem spływała do studzienek, wyżywałem się na jej mokrym ciele jak dzika bestia. I tak w środku letniego dnia padliśmy mokrzy od potu i deszczu na siebie, i, jeszcze w sobie, zasnęliśmy. (Poprosiła mnie o to kiedyś jeszcze raz. Poszliśmy na Widziane z mostu i za najpiękniejszą uznała tę scenę tuż przed przerwą, kiedy Marco tryumfalnie i z pogróżką wobec Eddiego podnosi za jedną nogę krzesło. Kiedy wróciliśmy do domu, zapytała, czy też bym tak potrafił. Spróbowałem, ale w połowie musiałem przerwać, tak jak Eddie. Potajemnie ćwiczyłem rano przy gimnastyce. Wreszcie się udało. Przy śniadaniu powiedziałem: „Olga, zobacz!” I schwyciłem nogę krzesła przy ziemi, i postawiłem je na stole nad jej talerzem.

Popatrzyła na mnie z podziwem, jakbym był czymś niewydarzonym, jakąś atletyczną małpą lub czymś w tym rodzaju, i dostałem owację przy otwartej kurtynie. Odsunęła krzesło, wstała, zawinęła swoją piękną nocną koszulę aż powyżej piersi i położyła się na łóżku: „No to teraz masz mnie z całej siły i miarowo wypierdolić”. Co też zrobiłem.) Pewnego razu spacerowaliśmy gdzieś w lesie i znaleźliśmy martwego królika, który całkiem rozbabrany był przez jakąś wronę albo srokę. Nachyliła się nad nim i nagle wrzasnęła, nie dając mi pogrzebać tam patykiem. Kiedy poszliśmy dalej, powiedziała, że się przestraszyła, bo z jego łba zwisała nitka czegoś czerwonego, dokładnie taka sama, jaką kiedyś w ubikacji zauważyła w swojej kupie. Strasznie się przeraziła, bo myślała, że ma raka. Że po prostu ze środka puszcza jej mięso. Skręconym kawałkiem papieru toaletowego zaczęła dłubać w swoim gównie i wreszcie dopatrzyła się, że to włókienko rostbefu. Ale strach pozostał. Za pierwszym razem, kiedy do mnie zaszła po naszym rozstaniu, powiedziała: „Chyba mam jakieś straszne kompleksy. Tylko nie wiem, na jakim punkcie. Dlatego je wypieram. Żeby się ich pozbyć”. Parę dni przed ostatnim Bożym Narodzeniem, jakie wspólnie świętowaliśmy, kupiłem na powitanie Nowego Roku paczkę ogni sztucznych. „Słoneczka”, „świece rzymskie”, „światlne strzały” i „piszczące kuchty”. Zajrzała do pudełka i zaczęła nagle beczeć. Że znowu minął rok, bo uważała, że się starzeje. I nie chciała do tego przykładać ręki, do tego hałasu, od którego robi się chora. Dlatego któregoś dnia pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem pojechaliliśmy na rowerach z pudełkiem fajerwerków na moim bagażniku poprzez śnieg do lasu. I tam w biały dzień wystrzelałem całe to cholerstwo. Stała w pewnej odległości i zmarznięta przyglądała się, jak „piszczące kuchty” z ogonem dymu i iskier gwizdząc dogorywały w śniegu. W żaden sposób nie mogłem jej namówić, żeby sama odpaliła jedno słoneczko, które

przytwierdziłem do pnia. W sylwestra poszliśmy spać o jedenastej, a kiedy o północy na dworze wybuchło szaleństwo fajerwerków, ona niespokojnie się koło mnie wierała, mówiąc przez sen. I tak rozpoczął się dla nas Nowy Rok. Rok, w którym miałem ją na zawsze stracić. Olgę, wciętą w pasie.

Poza Anatomiczna

Jedyną rzeczą, jaka mi pozostała po całej tamtej historii, była kopia listu mojego adwokata do Olgi, gdzie jest napisane, że pozwana oznajmia, iż zapoznała się z wnioskiem dotyczącym uzyskania zgody na wytoczenie powództwa rozwodowego na podstawie popełnionej przez nią zdrady małżeńskiej, które zostanie złożone na ręce Pana Prezesa Sądu Rejonowego w Amsterdamie przez jej małżonka. Oświadcza, iż zna treść wymienionego wniosku, i nie zamierza się sprzeciwiać uczynionej tam prośbie, i że ponadto z góry rezygnuje z wzywania jej do stawienia się na posiedzenie pojednawcze. Wszystko zaczęło się od Targów Gospodarstwa Domowego w hali RAI. Nawet chcieli, żebym zrobił Hermesa naturalnej wielkości na ich stoisko. Za darmo. Dlatego to nie przeszło. Jej matka przyjechała w tym celu do mojego atelier z nowym kierownikiem – trzecim od czasu śmierci jej ojca -krzywonogim owłosionym kawałem pawiana ze złomowiska, który podobny był do jednego z tych głupkowatych Stoogesów. (Najokropniejszego) Stale kłapał tą swoją wielką jadaczką, ale ni w ząb nie mogłem go zrozumieć. Dosłownie jakby wydobywał tylko z siebie uach... uach... uach... i wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby przy tym jeszcze bębnił pięściami po piersi. No i ona musiała wszystko po nim powtarzać. Że przecież mogę od ręki wykonać taką rzeźbę. Że zapłaciliby oczywiście za gips, pozłotę i pokryli inne koszty. Wtenczas ten kostur znowu zaczął swoje uachanie. Potem

znowu ona, z tym swoim cierpliwym uśmiezkiem, to samo w ludzkim języku. Żebym w żadnym razie nie zapomniał o lasce i skrzydełkach u kostek. I bardzo ważna rzecz, żeby był naturalnej wielkości. To by ich oczywiście bardzo urzędało. Wtenczas ich stoisko z takim lśniącym połacanym cackiem zdominowałyby całą wystawę. Kiedy powiedziałem, że u starożytnych Greków Hermes był nie tylko bogiem handlu, ale i złodziei, naraz ryknął śmiechem, rozciągając wargi, ściśle kryjące końskie zębiska w tej przepastnej paszczęce. Tańczył przy tym cały w swoim krześle wymachując rękami. Później zorientowałem się, że to był całkiem dziecinny gość bez żadnego polotu. I bynajmniej nie nieszkodliwy, bo działał już w różnych przedsiębiorstwach, które zbankrutowały, a jego szczytowym dokonaniem było przemienienie pewnej obory na peryferiach Holandii Północnej w coś w rodzaju wschodniego wiszącego ogrodu restauracyjnego pełnego rozwrzeszczanych papug i z garścią egzotycznych puszczałskich koloru mokki w charakterze kelnerek, takich żołnierskich zabawek pozostałych po wojnie kolonialnej. To też okazało się niewypałem, bo chłopstwo żarło jedne befsztyki z grochem strąkowym. Ale i z tego połacanego Hermesa naturalnej wielkości wyszły mu nici. (Myszę, że ta moja odmowa wiązała się bardziej z tym, jak widziałem tego szkaradnego typu, co do którego podejrzewałem, że ona z nim żyje, co później okazało się prawdą, niż z tym, że uważałem za niesłychane zrobić coś za darmo. Bo dla ojca Olgi byłem gotów postawić na każdym rogu ich stoiska jednego Hermesa, choćby tylko za to, że kiedyś, szydząc z tych niemieckich noży, które ciągle jeszcze rozdawali jako prezenty dla stałych odbiorców, powiedział: „Moglibyśmy ten nasz zakład przechrzcić z Hermesa na Herr Messer”.) No i dobrze, spłynęli żegnając mnie oziębłe. Ona z tym swoim pawianem, który szedł za nią z rękami zwisającymi prawie do kolan i kciukami wystawionymi na zewnątrz, układ, który w

akademii nauczyli nas nazywać Pozą Anatomiczną, ale który nadawał mu wygląd faceta mogącego w każdej chwili warknąć i kogoś dorwać tymi łapskami. W dniu otwarcia wystawy jej matka zadzwoniła do mnie z miodek w gębie. Czy może na chwilę prosić do telefonu córkę, Kiedy Olga odłożyła słuchawkę, miała wypieki podniecenia na twarzy. (Potem sobie pomyślałem, że ta zjechana raszpla, nazywająca siebie jej matką, może już wtedy rozmawiała z nią o zaaranżowanym spotkaniu z ich najlepszym kontrahentem.) Matka zaprosiła ją, żeby przyszła na drinka z okazji otwarcia ich stoiska, gdzie będzie trochę ludzi z firmy. Natychmiast zaczęła wkładać swoją piękną sukienkę w prążki, a ja zostałem przy swojej rzeźbie z rękami w glinie, że nawet nie mogłem jej objąć, gdy wychodziła. Koło czwartej zadzwoniła. W głosie było słycać takie samo podniecenie, jakie przy poprzednim telefonie było po niej widać. Wtedy jeszcze sądziłem, że to od alkoholu. Szli w jedno miejsce coś zjeść. Czy mam ochotę się przyłączyć. Co to za „oni” szli, mogę się zaraz przekonać. I tak znalazłem się w restauracji indonezyjskiej, za długim stołem wśród mnóstwa ludzi, których nie znałem, ale gdzie Olga czuła się już najwidoczniej zupełnie jak w domu. Przynajmniej z lubością przykładała się do tego powierzchownego pierniczenia. Czasem aż się obejrzałem w jej stronę, czy to rzeczywiście ona koło mnie siedzi, tak mi się robiło dziwno. A cały czas uprzejmi indonezyjscy kelnerzy w batikowych chustach na głowie pochylali się między nami ku stołowi i bezgłośnie stawiali miski i miseczki koło talerzy. Pawian podniósł kieliszek, wydukał parę zdań swoim uach-uach. Przedwcześnie rozległy się brawa i skwaszony opróżnił duszkiem kieliszek i go odstawił. Natychmiast buchnął piekielny koncert noży i widelców. Nie padło już ani jedno słówko. Każdy chapał i się napychał. Kiedy spojrzałem ponad stołem, wzrokiem trafiłem prosto na gębę tego pawiana, który tak nieapetycznie ściągał z patyczka kęsy satehu tą swoją wielką paszczą, że

podobny był do gada, który musi potrzymać chwilę w pysku zbyt wielki łup, żeby złapać oddech. A zestaw ryżowy tak skotłował na swoim talerzu, że wyglądało to jak nieforemna kupa małych wymiocin. Spojrzałem po stole i wtem nagle uderzyło mnie, że ten wysoki wiotki dryblas, co siedział koło jej matki, bo był ich najlepszym kontrahentem, uśmiechając się, jakby żuł gumę, najzwyczajniej w świecie flirtuje ponad wyprzątniętymi do połowy talerzami, miseczkami i kieliszkami z moją Olgą. A ona mu odpowiada. Kurwa mać! Czułem to. Widać było po nim. Miałem takie uczucie, jakby się pod stołem oplatali nogami. Ręce zaczęły mi drżeć i nie mogłem już przełknąć ani kęsa. Czułem, jak wzbiera we mnie ochota, żeby jednym szarpnięciem za obrus rozpieprzyć całe to piękne przyjęcie. Zdaje się, że Olga poczuła, jak się we mnie aż coś gotuje. Nic nie mówiąc i nawet nie śmiać spojrzeć na mnie, wstała i wyszła do toalety. Za chwilę on poszedł za nią. Wiedziałem, że zaczeka na nią w tym ciemnym korytarzyku za szatnią. Że ją tam na chwilę capnie. Zobaczyłem, jak te jego brudne zapocone dłonie ściskają materiał jej sukienki. Nie wiedziałem, co mam robić. Trudno było doskoczyć mu do gardła tylko dlatego, że poszedł do ubikacji. Wrogie nastawienie, jakie wyczułem u stołu, zmieniło się w poszeptywania i prześmieszki. Odczułem nagle współnictwo wszystkich obecnych. Miałem ochotę na cały głos zaśpiewać Marsza Radetzky'ego, tak jak to zawsze robił jej ojciec: Dupa cyc, dupa cyc, dupa cyc, cyc, cyc, cyc. Albo puścić w obieg tamto jego zdjęcie, jakie mu ta podła krowa kazała zrobić, kiedy już nie żył i leżał na marach. I powiedzieć przy tym: „Ładne zdjęcie. Leży z taką godnością. Szkoda tylko, że się poruszył”. Ale tylko siedziałem zeszytywniały, z zaciśniętymi pięściami koło talerza. Tak zobaczyłem ich wracających między stolikami, a kiedy ją przepuszczał przodem koło palmy, dotknął jej przelotnie z tyłu, jakby już była jego. Podły uśmieszek nie schodził z jego gęby. Podszedł z nią, wysunął jej krzesło, zrobił

elegancki gest i podsunął znów krzesło, kiedy siadała. Wiedziałem, że pewnie pożądliwie spojrzeł, jak jej dupa opadła na siedzenie. A przy stole puszczają oko, cichcem się śmieją, a mały łysy księgowy, który i tak już wyglądał w tym fraku jak ubrany karaluch i który od dawna powtarzał jej matce, że dziewczyna ze świata interesu nie jest na właściwym miejscu w tym ubogim świątku artystycznym, teraz nawet zakaszał znacząco, żeby dać poznać, że i on ze swoim liczydłowym mózdzkiem wszystko na wylot zrozumiał. Krew jakby całkiem ze mnie odeszła. W głowie miałem lodowate zimno i pięściami musiałem dusić skurcz w żołądku. Naraz w oczach tego pawiana naprzeciw mnie zobaczyłem, co się stanie, zanim sam się zdążyłem zorientować. Jego szczeciniaste brwi skoczyły w górę i przesunęły pomarszczoną miękką skórę na czole do przetłuszczonej czupryny. Wtedy ze mnie chlusnęło.

Widziałem bryzgi na talerzach i ściankach kieliszków. I na ubraniach ludzi naprzeciw mnie. Tamten goryl dostał nawet parę chlapnięć wielkości monety na gębę. Parę kobiet zapiszczało, a każdy odłożył sztucę i przestał żreć, bo za zębami poczuł jedzenie jak wymiociny. Nadbiegli wybatikowani kelnerzy, którzy też nie bardzo wiedzieli, co z tym fantem zrobić. Na dokładkę puściłem z ust falę bryi koloru zupy pomidorowej, która chlapnęła na obrus plakatem wielkości supernaleśnika. Z wyraźnym rozpoznawalnym łajnowatym zlepkiem kawałków mięsa, strączków katjangu i strawionych w połowie przez soki żołądkowe resztek pieczonego śledzia z południowej przekąski. Kwaśny zapach rozszedł się po restauracji. Wszędzie przy stolikach przerywano jedzenie i z obrzydzeniem patrzono na plamę. Łzy napłynęły mi do oczu z powodu okropnego niesmaku w głębi nosa. Ktoś szarpnął za moje krzesło i kierownik firmy zapytał z odwróconą na bok twarzą, czy nie byłaby pora, abym udał się do toalety. Nie ocierając ust serwetką wstałem i poszedłem między stołami do ubikacji. Wiedziałem,

że obracają się w ślad za mną głowy. Słyszałem ich szepty. Ale nic nie widziałem. Kiedy znikłem z ich oczu, w korytarzyku do toalety, nogi mi się zaczęły plątać. Musiałem się przytrzymywać ściany, bo kolana uginały się pode mną. W toalecie podszedłem do jednej z umywalek i oparty na wyprostowanych rękach spojrzałem w lustro. Przeraziłem się swoim widokiem. Twarz miałem przezroczyście białą i oczodoły jak u Bustera Keatona. Z kąta ust biegł upačkany ślad ku brodzie. Przyjrzałem się sobie. Myślałem, że umrę z powagi. Wtem poczułem wypychaną nową falę. Nie nachyliłem głowy do umywalki, tylko puściłem to prosto w lustro. Nie czekałem, aż moja twarz znowu stanie się widoczna spod spływającej bryi. Nabrałem łyk wody i wypłukałem kwaśne grudki z ust. Potem poszedłem do kąta, urwałem odcinek ręcznika i wytarłem twarz i ubranie. Wtem wszedł pawian. Nie zauważył mnie. Podszedł prosto do umywalki, przed którą dopiero co stałem. I wtedy po raz pierwszy mogłem zrozumieć, co powiedział. Na cały głos bluznął: „Kurwa mać” i poszedł do drugiej umywalki. Po chwili przydreptał mały łysawy księgowy w upstrzonym fraku. Zza pleców słyszałem, jak mówi do pawiana: „Tu też jeszcze coś jest. Okropność!” Wyszedłem i w korytarzyku prawie wpadłem na Olgę, która wyprzedziła matkę. Nie spojrzała na mnie i chciała sobie pójść do damskiej toalety. Moja pięść nagle uderzyła. Prosto w jej oko. Uchyliła się do tyłu i oparta o ścianę stała z pochyloną głową, jakby nie chciała wybuchem szału tuszować faktu, że sama jest wszystkiemu winna. Ale jej matka zaczęła wymachiwać wokół siebie torebką i rwała się, żeby mnie powstrzymać. Odepchnąłem ją ręką na bok i nagle moja dłoń zapadła się w tamto nic pod usztywnionym materiałem, gdzie była ta wyjęta pierś. To już było nie na moje nerwy. Ruszyłem przez salę restauracyjną do wyjścia. Usłyszałem pisk jej głosu ponad innymi: „Cham!” I przez jedno мгnienie widziałem, jak pozostali goście stali każdy za swoim krzesłem, podczas

gdy batikowe głowy potulnie sprzątały ze stołu. Pobiegłem przez hol na dwór, ale nagle przystanąłem i z opanowaniem wsiadłem do taksówki, która dostarczyła do restauracji jakąś indonezyjską parę. W domu otępiąły z bólu zwałem się na łóżko, nawet nie wiedząc, czy spałem, czy leżałem półprzytomny, kiedy zadzwoniła do mnie w środku nocy. Powiedziała, że to chyba dla mnie oczywiste, że nigdy nie wróci do domu. Że potwornie wygląda z tym podbitym okiem i że to już drugi raz w ciągu paru miesięcy. (Tak rzeczywiście było. Kiedyśmy raz wracali z przyjęcia przez Oude Zijds Achterburgwal, zaczęła mi się po pijanemu wieszać na szyi jakiemuś sutenerowi, który w lot pojął, co to by dla niego była za gratka. Z trudem udało mi się ją od niego odciągnąć. A ponieważ ten tchórz nie kwapił się do bicia, ona oberwała ode mnie w oko. Ale nie tak mocno, jak za drugim razem.) To mnie zmroziło. Powiedziałem, że może spokojnie zostać dalej w tym hotelu, skąd dzwoni, i spać sobie z tym gnojem. Że nie musi używać swojego oka jako usprawiedliwienia. I że życzę jej dużo szczęścia z tym żonatym facetem, bo niech wie, że widziałem rowek na palcu tamtego oszusta w miejscu, gdzie nosi obrączkę. Że niech sobie rano pomaca kieszenie jego marynarki, to ją na pewno wyczuje. Trafiłem w dziesiątkę. Rzuciła natychmiast słuchawkę. A wtedy moja wściekłość i głębokie poczucie krzywdy wyładowały się w samoagresji. Jeden po drugim łapałem jej portrety i szkice i tłukłem w drobny mak o podłogę. Skorupy gipsu strzelały w okna i sufit. Rysunki z nią zrywałem ze ścian i darłem, i jeszcze na dodatek deptałem. I jak tylko zobaczyłem gdzieś kawałek gipsu, w którym można było rozpoznać coś z niej, jeszcze raz brałem i waliłem pod nogi o ziemię, aż się rozprysł. Kiedy wszystko było zniszczone, obejrzałem zdyszany i śmiertelnie zmęczony rumowisko. Naraz poczułem się całkiem spokojny. Jakbym wszystko zostawił za sobą. Albo jakbym zrobił się pusty w środku. Wtem natknąłem się wzrokiem na kota, który wlaź pod krzesło w kącie

i patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami pełnymi strachu. Zabrałem go stamtąd, położyłem się na łóżku i posadziłem go sobie na piersi. Tak zasnąłem.

Centrala czarownic

Przez pierwsze tygodnie potem, które spędziłem w łóżku, w fantazjach puściłem swoją mściwość na żywioł. Łomami po łbach, żeby mózg rozpryskiwał się dookoła jak smarki z nosa, z ciężkiego pistoletu pneumatycznego w skroń, do popsutego samochodu, który pójdzie na dno kanału Ren-Amsterdam, gdy oni w rozpaczy będą walić pięściami w szyby, a statki kilwaterem zatrą ślady zbrodni. Wlokłem ich martwe ciała po plaży, żeby je porzucić tam, gdzie nikt ich nie znajdzie. Pozwalałem, żeby na nie strzeżonym przejeździe pociąg rozjechał ich na marmoladę. Linczowałem ich. Łamałem kołem, torturowałem w podziemiach. Zwyczajnie wdeptywałem w ziemię, póki nie zostało po nich nic więcej oprócz głębokich odcisków moich zelówek. Jedyne, co po tych demonicznych snach na jawie stawało się dla mnie jasne, było to, że nieodwołalnie ją straciłem. Że przegrałem. Że co najwyżej mogę się jeszcze wybrandzlować przy jej zdjęciach, kiedy ta mieszanka uczuć zemsty, nienawiści i gniewu ustąpi potwornej, wykańczającej tęsknocie do niej. Po czym wraz z ostatnim zdyszaniem krzykiem ten domek z kart zawali się i zostawi mnie samego z sobą i z zaplamioną pościelą. Kiedy wreszcie nie mogłem już tego wytrzymać i wyrwałem się z tej śmierdzącej nory, wpakowałem najpierw do śmieci kocie balaski, szczyrby gipsu, cuchnący wazon z kwiatami, które już dawno osypały się na stół, cebulę z prawie półmetrowym szczypiorem, który wybujał na blacie przy zlewie, i uschłe kwiatki doniczkowe, po czym pojechałem do Rotterdamu. Zdobyłem jego tamtejszy adres i nawet nie sądzę,

żeby tam jechał po to, żeby się bić albo rozmawiać. Chciałem tylko zobaczyć dom, gdzie mieszkał. Zajrzeć do środka. Spróbować odkryć, cóż to było. Cóż ją pchnęło do tego mężczyzny. Może, aby pochwycić okiem jedno mgnienie ich szczęścia. W kawiarni w pobliżu poczekałem, aż się zmierzchno. Potem poszedłem na ich ulicę, odszukałem numer i spojrzałem, czy jego nazwisko widnieje na drzwiach. Z odwróconą twarzą przeszedłem obok oświetlonego okna, przekroczyłem jezdnię, zawróciłem i z drugiego chodnika popatrzyłem do środka. Najpierw pomyślałem, że pomyliłem domy, kiedy zobaczyłem kobietę z dzieckiem przy stole. Przeszedłem przez jezdnię i stanąłem tuż przed oknem. Była to kobieta po trzydziestce.

Wyglądała na zaharowaną. Naraz przerażenie. Chłopczyk, który siedział obok niej, był kaleką. Coś w rodzaju mongolizmu i gesty wyuczone w ośrodku rehabilitacyjnym. Czułem, jaki się ze mnie robi nędznik. Nie byłem w stanie czekać na tramwaj. Zatrzymałem taksówkę i kazałem się zawieźć na stację i najprędzej, jak tylko mogłem, dałem nura do pociągu, bo miałem takie wrażenie, jakby cała ta smutna scena przesuwiała się razem ze mną. Jakiś czas potem, między jednym moim ekscesem erotycznym a drugim (już sam nie wiem, co robię z tego żalu) – Bellą siaką, która zanim się oddała, musiała mieć pizdeczkę wylizaną z łasuchowatym mlaskaniem, a Ireną owaką, która chciała najpierw ugryźć mnie w jaja, zanim mogłem ją przyszpilić – zadzwoniłem z walącym sercem do Olgi. Odebrała jej matka, która powiedziała, że nie pojmuje, skąd ja czerpię tyle bezwstydu, żeby telefonować po wszystkim, co wyrządziłem jej córce. Powiedziałem, że jej córka jest wciąż moją żoną i jeśli ma to się skończyć, to wciąż jeszcze to i owo trzeba załatwić przed ewentualnym rozwodem. Wtenczas dała mi Olgę. Jej głos brzmiał głucho. Spytałem ostrożnie, jak się miewa. Powiedziała, że wciąż jeszcze prawie nie może patrzeć na to oko. Powiedziałem, że sobie na to

zasłużyła. Długo nic nie odpowiadała i bałem się, że rzuci słuchawkę. Ale zapytała, po co właściwie dzwonię. Że przecież wszystko między nami skończone. Powiedziałem, że to przecież byłoby niepoważne po tylu latach. Że tak przecież nie można. Że w każdym razie chciałbym z nią jeszcze porozmawiać. Że mam do tego prawo, że nie może mi tego odmówić. Po mnóstwie bezsensownej gadaniny raz po tej, raz po tamtej stronie i wzajemnych wyrzutach, zgodziła się na to. I tak w tamten spaskudzony deszczowy dzień w maju znalazłem się w pociągu do Alkmaaru przez to całe mokre zielone draństwo. Obmyśliłem, że najlepiej byłoby ją stamtąd zabrać albo udusić. I rzeczywiście wyglądałem jak dusiciel, kiedy pokazałem się na ich ulicy. Złachmaniony od deszczu i z włosami w strąkach przez całe czoło aż do brwi. Zanim skręciłem za róg, wypaliłem jeszcze w jednej bramie papierosa, żeby mojej głowie zdążył wrócić uroczy łobuzerski wygląd. Bo współczucie to najgorszy wróg miłości. Stały w oknie. Olga i jej matka. Już ona dała swojej córce szkołę przed tą rozmową, suka jedna. Widziałem to po niej. I naraz też zauważyłem, że patrzą na mnie w identyczny sposób. Jakbym był łupem. Po podbiciu oka nie było już śladu. Gdy tak spojrzałem w górę, próbując wykroić jakiś uśmiech wokół mojego mokrego, zapadanego papierosa, pomyślałem sobie: „Centrala czarownic” (To pochodziło od ojca Olgi. Kiedy po raz pierwszy pokazywał jej Amsterdam i przechodzili koło wieżowca, nad którym wisiał gęsty ciemny dym, unoszący się z komina centralnego ogrzewania, powiedział, że to właśnie jest Centrala czarownic. Tak jak on też powiedział, że sparaliżowanego człowieka ze sklepu z cygarami żona więzi w pudle pod ladą.) Kiedy siedziałem już naprzeciw niej w pokoju – jej matka nie pokazała się, ale czułem, że gdzieś się zaczęła i nastawiła swoje węzowe uszy słuchając, żeby móc przy najmniejszym podejrzeniu wpaść do środka – nie bardzo wiedzieliśmy, co powiedzieć. Miała na sobie rzeczy,

które można było kupić byle gdzie w sklepie i w których jej nie było dobrze. Wisiały na niej jak na wieszaku. Byłem ciekaw, gdzie się podziała jej sukienka w prążki. Może ją ze wstydu cisnęła do śmieci. Ponieważ nie czuła się w niej tak jak lśniące jabłko. Zresztą pewnie też już źle na niej leżała. Schudła i to jej powiedziałem. Prawie tak niezręcznie jak pierwszy komplement. Powiedziała: „Krokodyl mięso zje, a nad kośćmi płacze” i na tym na razie poprzestaliśmy. Wstałem, podszedłem do okna i popatrzyłem na kwitnące anturia na parapecie, które jej ojciec zawsze nazywał: „Kutas na półmisku”. I popatrzyłem na bramę naprzeciwko, w której stałem przed laty, żeby na mgnienie ją zobaczyć. I pomyślałem o tym, że teraz po tylu latach tak samo szaleję na jej punkcie i że zawsze tak już zostanie. Że nigdy mi to nie przejdzie. Zaciśnąłem pięści, bo wszystko było popsute i zmarnowane. I tak odwrócony do niej plecami, drżącym głosem zacząłem swoje wyrzuty. Czasem wtrącała coś krzykiem. Twardym i zjadliwym głosem, jakiego nigdy u niej nie słyszałem. I zrobiła się z tego regularna kłótnia, której w końcu miałem dosyć, bo niszczyła ostatnią szansę na to, że między nami znów będzie dobrze. Odwróciłem się i podszedłem do niej. Cofnęła się ze strachem i widziałem po jej twarzy, że chciała zawołać: „Mamo” albo „Mamusiu”. W parę kroków byłem przy niej i złapałem ją za barki, I już bała się zawołać, tylko patrzyła przestraszona na drzwi. Poczułem się strasznie podle i łzy nabiegły mi do oczu, bo jedno jej oko miało jeszcze żółtą obwódkę, a ona była taka zalękniona. Jak przerażone zwierzę, które pojmuje, że już nie może uciec. Odchyliła się do tyłu tak daleko, że uderzyła głową o drzwi szafy. Kiedy chciałem ją pocałować, zaczęła nagle histerycznie szeptać: „Żebyś wiedział, że te usta już innego całowały. Te usta całował już ktoś inny”. Kiedy wziąłem jej wargi w swoje, były wiotkie i miękkie, i także jej ciało było bezwładne. Jakby mogła osunąć się na podłogę, gdybym ją puścił. Ale zęby trzymała mocno zaciśnięte. Nie mogłem dobrać się do

jej języka. Wtem za drzwiami zachrzękała parę razy jej matka. „Nie trzeba herbaty?” zapytała swoim fałszywym tonem. Trzeba. I tak siedzieliśmy znowu rozmawiając godzina po godzinie. O tym wszystkim, o czym się nie rozmawia. Bo jeśli się o tym rozmawia, to już jest nieodwołalnie źle. To już jest za późno. To i rozmowa już nie ma wtedy sensu. I po godzinach, kiedy już od tego pieprzenia gęba mi zeszywniała i czułem, jak język tkwi tam suchy i nierzeczywisty, jej matka wtoczyła barek z kanapkami, sama się nie pokazując. I pozuwałem tak półgębkiem, bo się brzydziłem tych kanapek, zrobionych przez tamtą ropuchę. Potem rozmawialiśmy dalej. A właściwie ja wciąż mówiłem. A kiedy doszedłem do matki, że to ona jest wszystkiemu winna, że to ona namieszała jej w głowie, bo widziała korzyść dla przedsiębiorstwa w jej małżeństwie z tantym, wtedy szeptałem i wskazywałem jak zaklinacz na drzwi, jakby tam znajdowało się całe zagrażające nam zło. Czasem oponowała, blada i zawzięta. Ale przeważnie słuchała i potrzasała głową, jeśli z czymś się nie zgadzała. I parę razy uderzyłem poniżej pasa, mówiąc o jej ojcu. Że tak bardzo mnie lubił i że ta cała kwestia pieniężna ani krzty go nie obchodziła, bo widział, że jest szczęśliwa. I że by się w grobie obrócił. Powiedziało mi się to, zanim sobie uzmysłowiłem, że leży spopielony w urnie. Ale musiałem tak zrobić. Musiałem ją zmiękczyć. Musiałem przebić się przez tę skorupę, którą swoim fałszywym jęzorem ulepiła jej matka. Więc popatrzyłem w okno i trochę pomilczałem, a potem powiedziałem, że jeszcze widzę jej ojca, jak stoi w oknie i spogląda na zachmurzone niebo, mówiąc: „Niechby się to słońce wreszcie przebiło. Tylko żeby nie wszystko z niego uszło”. I przypomniałem, jak raz podczas ulewy wrócił z Den Helder drogą nad Kanałem Północnoholenderskim: „Padało tak strasznie, że ryby nawet nie zauważały, jak przestawały być w wodzie”. Na to naraz popłynęły jej łzy po policzkach. A jej matka jakby zwietryła niebezpieczeństwo grożące

córce, bo przy kolejnym takim momencie, kiedy Olga z czerwonymi od płaczu oczami prawie padała na kolana i na ustach miała wypisane, że wraca ze mną, ta zgreda zapukała do drzwi wołając, że na mnie już pora. Że to już dość długo trwało i że muszą iść spać. Kiedy spojrzałem na zegar, było już za późno, żeby wracać do domu pociągiem. Ta baba chciała mnie tak, jak stałem, wyrzucić na ulicę, ale po długiej szeptance z Olgą w korytarzu, z której nawet po przyłożeniu ucha do drzwi nic nie mogłem zrozumieć, wolno mi było zostać na noc. Na górze w pokoju gościnnym. Niedysyjszym pokoju Olgi. Był jeszcze dokładnie taki, jak go zostawiła. Wyglądało na to, jakby tamta zawsze liczyła się z tym, że córka jeszcze kiedyś znajdzie się z powrotem Pod skrzydłami mamusi. (Stało to wciąż na jej półce.) Położyłem swoje ubranie na krzeselku o śmiesznych nóżkach, które nazywała kiedyś Spłoszonym Jelonkiem i w którym z wypiekami na twarzy czytała w napięciu o *Uparcuszce*, jak sobie ścinała warkocze w internacie. I wziąłem się do szukania miejsca, gdzie rozcięła nożyczkami firankę, kiedy pewnego razu z jedną koleżaneczką przytrzymały na łóżku grubą dziewczynkę sąsiadów i zdjęły jej spodnie, a wtem weszła matka z miseczką czekoladek. Z rozdrażnienia i zawstydzenia z powodu tego półnagiego grubego dziecka wzięła wtedy nożyczki i ciachnęła nimi raz firankę. Otwarcie, że zobaczyła to matka. Dostała za to straszne lanie. Nie mogłem znaleźć tej dziury. Firanki musiały być nowe albo to się zdarzyło w poprzednim mieszkaniu nad kanałem, o czym opowiadała, że woda odbijała słońce na sufit i że to było takie uspokajające. Że mogła leżeć na łóżku jak przymurowana i się godzinami na to patrzeć. W środku nocy poszedłem sprawdzić drzwi sypialni Olgi, ale były zamknięte, jak się spodziewałem. Zastukałem najpierw leciutko, ale kiedy zacząłem stukać mocniej, usłyszałem, jak matka zapala u siebie światło. Szybko wszedłem do ubikacji, gdzie wciąż jeszcze do drzwi była przyklejona kartka, na której

jej ojciec niekształtnymi kapitalikami napisał: CHCESZ COŚ PRZEŻYĆ NIESPODZIANIE, TO SPUŚĆ WODĘ, ZANIM WSTANIESZ! Na pewno nie mogli tego oderwać, bo inaczej już by znikło razem z jego zasmarkanym fotelikiem. A ponieważ dałbym sobie głowę uciąć, że jeszcze nikt nie skorzystał z jego szelmowskiej propozycji, pozostałem na sedesie pociągając za łańcuszek i wróciłem do łóżka z zimnym i mokrym tyłkiem. Ale jednak nie mogłem spać. Owionęła mnie cała jej młodość w tym pokoiku ze wszystkimi śmiotkami z dawna, książkami na półce i nade mną na pulpicie tapczanu-półki. Jej wszystkie pluszowe misie i wazoniki, garnuszki i inne pierdółki. Ale ani jednej lalki. Biedna wiewióreczka. Stała mi przed oczami jako dziewczynka, tak jak ją znałem ze zdjęć. Z wyłamanymi siekaczami, których nie mogła ukryć, bo zawsze się śmiała do aparatu. Znowu usłyszałem chłopaków z jej klasy, jak ją przezywają: „Lampka z Abażurem”! A Pietje Golhof napalony mówi, próbując wcisnąć palce między jej zaciśnięte uda: „Jedenasty paluszek Jasia w drugą buzię Marysi”. Zobaczyłem ją, jak na tym samym łóżku czochrały się z koleżankami jedna o drugą w trakcie zabawy w Złamanego Kutasa i trzeba było co rusz którejs z dziewczyn przyklepać z plasteliny nowego. Tutaj z nimi śpiewała: „Raz, dwa, trzy, cztery, Dzwoni dzwonek na koniec przerwy, Teraz na sali gimnastycznej Będą jebnięcia praktyczno-techniczne. Pan profesor pokazuje, Jak się pizdę jebie chujem. Młode jebury z długimi chujami Już też się pierdolą z koleżankami. Proszę pana, proszę pana, Ja byłem tylko raz ruchana. Raz, dwa, trzy, Jebiesz ty”. Usłyszałem, jak Nancy, która w ferie wielkanocne mieszkała u ciotki w dzielnicy czerwonych świateł, szepcze je znowu do ucha: „Wychodzą ci stamtąd tacy czerwoni na twarzy. A na podeście jeszcze jakoś tak niepewnie idą. Żeby tam nie wiem co, muszę się dowiedzieć, co to jest”. I ojca, jak zdyszany po przebyciu schodów i rozradowany po spacerze jak dziecko, wtacza się

do jej pokoju i bez tchu woła: „Czarny łabędź jadł mi z ręki”. Zapamiętała to na zawsze, bo tamtego dnia miała pierwszy raz w życiu miesiączkę i w strachu siedziała u siebie, bo matki nie było w domu, a sama nie wiedziała, co z tym zrobić. Co jakiś czas zapadałem w jakiś półsen, z którego budziło mnie wściekłe podniecenie. Zdawało mi się, że jak pies czuję na odległość wielu metrów zapach jej cipy. Ale już nie miałem odwagi ruszyć jej drzwiami. Bo wiedziałem, że tamten cerber w skórze matki waruje tam z uszami w szpic. To znowu moją rozespaną głowę nawiedzały napawające strachem widzenia: słyszałem spuszczenie wody, prześlizgiwałem się na dół i w chwili, gdy czubki moich palców wyczuły miękki materiał jej nocnej koszuli, atakowałem. I dopiero jak po szamotaninie podarłem to na strzępy i w niej siedziałem, zorientowałem się, że to była ta wstrętna suka. Zresztą ją pierwszą zobaczyłem, kiedy tamtego rana, chory po nie przespanej nocy, wyrzałem na dwór. Szła pasem zieleni z głową w papilotach jak Meduza, prowadząc za sobą spalone suczysko, które opędzała kijem od szczotki, bo tamta klucha miała cieczkę. Prędko zbiegłem na dół i sprawdziłem drzwi do sypialni Olgi. Były otwarte. Spała znów tak samo jak kiedyś z kciukiem w ustach, z wypuczoną dupę na całą szerokość łóżka. Błyskawicznie ściągnąłem z siebie bieliznę i wsunąłem się koło niej. Ostrożnie przepchnąłem ją tak, żeby mieć ją w wygodnej pozycji. Koszula nocna była już przez obracanie się z boku na bok podkasana. Była okręcona wokół jej korpusu jak draperia bogini z Partenonu. Wtedy na nią wszedłem, delikatnie rozchyliłem kolanami jej uda i wbiłem się w nią. Najpierw leżała bezwładnie i ciężko, tylko jej lepkie wargi, pomiędzy których wysunął się kciuk, wydeły się wyuzdanie. Ale nagle zesztyniała, zanim jeszcze otworzyła oczy. Natychmiast schwyciłem ją w objęcia i przycisnąłem usta do jej warg. Nie tylko dlatego, żeby ją pocałować, ale głównie po to, aby nie mogła krzyknąć. I

podczas tych zmagani owego zwierzenia o dwuch grzbietach, ktore zdawalo sie nie wiedziec, do czego zmierza, dziko i zapalczywie ja ujezdzałem. Kiedy wyrwala sie spod moich ust, myslalem, ze zacznie krzycec. A ona powiedziala, ze jezeli natychmiast jej nie puszcze i sobie nie pojde, to zawola matke. Zabrzmialo to tak idiotycznie, ze nie mogłem powstrzymac smiechu i malo sie z niej nie wysliznałem. Kiedy powiedzialem, ze nic by to nie dalo, bo tamta wyszla z psem, naraz sie rozluznila i dala mi wolna reke. Ale jednak tak samo histerycznie jak poprzedniego wieczora zaczela glosno szeptać, ze mial ja juz ktos inny. I ja sam zaczalem prawie beczac odkrzykiwac jej, ze nic mnie to nie obchodzi. Ze tak nieprzytomnie i do szaleństwa ja kocham, ze bylbym w stanie wylizywac jej z pizdy nasienie kochankow. I prawie od samych moich slow sie spuscila, tak sie mimo woli rozbujala. A ja sie powstrzymywalem, bo chcialem jej tak dogodzic, zeby niepredko zapomniala. To wtedy znowu zaczela krzycec, zebym uwazal. Zwlaszcza teraz. Nawet by nie wiedziala, z kim zaszla w ciagle. Ale ja pchalem sie dalej, wtedy sie rozluznila i poszla na calosc. Kiedyśmy sie oboje prawie zwalali, nagle ode drzwi dobieglo glosne bębnienie. Calé ciało Olgi nagle stwardnialo jak kamien. Wszystko sie scisnelo i mój kutas uwiązl w srodku. Wtedy wpadla z krzykiem matka. Zaczela w niepowazny sposob bic po kocu, co wygladalo na przesadny wschodni rytual zalobny, a przy tym wymyslala mi od lobuzow, gwalcicieli i grozila policja, jezeli natychmiast sie nie wyniose. Wreszcie zdarla z nas koc. W tej samej chwili poczulem, jak moja zakleszczona czesc wraz z buchaniem mojej krwi tryska w jej zesztynialé ciało. I uslyszalem tuz koło ucha, jak mimo całego strachu i skurczu Olga stęknęła „aaa”. Zdaje sie, ze jej matka poznala po moich kurczacych sie posladkach, ze sie zwalilem w jej córe, bo zaczela mnie szarpać i ciągnąc za kostki. I od razu Olga od nowa zaczela mi sie wrywac i bębnic o pierś pięciami.

Wyszarpnąłem się z szamotaniny, wygarnąłem spod łóżka swoją bieliznę i z kutasem ociekającym jeszcze spermą wyszedłem z pokoju. Zanim zamknąłem za sobą drzwi, zobaczyłem jeszcze, jak Olga siedzi na łóżku z podciągniętymi kolanami i osłaniając ramionami głowę, jakby się bała, że zostanie oćwiczona. Nawet w łazience przy szumie wody z dużego kranu słyszałem jeszcze przeraźliwy wrzask tej przekupy. Ale ja czułem się wspaniale, jak po tryumfie. Bo mała zakrzyczała z rozkoszy na oczach matki. I kiedy pysznie się wykąpałem w chmurach piany i jak nowo narodzony w ubraniu wyszedłem z łazienki, jej matka stała blada z wściekłości czekając na mnie w hallu. Powiedziałem, że chcę się pożegnać z Olgą, i podszedłem pod drzwi sypialni. Najpierw chciała mnie powstrzymać. Z wargami zaciśniętymi do bledości. Odepchnąłem ją na bok, ale to niewiele pomogło, bo drzwi były zamknięte na klucz. Pukałem, waliłem, wołałem ją po imieniu i krzyczałem na nią, kiedy wciąż się nie odzywała. A przez cały czas to babsko wołało do córki, żeby nie odpowiadała słowem takiemu łobuzowi. Wreszcie poszła do pokoju, wyjrzała zza drzwi ze słuchawką w rękę i zagroziła, że zadzwoni na policję, jeżeli natychmiast się nie wyniosę. Zawołałem jeszcze do Olgi, że do niej zadzwonię, że powinna do mnie wrócić. Że nie powinna dać sobie zatruć życia tej kreaturze. Że nigdy nie przestanę jej kochać i na nią czekać. Potem, nie mówiąc tej bladej chorej czarownicy, że chce skurwić swoją córkę z tym, kto najwięcej da, i bez mściwych krzyków opuściłem ten dom, w którym potem nigdy więcej nie byłem.

Cezar i Bardotka

Człowiek jest podły. Wszystkiego się chwyta. Rozpaczliwe zabiegi, kiedy miłość przestaje wychodzić z dwóch stron. No bo kiedy przez okno kawiarni, gdzie na nią czekałem, zobaczyłem, że nadchodzi,

podszedłem prędko do szafy grającej i nastawiłem tę szczekliwą płytę *Oh, Suzanna*, której zawsze, chodząc po pokoju, wtórował hauknięciami jej ojciec. Już raz ją puszczałem, bo przyszedłem godzinę za wcześnie zabrawszy ze sobą akt intercyzy, książeczkę małżeńską i sześćset guldenów w szarej kopercie. Przez telefon uzgodniliśmy, że każde przyniesie po trzysta guldenów na adwokata, ale byłem pewien, że jej matka już się o to postara, żeby nie miała grosza przy duszy. Przeczytałem chyba z dwadzieścia razy intercyzę. Te smętne rządkie przedmiotów, które przyszła małżonka „wnosi do wspólnoty małżeńskiej”. Elektryczna maszyna do szycia (opylona za marne grosze przyjaciółce), kanapa z kapą i innymi dodatkami (chyba z nią samą), różne widelce i noże (marki *Adolf H.* albo *Gott mit uns*). „Żona będzie rozporządzać swoją własnością ruchomą i nieruchomą oraz swobodnie spożywać owoce...” Widać, że sobie nie żałuje, pomyślałem, widząc, jak wpływa zamasyście do kawiarni pozostawiając za sobą szachnięcie obrotowych drzwi. Włosy miała rozpuszczone. Były jak rudy baldach szeroko rozczesane na ramiona. Włożyła czerwony kostium oblamowany białym futerkiem. Coś z zimowej wyprzedazy. Musiało jej być w tym ciepło. Kiedy zauważyła, że siedzę, pozeglowała prosto na mnie nie oglądając się na boki. Jak kot, który na coś poluje i niczego poza tym nie widzi. Mężczyźni spojrzeli znad stołu z gazetami. Poznali to po samej jej odzieży. Odebrali ją jako panienkę, u której można coś wskórać. Dziewoja z prowincji niesiona prądem. Przy moim stoliku zatrzymała się. Nie chciała kawy. Woląta, żebyśmy od razu poszli. No i, aha, tych trzystu guldenów nie mogła zdobyć. Więc czy mógłbym za nią na razie założyć. Z miejsca wśliznęła się w obrotowe drzwi, a mnie naszała ochota, żeby wsunąć stopę w szczelinę, żeby musiała tłuc się i wrzeszczeć w tej szklanej klatce, aż kelnerzy i panowie od gazet przyjdą ją wyzwolić. Tak głupio i nierzeczywiście wyglądała w tym kostiumie. Gdyśmy już szli ulicą,

powiedziałem, że to jest pierwszy raz, kiedy widzę ją w czymś czerwonym. Powiedziała, że wszyscy o tym mówią w Alkmarze. Widzieliście już Olgę? I że przez jakiś czas nosiła się na brązowo. Kiedy jej przypomniałem, że przecież dopiero parę miesięcy nie jest ze mną, zaczęła się śmiać i powiedziała, że jak Picasso ma różne okresy. A kiedy zapytałem o suknię w prążki, powiedziała, że dała ją służącej. Tamta nie posiadała się ze szczęścia. Musiała ją tylko odrobinę zwęzić. Na podeście przed domem adwokata, gdzie dopiero miałem okazję przyjrzeć się jej dobrze, bo tak popędliwie kroczyła koło mnie, dopatrzyłem się, dlaczego wygląda jakoś tak wapniście i dziwnie, jakby utraciła tożsamość. To nie było tylko jej ubranie. To była przede wszystkim jej twarz. Brakowało mi na niej piegów. Dopiero wtedy zobaczyłem, że ta jej piękna różowa skóra ze wszystkimi brązowymi cętkami była przykryta grubą warstwą brązowego makijażu, który niechlujnie kończył się na szyi, przez co skóra na niej wydawała się sinawa i niezdrowa. Miałem ochotę coś na ten temat powiedzieć, bo płakać się chciało na taki widok. Ale powstrzymałem się, bo już tu na nic nie miałem wpływu. Sama teraz rozporządzała swoim mieniem ruchomym i nieruchomym. Choćby sobie tytłała twarz w cieście naleśnikowym albo chodziła po mieście w szarych plisowanych spódnicach swojej trutki. Spojrzała na mnie i zobaczyła łzy w moich oczach. Nie wiedziała oczywiście, że to było z bezsilnej wściekłości. Z powodu tego makijażu, tego białego króliczego futra, całego tego kurestwa. Dlatego powiedziała, tuż zanim otworzyły się drzwi: „Nie ma rady, chłopcze, nie ma raty”. Zaprowadziło nas do swojego biura uosobienie obrzydliwości. Pulchny tłusty kolos z brzuchem jak beczka piwa, której klepki trzymał w kupie pasek. Uderzająco różowe i wilgotne od śliny usta otoczone burym zarostem, w którym tkwiły płatki łupieżu. Znałem go ze śródmieścia. Był znanym bywalcem kawiarni artystycznych. Najpierw musiałem oddać mu tych

sześć stów, po czym, pewnie dlatego że byłem rzeźbiarzem, wcisnął mi do ręki figurkę z saskiej porcelany, pasterza i pasterkę, i zapytał, ile można za to żądać, bo zamierza to sprzedać. Spojrzałem nieobecny wzrokiem na tę zapchlona parkę i odstawiłem na kominek mówiąc, że moje honorarium za ekspertyzę jest dużo wyższe niż jego. Schował uraz za zasłona smacznego śmiechu, od którego aż mu się rozhuśtał brzuch, zwilżył potężny kciuk o wargi i poszperał w papierach, z których co rusz coś tam mechanicznie wyczytywał, pryskając śliną. Słuchałem jednym uchem, patrząc po regale pełnym kodeksów, przedpotopowych kalendarzy studenckich i z luksusowym wydaniem *Dekameron*. Przelotnie zerknąłem na Olgę, słysząc, jak ten nadęty wieprz chrumkał: „Wniosek o rozwód na podstawie popełnionej przez nią zdrady małżeńskiej”. Spoglądała w sufit, jakby to w ogóle jej nie dotyczyło. Jakby w poczekalni lekarza zmuszona była słuchać poufnych skarg pacjentów. Zdjęła z czerwonej spódnicy parę włosków białego futerka i wtedy właśnie zobaczyłem, że paznokcie ma długie jak muszle i polakierowane na różowo. I przyłapałem się na tym, że mimo woli pomyślałem: „Fajnie, jak takie pazurki capną za kutasa”. Nawet nie skojarzyłem sobie tego z nią. Mięśny budyń przed nami skończył swoje i rozparł się na siedzeniu z brzuchem między nogami, jak japoński mnich, i patrząc na nas kolejno powiedział: „Juliusz Cezar i Brigitte Bardot. Co za szkoda! Czy nie byłoby żadnej szansy złączyć te gołąbki z powrotem?” Dobrze wiedział, że to niemożliwe. Że może spokojnie zostawić te sześć stów, żeby mu wystawały z portfela. Ale żeby się zemścić za ten numer z krajową porcelaną, przed wyjściem wcisnął Oldze do ręki papier, który miałem przed rozwodem podpisać, jeśli jej udałoby się tak mnie skołować. Było tam coś takiego, że oświadczam, iż nie zostało w istocie przez nią popełnione cudzołóstwo, ale że to tylko manewr w celu uzyskania rozwodu. Powiedział jeszcze, że jako

rozwidziona kobieta bez takiego zaświadczenia nie ma prawa wjazdu do pewnych krajów. Na przykład do Afryki Południowej. Powiedziałem mu, że im kraj jest bardziej występny i zbrodniczy, tym bardziej zakłamanym w dziedzinie seksu. I że chyba nie zdaje mu się, że się wybieramy do kraju, gdzie dziewięćdziesiąt procent ludności traktuje się jak zwierzęta. Zauważył uprzejmie, że pani od tej pory sama będzie o tym decydować, i na tym sprawa się zakończyła. Staliśmy znowu na ulicy. Najpierw chciała od razu iść, ale przypomniała sobie o tym papierze, który miałem jeszcze podpisać, i zgodziła się na moją propozycję, żebyśmy poszli gdzieś się czegoś napić. Zawołałem taksówkę i pojechaliśmy do parku Vondela. Gdyśmy szli szerokimi alejami od Rotundy obok krzewów, które kwitły jak szalone, otwarcie flirtowała z każdym przechodzącym mężczyzną, który wypuszczał psa albo siebie samego. Oczywiście po to, żeby mi dokuczyć i udowodnić, że jest zupełnie wolna i może robić, co jej się żywnie podoba. I pewnie też dlatego, że się przedtem tak często musiała powstrzymywać, że miała jeszcze tyle do odrobienia. Było mi to obojętne. Lepiej, że próbowała mnie zranić, niżby miała mi współczuć. Makijaż zdawał się czynić ją bardziej podniecającą niż piegi. No bo to już zaczynało być jak w tamtym dowcipie rysunkowym, gdzie w drzwiach gabinetu lekarskiego stoi dziewczyna, a za nią poczekalnia napełnia się mężczyznami, którzy wołają: „Panie doktorze, coś mi wpadło do oka!” Kiedyśmy wreszcie siedli w ogródku, schowani za żywopłotem, skończyła z tym. Ale zaraz wstała jak oparzona i powiedziała, że musi najpierw zadzwonić. Kiedy wróciła, powiedziała, że nie może dłużej siedzieć, bo za pół godziny będzie na nią czekał przy głównym wyjściu samochód. Zapytałem, czy to dlatego nakłada sobie tego świństwa na twarz, odparła gniewnie, że zrobiła to, bo bez tego wygląda jak wysrana fasola. Zażyczyła sobie jeszcze dodatkowo campari, podczas gdy ja zamówiłem naszą zwykłą

cołę z młodym jeneverem. Sącząc swoją gorycz wydostała papier, położyła przede mną na stoliku i bez nacisku poprosiła, żebym podpisał. Nachyliłem się nad tym i udawałem, że uważnie czytam.

Siedziałem tak z pięć minut, aż zapytała, czy jeszcze nie przeczytałem. Kiedy powiedziałem jej, że nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałbym to podpisywać, bo przecież, do cholery, popełniła cudzołóstwo, ona odparła, że to nie ma nic do rzeczy. Że tam bynajmniej nie o to chodzi. Miałem ochotę złapać ją i ścisnąć za gardło. Wsadzić jej ten upudrowany łeb w to campari krzycząc, o co innego, do kurwy nędzy, w takim razie chodzi, jeżeli nie o tę jej cholerną zdradę. Ale siedziałem spokojnie patrząc na żwir między stopami. Zabrała papier i powiedziała: „Nie to nie”. Naraz wydało mi się to tak potwornie żalosne, że wszystko stało mi się do cna obojętne. Wyszarpnąłem jej świstek z ręki, wziąłem jej wieczne pióro i napisałem: COKOLWIEK ZROBIŁAŚ, ROBISZ CZY JESZCZE ZROBISZ, DOKĄDKOLWIEK PÓJDZIESZ, NIGDY NIE PRZESTANĘ CIĘ KOCHAĆ! I pod tym podpis. Wzięła ode mnie papier i przeczytała. Zmięła w garści w kulkę, którą schowała do torebki, i powiedziała: „Teraz to do wyrzucenia”. Potem wstała i nie żegnając się ze mną poszła między stolikami do wyjścia.

Zapałki bezpieczeństwa

Po całej tej męce i zamieszaniu upłynęło dużo czasu, zanim znowu powoli przyszedłem wreszcie do siebie. Ale już nie brałem się więcej za lepienie matek z dziećmi albo Persefon. Nad Amstelem na tamtejszych wysypiskach wyszukiwałem na wpół zardzewiałą siatkę z płotów i kurników, popsute zabawki, zużyte sprzęty domowe, kawałki kafli, korka, porządkowałem to w atelier na drewnianych podstawach, łączyłem jedno paskudztwo z drugim, zalewałem smołą, złocistym

lakierem albo skrapiałem zawiesiną pyłu kamiennego w żywicy syntetycznej. Potem puszczałem na to płomień z palnika acetylenowego. Aż bulgocząca i wraca pod grubą skórą masa przetapiała się w gorącu na kawał wypalanej ziemi. I obraz był gotowy. Takim sposobem robiłem ich czasem dwa albo trzy w ciągu dnia. Aż atelier było zabudowane ze wszystkich stron i zaczęło być podobne do jaskini nietoperza. Obrazami, których bali się miłośnicy sztuki, ze względu na sam ciężar. Kiedy mi się odmieniło, kiedy na sam zapach tych paskudztw mało nie puszczałem pawia, wtenczas ładowałem całą serię do mojego starego riley'a (wózek dziecięcy jeszcze za czasów Olgi załamał się pod ciężarem płodów mojego ducha) i zatapiałem w Amstelu tak jak niegdyś, tyle że teraz sam i w środku nocy. (Kiedyś Olga, widząc, jak kaczki nurkowały w tym miejscu, powiedziała: „Idą na wystawę”). I przez to opętańcze zalatanie, zaniedbany smoluchowaty wygląd i śmietnikowy błysk w oczach od wyszukiwania odpadków najwyraźniej zaczynałem upodabniać się do cudzoziemskiego włóczęgi, bo podczas zbiórki na walkę z rakiem bystra niewiasta, która dzwoniła puszką z miedziakami, zmieniła na mój widok recytowany tekst: „Na raka... na raka... *the cancer... the cancer!*” Gdy wychodziłem z kawiarni, gdzie wypilem tylko kawę, jakaś starsza damulka syknęła mi: „Wódka to trucizna”. Żadnych panien nie brałem już do domu. Ostatnie dwie odeszły z kłótnią na ustach. Wtedy postanowiłem: koniec z tą kocią muzyką w moim domu. To już lepiej chodzić do kurew. Zresztą to taniej. Im nie potrzebuje człowiek stawiać trunków ani nie musi godzinami wysłuchiwać jakiegoś pieprzenia trzy po trzy. Po półgodzinie jesteś z powrotem na ulicy i możesz brać się od nowa do roboty. A tak ładnie się zaczęło z tamtą Szwedką Astrid. Na początku byłem podejrzliwy, bo zostawiała w popielniczce takie długie, doszczętnie zgniecione niedopałki. Ale tak wspaniale się prezentowała, jak wcielona delikatność ze Szwecji, jak idealna dziewczyna z fotosu, że

zlekceważyłem to ostrzeżenie. Pierwszego wieczora wszystko wyglądało tak pięknie. Myślałem wręcz, że może zostanie drugą Olgą. Powiedziałem, że napiszę jej na brzuchu wyznanie miłosne po szwedzku. I jej wiśniową szminką napisałem na tej niezwykłej tarczy, którą chciało się odchylić włożywszy kciuk do tego dołączka: SÄKERHETS TÄNDSTICKOR! Potraktowała to całkiem poważnie, ale skąd ja miałem, do cholery, wiedzieć, jak jest po szwedzku „kocham cię”? Na początku była miła. Milutka i delikatna. Ale co rusz przybywało jej krytycyzmu. Planowała umościć sobie na dobre gniazdko! Już jej nie wystarczyło, że rano brałem prysznic, ale domagała się, żebym się jeszcze opłukał, zanim poszliśmy do łóżka. Albo kupiła zdrowotną szczoteczka do zębów z taką kądzielą włosów, że mi się rzygać chciało, jak to włożyłem do ust. To znowu z prześcieradłami było coś nie tak. Trzeba było wszystkie koniecznie zmienić. Kiedy powiedziałem, że nie da rady, zaraz zrobiła się sztywna i zimna jak sople lodu. Leżąc na łóżku koło zgarbiętych już na kupkę prześcieradeł. Parę dni później, kiedy wstała z łóżka, żeby pójść do ubikacji, skoczyło jej na łydki tyle kocich pcheł, że wyglądało, jakby miała na nogach ciemne pończochy. W tym swoim podbiegunowym angielskim zaczęła na mnie krzyczeć i kląć, a ja aż zadarłem nogi z uciechy. Wytarła łydki i wyiskała się do czysta, włożyła swoje szykowne ubranie na figurę o należytych wymiarach i znikła z mojego życia. A z Theą, jednym z ostatnich kwiatów, jakie zakwitły na niwie mojego łóżka, poszło jeszcze szybciej. Kiedyś strzeliliśmy sobie partyjkę i potem siedząc na brzegu łóżka z bananem w ręku, który jak zawsze przecięła w połowie i wyjadała łyżeczką jak jajko, opowiedziała mi, że gdy usłyszała przez radio wiadomość o śmierci Marilyn Monroe, to chyba z godzinę płakała. Usiadłem w łóżku i zamarłem, bo też słuchałem tamtych wiadomości i wtedy tak się poczułem, jakby nagle przestała istnieć Olga. Jakby wraz z tą wiadomością na zawsze przepadła.

Żeby pokryć zmieszanie, powiedziałem, że prawdopodobnie gdybym miał umyć i ubrać Marylin po śmierci, to nie obesłoby się u mnie bez erekcji. (*Buf stiff back or stiff knees, You stand straight at Tiffany's.*) Skoczyła na równe nogi, jakby jej pod siedzeniem poruszył się skorpion, i zaczęła mnie chlastać wszędzie gdzie popadło otwartymi dłońmi. Najpierw pozwoliłem jej się wyszaleć, ale kiedy kropnęła mnie w kość nosową, że mało nie padłem, tak się nagle wściekłem, że wywlokłem ją z łóżka i naga wypchnąłem na wietrzny wieczór, ciskając w ślad za nią ubranie. I na tym się ostatecznie skończyło. Żadnej już nie wpuściłem. Tego samego dnia wysypałem do śmieci zawartość pudełka ze szpilekmi do włosów, kolczykami i broszkami, które z biegiem czasu znajdowałem pod i za łóżkiem. Zachowałem jeden jedyny klips w kształcie konika morskiego, który przyczepiała mi zawsze do chuja podczas łóżkowych baraszkowań Ans, Wies czy też Riekie. Jeśli potem potrzebowałem kobiety, chodziłem na miasto, aż znalazłem taką, która była wystarczająco sympatyczna, ale przy tym miała własny dom czy pokój. Tak doszło do tego, że w pewnym domu na Apollolaan, wypchanym lśniącym drogim różowym kiczem, gdzie człowiek mógł golusienki sturlać się po podłogach ze skór i weluru od sufitu do piwnic i ani razu o nic się nie uderzyć, znalazłem się w łóżku z babą tak wytworną, takim żaglowcem, gdzie maszt przeważał nad rufą, że sam nie wiem, kiedy mi się wyrwało po skończonym dmuchaniu w te żagle: „Czy pani również szczytowała?” I z biegiem czasu poznałem w całym mieście najbardziej niedostępne dziewczęce pokoiki, gdzie do pokonania krętych schodków trzeba było mieć zręczność kozicy i jurność kozła. Przeważnie części poddasza z frontu albo od podwórka, niechlujnie oddzielone przepierzeniem z desek, dokąd trzeba było przemykać w egipskich ciemnościach między suszącym się praniem sąsiadów z dołu ku smużkom światła ze szpar. Prawie zawsze na ścianie reprodukcja

sepiowego rysunku tancerki marokańskiej Delacroix, scena teatralna Toulouse-Lautreca albo parę baletnic Degasa. Słyszę ich głosy, jak mówią rzeczy, które mi utkwiły w pamięci: „Teraz się odwróć”, „Chodź, będziemy sobie wtykać do środka różne rzeczy”, „To coś, co oni mają, wygląda czasem dziesięć lat starzej niż oni sami”. Gertie, ze świrem jak helikopter, która jedną ścianę swojego pokoju na poddaszu wykleiła muszelkami i swoim nagim przodem czochrała się o te ostre rożki, kiedy ja miałem szpicrutą wymierzyć jej parę mocnych chłaśnień, i szturchnąć w pośladki, przy czym krzyczała „Biczuj mnie, władco! Biczuj!” Najpierw pracowała w zakładzie, gdzie musiała opiekować się stworzeniami, z którymi nie można się było porozumieć mową, które tylko leżały, śliniły się i paskudziły, a które nazywali „roślinkami”. Ale później przeszła kurs dla nauczycieli dzieci z mongolizmem. Nad jej biurkiem wisiała kartka, na której wielkimi literami było napisane na kształt aforyzmu: MONGOLIZM TO JEDEN CHROMOSOM ZA DUŻO. A pod spodem prawie nieczytelnym pismem odręcznym: *Mongolizm nie bierze się więc z alkoholizmu albo chorób wenerycznych, albo późnego macierzyństwa. Jest to błąd w podziale redukcyjnym.* Mówiła o tych pulchnych hałasnikach od kociej muzyki, że czasem trzeba było się do nich zabierać dość sadystycznie, bo często były zbyt leniwe, nawet żeby się rozebrać z kurtki, takie były rozpuszczone przez rodziców z poczucia winy. Brała takiego smarkacza i sadzała na całe przedpołudnie na szafie. Ale po niedługim czasie tak się do niej przywiązały, że kiedy przychodziła rano, hurmem wybiegały do niej na korytarz i jedno przez drugie koziółkowały dookoła niej z radości. A stamtąd moja tułaczka zawiodła mnie do przygnębiającego pokoju od podwórka w dzielnicy Zachodniej z widokiem na werandy obwieszane bielizną, zastawione cynkowymi wanienkami i motocyklami w foliowych pokrowcach. Do tamtej rozwódki z trojgiem przedszkolaków zasmarkanych po pas. Skoro tylko

tam dotarłem ze słodyczami dla dzieci, które mnie nazywały wujkiem, ona natychmiast lokowała mnie w rozlatującym się plecionym foteliku, jakbym musiał nie wiem jak długo wracać” do sił, zanim wylądujemy w sypialni. Nastawiając radio mówiła wtenczas: „Siadaj sobie wygodnie w foteliku i posłuchaj muzyczki, a Ina przyniesie ci zaraz miseczkę pożywnej zupki”. No i siedziałem godzinami z tym drobiazgiem na kolanach wciąż gadając, aż czułem przez nogawki spodni ich mokre pupcie. A kiedy jej pomagałem przy zmywaniu i wyjmowała suchą ścierkę do naczyń, mówiła: „Sekundkę, chłopcze, zaraz dostaniesz od Iny spragnioną ściereczkę”. Przykre uczucie, że to nie może długo potrwać. Że ich drugi tatuś też lada moment da drapaką. Więc nieraz tak długo byłem poza domem, że kiedy spuszczałem w ubikacji wodę, ze spluczki leciała rdzawa zupka, jak po powrocie z wakacji, a kot, kiedy go odebrałem od sąsiadów, wszystko obwąchiwał w domu, jakby był tu pierwszy raz. I tak ciągle trafiało się coś innego. Inne spotkania, inne dzieci, inne pokoiki. I te pierwsze święta po odejściu Olgi, Boże Narodzenie, przez które bym skonał z melancholii, gdybym miał je spędzić sam. Kiedy na podwórczku biedniutkiego mieszkania na niskim parterze u surinamskiej mamusi z sześciolletnią córeczką jak marzenie – jej czarny rycerz zostawił ją na lodzie – babrałem się z martwym królikiem. Powodowany pychą powiedziałem, że potrafię oprawić to zwierzę na sposób surinamski tak jak jej mąż i nie było odwołania. Skóry się nie zdejmuje, tylko goli (i niech Bóg broni zaciąć), a potem pompką do roweru pompuje powietrze między skórę a ciało. I tak ze wszystkim w środku i na wierzchu daje się to do pieca. Nie mogłem uwierzyć, że przedtem nie trzeba wyjąć całych tych flaków. Ale ona upierała się, że to naprawdę tak ma być. Bo inaczej nie ma sposobu, żeby utrzymać tam powietrze. Ale sprawy nie zaszły aż tak daleko. Bo kiedy wśród strzępów futerka stałem z brzytwą jej męża w lepkich od potu

rękach i wcale by mnie wtedy nie zdziwiło, gdyby ktoś z sąsiadów, którzy podglądali mnie zza oświetlonych perforowanych gwiazd betlejemskich, zadzwonił do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, wtedy naraz mnie odrzuciło. Kiedy pomyślałem, że tego półtysego sinego trupka, który ze wszystkiego najbardziej przypominał nieudanego noworodka, będę musiał jej napompować, żołądek podszedł mi do gardła. Miałem naraz tego dość. Wziąłem z kuchni duży nóż, zdarłem z królika skórę, rozciąłem brzuch, wyciągnąłem cały środek i podziabiałem na chybił trafił na kawałki. Bardzo była rozczarowana moja czarna księżniczka. I wieczorem przy ubieraniu choinki dla córeczki była milkliwa. Ale kiedy leżała w łóżku blisko mnie, powiedziała, że to nic takiego, że jutro będzie dobrze smakował po holendersku. Spojrzałem ponad nią przez plamki witraża na ulicę, gdzie w świetle latarni zobaczyłem padający pierwszy śnieg tego roku. I powiedziałem jej, że mam dla niej na rano w pierwszy dzień świąt niespodziankę. Kiedy zapytała, co to takiego, najpierw nie chciałem powiedzieć, ale w końcu ustąpiłem: „Boże Narodzenie po lodzie”. Odwróciła się i razem patrzyliśmy na padający śnieg. I zaczęła nucić coś z „*I'm dreaming of a white Christmas*”. A ja, cholera jasna, śpiewałem jej do wtóru. Bo jeśli masz za sobą jak ja rok udręki i kurewskiej kołowacizny i nie potrafisz w takim brudnym i zakichanym kącie miasta wystękać pseudokiczowato, takiego utyłanego, zaślinionego Binga Crosby, toś niewart funta kłaków, człowieku.

Gwoździe kłatwy

Zabawa w tatusia i mamusię urwała się nagle z tantym nowym rokiem. Nie mogłem już całych nocy spędzać poza domem. Ponieważ sam zostałem ojcem. Przez zagapienie. Co prawda nie moje i tylko

mewim. Pracowałem właśnie w atelier, rękawy miałem zawinięte i ręce upaprane po łokcie, gdy wtem usłyszałem zgrzyt hamulców. Wyszedłem na dwór i zobaczyłem przed drzwiami mikrobus. Kierowca stał obok, a u jego stóp leżała mewa. Powiedział, że nie rozumie, co się stało. Nawet nie było muśnięcia. Stała na jezdni dziobiąc rozjechaną kanapkę i zahamował, bo za wolno uciekała. Przetrzepotała mu tuż przed przednią szybą i nagle spadła. Poruszył biały kształt butem i powiedział, że wydaje mu się, że ptak nie żyje. Że prawdopodobnie zmarł ze strachu. Powiedziałem, że zabiorę go do domu, żeby się dokładnie przyjrzeć, odszedłem szybko, żeby opłukać sobie ręce, i wróciłem z pudełkiem, do którego włożyłem mewę, i zabrałem do środka. Była to mewa śmieszka. Dziób i łapki były ostro czerwone, a koło oka miała parę plamek w czekoladowym kolorze. Na razie nie miałem czasu, żeby się nią zajmować, bo zasechłby mi cały pojemnik bryi, którą właśnie paćkałem na drewno. Gdy to robiłem, poczułem naraz na sobie czyjś wzrok. Kiedy uniosłem głowę, mewa stała patrząc na mnie zza krawędzi pudełka. Z zaciekawieniem, no bo pierwszy raz była świadkiem powstawania obrazu. Kiedy skończyłem, podszedłem do pudełka. Przysiadła i skurczyła się. Ostrożnie obmacałem skrzydła, ale nie wyczułem żadnego złamania. Więc rzuciłem ją lekko w powietrze. Ale upadła z trzepotem na podłogę i leżała u moich stóp na boku rozpostarłszy skrzydła. Podniosłem ją i zaraz dostałem pierwsze chlapnięcie na podłogę. Wstawiłem pudełko do samochodu i pojechałem do weterynarza, tego samego, który kiedyś operował w środku nocy naszą rodzącą kotkę. Jeszcze to pamięta – mówił, obmacując mewę. Nie mógł stwierdzić przyczyny uniemożliwiającej ptakowi latanie. Była wtedy burza, to też pamiętał. Pytał, czy udało nam się utrzymać kocięta przy życiu. Odpowiedziałem, że doglądaliśmy ich oboje z wielką miłością. Że dostawały ciepłe mleko do ssania z buteleczki po przyprawie do zup.

Uważał, że mewa za parę dni znów zacznie fruwać, że widocznie chwilowo straciła orientację. Gdy wychodziłem z pudełkiem, powiedział, że bym koniecznie pozdrowił żonę. Skinąłem głową i pomyślałem sobie, że to pewnie z powodu tamtego namiętnego pocałunku, jakim z wdzięcznością obdarzyła go Olga. Bo czegoś takiego się nie zapomina. W domu zostawiłem mewę w pokoju frontowym. I tak nic w nim nie stało, a nie przypuszczałem, żeby jej przeszkadzało powiedzonko pozostawione przez tamte amerykańskie siksy: ONE WHO PUTS SALT IN THE SUGAR BOWL IS A MISANTHROPE – które wciąż jeszcze tkwiło na ścianie, ledwie czytelne na pożółkłym papierze. Mogłem co najwyżej zmienić to na: „ONE WHO PUTS A SEAGULL IN THE SUGAR BOWL IS A MISANTHROPE”, ale i tak nikt do mnie nie przychodził, a sobie samemu wystarczyło pomyśleć. Postawiłem na środku miednicę do zmywania naczyń napełnioną wodą i parę razy na dzień przychodziłem karmić mewę siekaną rybą. Na początku nie chciała jeść mi z ręki, ale kiedy wygłodniała, rwała mi jedzenie z wyciągniętych daleko palców. Potem zawsze ruszałem w jej stronę licząc, że może w ucieczce przede mną zerwie się do lotu. Ale nie, szybciotko maszerowała przede mną z cykaniem łapek o linoleum, które wkrótce zamieniło się w śmierdzącą biało-brązową polepę. (Kładłem nawet kawałki sklejki na podłogę, żeby stworzyć nowy typ obrazów: wzór ze śladów ptasich łapek w naturalnych nieczystościach, ale nie chciał tego kupić pies z kulawą nogą. Miłośnicy zwierzyzny rzadko są miłośnikami sztuki. I Bogiem a prawdą, trzeba było mieć upośledzony zmysł węchu, żeby nie kojarzyć sobie tych dzieł z kurnikiem, ustawionym w rybnym sklepie.) Kiedy wieczorem wracałem do domu i wchodząc do pokoju włączyłem nagle światło, stała na jednej czerwonej nodze w miednicy z wodą. I zdawałem sobie sprawę, że wiele trudu będzie mnie kosztowało wypuszczenie jej na wolność, jeśli kiedykolwiek zacznie na nowo latać. Na początku

owego roku – mewiego roku, mógłbym powiedzieć, bo gościłem tego miłego ptaka przez osiem miesięcy, bardzo się do niego przywiązałem, a nawet kot się z czasem przyzwyczyił – dotarło do mnie trochę wyrwywkowych wiadomości o Oldze. Że w kilka miesięcy po rozwodzie na łeb na szyję chciała wychodzić za mąż w Szkocji. Ale że w ostatniej chwili zrezygnowała i postanowiła spokojnie odczekać ustawowe dziewięć miesięcy. Natomiast jej matka jeszcze na odchodne zapragnęła powiedzieć ostatnie słowo. Z całą jadowitością. Przysłała mi rachunek. Przez swojego adwokata. Chciała cholera, żebym jej zapłacił za linoleum, które przed dwoma laty podarowała Oldze na urodziny. Dziewczyna przestąpiła ze sraczkowego koloru kuchennej podłogi na promienny błękit śródziemnomorski. Ale prędko wydeptała swoimi szpilkami mnóstwo dziurek i w niektórych miejscach było wręcz perforowane. I za to miałem jeszcze płacić. Zaraz poszedłem do adwokata. Nie do tego skorumpowanego spuchlaka od rozwodu. Tym razem trafiłem na porządnego gościa, który wystosował uprzejmy, ale druzgocący list do jej adwokata: *Mój klient oświadcza mi, iż dostawa, na którą opiewają wymienione przez pana rachunki, została przez pańską klientkę spowodowana dla okazania szczodrości wobec klienta i swojej córki oraz że nie może być mowy o tym, jakoby uiszczenie tych rachunków przez pańską klientkę miało być założeniem za klienta. Wobec powyższego mój klient nie widzi żadnego powodu dla dokonania jakichkolwiek wpłat na jej dobro. No i mogła się podetrzeć swoim rachunkiem. I pewnie to zrobiła, bo nic więcej o tym nie słyszałem. Jesienią owego Roku Mewy (wskakiwała mi nawet na kolana, kiedy miałem w ręku rybę) w Bijenkorfie zobaczyłem Olgę. Pod pachą taszczyłem jak fakir gwoździową rzeźbę z Kongo, którą właśnie wymieniłem z przyjacielem na obraz o tej samej wadze. Bałem się zostawić to w samochodzie, bo żadne drzwi tego wehikułu nie dały się już zamknąć na klucz. W korpus*

nawbijane było mnóstwo zardzewiałych gwoździ, a w brzuchu tego jeżozwierzka tkwiło lusterko, jak wbudowany telewizor. Zobaczyłem nagle Olgę, jak przebierała w koszu z rękawiczkami. Męskie rękawiczki – przeleciało mi od razu przez głowę, zanim sobie uświadomiłem, że to nie mogła być Olga, bo była blondynką. Długo na nią patrzyłem, nim za nią stanąłem i powiedziałem: „W domu mam jeszcze kopertę z twoimi rudymi włosami”. Obróciła się, jakbym był obmacywaczem pośladek. Zmieszała się okropnie i zaczerwieniła. Zaraz jednak jej twarz przybrała sztywny wyraz i spojrzała na mnie jak na kogoś z tłumu. A ja nie mogłem nie przypomnieć sobie tego, co powiedział mi ktoś, kto ją niedawno spotkał: „Nie ma już w jej oczach tego ciepła”. Przekonałem się, że to prawda, ale nie chciałem się po prostu poddać. Udało mi się zaprowadzić ją do windy i zawieźć do baru kawowego, postanawiając, że słowem nie wspomnę już o tych rudych włosach. Więc siedzieliśmy mając widok na miasto i przed sobą na stoliku rzeźbę między filiżankami. Było mi wściekle smutno, bo na początku nie było śladu tego, co kiedyś. Jakbym rozpoczynał kolejną łózkową przygodę. Jakbym za godzinę znów miał czuć w ustach tamten posmak pośpiesznych skoków do domu. I nie mogłem tego znieść w stosunku do Olgi. Tamtej Olgi. Zapytałem, komu kupowała rękawiczki, a ona odparła: „Tak tylko patrzyłam”. Po czym nie gasząc niedopałka, tylko zapalając od niego nowego papierosa, zapytała, co to za rzecz. Powiedziałem, że ta rzeźba z lusterkiem jest siedzibą duchów. I że te gwoździe to gwoździe klątwy. Że wbija się je, jeżeli źle się życzy jakiemuś wrogowi. Bez uśmiechu powiedziała, że pewnie ich się sporo jej dostało ode mnie. To mnie rozśmieszyło i powiedziałem, że wniosłem tego zwierza do Bijenkorfu tysego, ale gdy zobaczyłem ją tam stojącą, wpakowałem mu od razu wszystkie. Kiedy na nią patrzyłem, ona nie patrzyła na mnie. Przez te włosy. Z trudem hamowałem gniew na jej widok. Jak ona mogła to zrobić. Głupia gęś. Widać było, że jest

załamana. Wyglądała żałośnie. Ale i nieprawdziwie. Jak podbarwione zdjęcie. Gdy opowiedziałem jej o mewie, która pokrywała podłogę pokoju coraz grubszą warstwą nieczystości, zaczęła nagle mówić o swojej matce. Pewnie dlatego, że się wstydziła z powodu tamtego rachunku za linoleum. Powiedziała, że jej matka jednak jest też miła. Że zawsze może na nią liczyć, jeżeli znowu musi wracać do domu. Ale że bierze za dużo firmowych pieniędzy, gdy tymczasem interesy nie idą najlepiej. A ona co roku w pełnym rynsztunku musi jak ta Wesoła Wdówka kosztować z przyjaciółką sportów zimowych w Austrii. Z personelem ma stale zatargi. Kiedy raz z toalety zginął ręcznik, nie pozwoliła powiesić na to miejsce innego, dopóki tamten nie został zwrócony. Pod haczykiem nalepiła kartkę z napisem: RĘCZNIK, KTÓRY TU WISIAŁ, ZOSTAŁ SKRADZIONY 26 MAJA. Kiedy zapytałem, jak ona sama się czuje i czy jeszcze jest miła, odparła patrząc wyzywająco: „Przecież widzisz. Namiętność aż promieniuje mi z oczu”. Ale już po chwili opowiadała z pewnym przygnębieniem historię swojej pierwszej przygody. Że to krótko trwało, bo z niego był taki mięczak. Był żonaty z Angielką. Na początku strasznie mu to imponowało i próbował nawet mówić po holendersku tak jak ktoś przebywający dwa lata na emigracji. Ale nie odważył się na rozwód, bo mu ojciec zagroził, że go wydziedziczy. Był po prostu impotentem ze strachu przed ojcem. Płakał przed nią rzewnymi łzami, że jego synek to nieszczęśliwe dziecko i że nie może zostawić go własnemu losowi. Powiedziała, że tak mu było żal samego siebie, że kiedy byli razem w hoteliku w Kijkduin, próbował na jej oczach popełnić samobójstwo. Tabletkami nasennymi. Studiując własne odbicie w lustrze nad umywalką. Wszystko to było na pokaz, ale ponieważ tak się sobie w tej roli podobał, niechcący połknął za dużo. Musiała dzwonić po karetkę, żeby go zabrała do szpitala. Zrobili mu płukanie żołądka. Kiedy jeszcze zatelefonował jego ojciec i powiedział,

że dosyć tego dobrego i pora kończyć, że synalek urządził trzy-cztery podobne draki rocznie, miała go nagle dość. Nawet go nie odwiedziła w szpitalu. Ale jej matka się wściekła. Bo nie dość, że córka wracała na jej wikt, to jeszcze firma straciła wszystkich klientów tego sklepu w Rotterdamie. Gdy ją spytałem, dlaczego wtedy do mnie nie wróciła, powiedziała: „Nie mogłam. Chciałam po prostu żyć w spokoju, tak żeby się dobrze czuć. I nic poza tym. Czasem gdzieś pójść, posiedzieć przy barze. Po prostu pobyc między obcymi”. Powiedziałem, że gdy usłyszałem o jej nowym małżeństwie, byłem pewien, że wyszła właśnie za niego. Pokręciła głową i powiedziała, że po całym tym przedstawieniu nie mogłaby znieść jego oddechu na swojej szyi. Teraz była żoną stałego odbiorcy z Alkmaaru. Ten mężczyzna interesował się wyłącznie piłką nożną i Churchilllem. Wiedział na te tematy wszystko. Kiedy zapytałem, czy szanowna mamusia znowu maczała w tym palce, ostro mnie zaatakowała: „Tobie się wciąż zdaje, że wszystkiemu winna jest moja matka. Ten człowiek bywał u nas od dawna”. Pomilczeliśmy chwilę, ona pomanipulowała palcami przy gwoździach w rzeźbie i powiedziała, że w lusterku można by sobie z powodzeniem zrobić makijaż. Nieoczekiwanie zapytałem, czy jest szczęśliwa. Skinęła głową i wtedy odkryłem w niej coś z dawnej Olgi, jak opowiadała, że miała małego zielonego żółwia wodnego w akwarium z kawałkami kory, a że chciałyby bardzo mieć takiego, który może się cały schować w swej skorupie, tak jak to kiedyś widzieliśmy w Artis: żółw pudełkowy. A że na wiosnę chciała mieć małą kózkę. Śmiejąc się zapytałem ją, czy wreszcie zobaczyła pusty basen kąpielowy, bo kiedyś, gdyśmy przechodzili koło Pływalni Mirandy, powiedziała: „Gorąco pragnę zobaczyć basen bez wody”. Opowiedziałem jej, że dlatego zeszłej zimy wszedłem do takiego basenu, kiedy były otwarte drzwi. Że to wszystko było dziwne i przytłaczające, te wielkie płaszczyzny seledynowych

kafelków, kupy suchych liści w kątach i te wszystkie puste kabiny. Że tylko opuszczone boisko wyglądało przyjaźniej i przypominało o lecie. Jakby brykały tam jeszcze cienie tamtych grubych fok, przychodzących o siódmej rano na pływanko i trochę niezgrabnych ćwiczeń na odchudzenie. Pamiętała jeszcze, jak raz zimą użądliła ją osa. Na śniegu w Lasku Amsterdamskim. Zapomniała rękawiczek i dlatego odwinęła mankiety. A osa tam spędzała zimę. Nagle wrócił jej poprzedni chłód. Nie chciała sobie pozwolić na zbyt dużą poufałość i rozmawianie o przeszłości sprzed dwóch lat, która wydała się tak strasznie odległa. To nawet nie pasowało do niej, jaka teraz była, jak wyglądała. Ale nie mogłem stłumić uczucia tryumfu i pomyślałem: „Jeszcze przyjdiesz”. Tylko że przedtem życie będzie jej musiało dobrze złożyć skórę. Poszła ze mną do samochodu i od razu się w nim zakochała. Spytała, czy jeszcze pamiętam, że pewnego razu, kiedy dostałem zaliczkę a konto nowego zamówienia, poszliśmy oglądać z ogłoszenia samochód, starego jaguara wyprodukowanego tuż po wojnie. Powiedziałem, że właściciel się obraził, bo za te siedemset guldenów żądaliśmy, żeby ten trup jeździł. Wybuchnęła śmiechem i na chwilę usiadła na moim miejscu za kierownicą. Wcisnęła pedał gazu, hamulce, sprzęgło. Patrzyłem na jej poruszające się nogi i przypomniał mi się tamten pierwszy raz, jak się spotkaliśmy. Kiedy mnie zabrała. Ale zaraz wysiadła mówiąc, że to nie jest strój do takiego samochodu. Że do niego trzeba mieć spodnie i bluzkę. Ale że to już niemożliwe. Teraz musi być panią. Gdy lokowałem z drugiej strony kolczastą rzeźbę w samochodzie, nachyliła się do środka i oglądała obraz, który stał na tylnym siedzeniu. Zapytała, czy robię teraz takie rzeczy i czy ktoś to ode mnie bierze. Powiedziałem, że dużo ich sprzedaję. Młodym intelektualistom świeżo po ślubie, którzy wprowadzają się do nowych bloków na peryferiach. Bo działają tam dźwiękochłonne. Ale że też całymi samochodami topię je czasem w

Amstelu. Tak jak kiedyś wózkim. Wzruszyła ramionami i powiedziała, że musi iść. Podała mi rękę, a ja bez wahania i naturalnie wyciągnąłem swoją, bo nawet przez chwilę nie spodziewałem się, że się na pożegnanie pocałujemy. Powiedziała, że się na pewno jeszcze kiedyś na siebie natkniemy.

Potem zniknęła między ludźmi. Przez pierwsze tygodnie po tym spotkaniu czułem się strasznie podle. Wydawało się, jakby jej opowiadanie o tym pierwszym romansie spowodowało, że męki, jakie wtenczas przeszedłem, nie miały powodu. Jakby ta cała historia okazywała się banalna jak zasmarkany melodramat. I oczywiście znalazłem pocieszenie u mewy. Nie to, jakiego szukają przyjaciele zwierząt, którzy wszeptują kosmatym uszkom swoją nienawiść do ludzi i uczą papugi kląć. Po prostu spokój. Czułem się jak w dioramie Heimansa w Artis, siedząc na starym krześle z trawą wyłożoną z siedzenia i patrząc na mewę, która bez poruszenia stała na warstwie własnego nawozu jak na wyspie. Albo wiosłując energicznie czerwonymi łapkami pływała w kółko w miednicy i skrzydłami rozpryskiwała wokół siebie wielkie perły wody. A kiedy pewnego ranka wszedłem, wzleciała do góry bijąc szeroko i mocno skrzydłami i zaczęła mnie okrążać. Przestrzeń była jak potłuczona na kawałki. Czubkami skrzydeł jakby rozpychała ściany pokoiku. Wciąż oblatywała mnie wokoło. I wtenczas zacząłem beczeć. Wypłakiwałem całą skurwysyńską udrękę minionych dwóch lat. Z kamienną gębą zawiozłem ją w pudełku na Dijk nad Amstel. Tam na piaskowym nasypie, z mewami daleko nad łaczą, otworzyłem pudełko. Natychmiast wzbiła się w przestrzeń. I jak przystało na żegnającego się ptaka, zatoczyła parę kręgów nad moją głową. Po czym została przyjęta przez całe stado krzyczących i piszczących towarzyszek. Chciałem wołać, krzyżeć, ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Jakby ktoś stanął za mną, otoczył mi dłońmi szyję i z całej siły zacisnął palce na

krtani.

Nice dolls & kukły Judasza

Po całych dniach na klęczkach zeszkrobywałem z podłogi w tamtym pokoiku klepisko ptasiego łajna. Wreszcie zaczęło to przyzwoić wyglądać, ale mieszkać tam się nie dało. Smród, gryzącą mieszankę odoru kurzego gówna i wyschniętej flądry, można było krajać. Zdawało się, że mury tym parują, ale to była gnojówka, jaka się zrobiła z rozmoczenia nawozu wodą do szorowania i wciekła pod listwę przy ścianie. Próbowałem różnie temu zaradzić. Rozsypywałem sproszkowane mydło, spryskiwałem wodą kolońską, postawiłem słoik terpentyny. Nie pomagało. Przez parę dni czuć było ten inny zapasek, a potem stopniowo wyklębiał się z kątów i spojeń tamten przenikliwy smród. Nie mogłem już tego pokoiku wynająć. Mógł już tylko jak za czasów Olgi służyć za rupieciarnię. I tak moja samotność znowu stała się zupełna. Zostałem sam jak palec, ale nie bez żony i dzieci, tylko bez mewy i mewek. Z nikim się nie zadawałem. Pracowałem i spałem. Po tamtym ostatnim spotkaniu z Olgą coś we mnie jakby pękło. Wszystkie złudzenia i nadzieje, którymi się miesiącami przy całej udręce jednak wciąż karmiłem, przysły. I jak inni zaczynają pić albo się narkotyzować, zagłuszałem się pracą. Od świtu do nocy. Tak minął rok, wtedy znowu o niej usłyszałem. Od naszej niegdysiejszej przyjaciółki, którą regularnie odwiedzała. Miesiąc po naszym spotkaniu w Bijenkorfie odwiedziła ją, bo był jej potrzebny adres lekarza, który mógłby jej pomóc. Zaszła w ciążę i wtenczas jej drugie małżeństwo rozpadło się w oczach. Nie mogła odtąd znieść obecności swojego męża. Na noc zamykała drzwi od sypialni, a on szedł topić smutek małżeńskiego fiaska za bufetem. Co noc wracał pijany i nie docierając do sypialni padał jak kłoda na sofę.

Ale kiedy zaczął się robić agresywny i którejs nocy roztrzaskał na kawałki wszystkie meble, wybił drzwi do sypialni i chuchając jej smrodliwym piwnym oddechem w twarz próbował zgwałcić, znowu uciekła z walizką ubrań do matki. Ale ponieważ tamten doktor z powodu skrobanek miał już styczność z wymiarem sprawiedliwości, dała sobie zepsuć ciążę mydlinami jakiejś babce. Została jej po tym para jajników w stanie zapalnym i jeden trzeba było po jakimś czasie wyjąć, bo aż jej śmierdział z pizdy. No a teraz zbierała się znowu do zamążpójścia za amerykańskiego inżyniera, zatrudnionego w towarzystwie naftowym. Ponieważ ta przyjaciółka powiedziała mi, że zaraz po ślubie mają zamiar wyjechać do Ameryki i mogę już jej nigdy nie zobaczyć, napisałem do niej liścik. Po paru dniach zadzwoniła z Beverwijk, gdzie razem z przyszłym mężem i paroma amerykańskimi małżeństwami, które pracowały w tym samym przedsiębiorstwie, miała wynajęty dom. Umówiliśmy się na drugi dzień i na wiele godzin przed jej przyjazdem miotalem się tam i z powrotem po atelier jak tygrys w klatce przed porą karmienia. Próbowałem zobaczyć wszystko jej oczami. Czy to albo tamto jest tak samo jak wtenczas, kiedy jeszcze była ze mną. I nagle się zjawiała. I zaraz zaczęła się tak samo rozglądać jak przedtem. Zastanawiałem się, co czuje i myśli. Czy odczuła brak kaktusów i wszystkich gipsowych portretów, do których tyle godzin pozowała, słuchając płyt Sonny Rollinsa albo Milesa Davisa. Przy rzeźbie z kotem długo stała. Potem zapytała, gdzie jest kot. Spał sobie po prostu na krześle. Nie zareagował na jej głos. To było zbyt dawno. Nawet do niego nie podeszła, spojrzała tylko trochę nieśmiało w jego stronę. Może się nawet ucieszyła, że się nie obudził. Byłby to rzeczywiście dziwny widok, gdyby go wzięła na ręce. Usiadła i postawiłem butelkę koniaku i kieliszki na stole. Kiedy weszła, przeraziłem się. Tak schudła i tak źle i niespokojnie wyglądała. Włosy miała znowu rude i takie krótkie jak

Jean Seberg. Powiedziała, że musiała tak ściąć, żeby pozbyć się tego blondu. Na początku wyglądała jak tleniony pudel. Ale nie było innej rady. Zrobiła to wtenczas dla poprzedniego męża. Razem z nim chciała to wyciąć ze swojego życia. Nalała sobie kieliszek i powiedziała, że wszystko tu jest jak dawniej. Z wyjątkiem tych obrazów. Nie odczuła braku kaktusów. Ani swoich portretów. Może nawet już o wszystkim zapomniała. Siedząc trochę jej się tylko przyglądałem. Zrobiła się przez to nerwowa i niepokorna, zapytała, czy uważam, że się postarzała. Zaśmiałem się serdecznie i powiedziałem, że jest starsza, ale nie stara. Ale naprawdę chciało mi się płakać po tamtej mojej pięknej najmilszej. Wtedy przyszła zapijana koniakami historia jej drugiego małżeństwa. Że przez wszystkie tamte miesiące żyła w śmiertelnym strachu przed zajściem w ciążę, bo on nigdy nie chciał uważać. Że był grubiański i głupi i że nic w tym wszystkim nie było cennego. Że przy nim zdawało jej się, że mieszka w wielkim kojcu dla królików z własnymi boberkami. Że już nawet nie pamięta, jak wyglądał na twarzy. Że go doszczętnie zapomniała. Zapytałem, czy o mnie tak samo myśli, ale powiedziała, że gdyby tak było, nie siedziałyby teraz tutaj. Potem wstała i podeszła do pnia drzewa, który wciąż stał na środku atelier, i zapytała, czy pamiętam jeszcze, że on pochodzi z ich ogrodu. Powiedziałem, że jej matka kazała drzewo ściąć już w miesiąc po śmierci ojca, bo dom był przez nie taki ponury. Że jej ojciec nigdy na to nie chciał przystać. Jeszcze i to pamiętała, że ledwieśmy je do nas – wstawili, z pnia powychodziły tu i ówdzie małe gałęzie z delikatnymi zielonymi listkami. Jakby chciał wycisnąć z siebie ostatnią resztkę życia, jaka w nim tkwiła. Ale uschły w ciągu paru tygodni, bo już nie mógł ciągnąć pokarmu i wody z ziemi. I pamiętała jeszcze, że tuż po ustawieniu pnia wyszła z niego niesamowita kolumna czerwonych mrówek, która przeszła na wskroś atelier do szpary w podłodze, w której zniknęła. Trwało to cały dzień, zanim się wszystkie

wyniosły, a ona nie mogła posypywać ich trucizną, bo zakazałem. Powiedziałem, że mrówki mają kolor jej włosów i że dlatego nie wolno. Ale wtedy miałem takie uczucie, jakby one przez ziemię poszły do jej ojca. Do ogrodu, gdzie było ich miejsce i gdzie zawsze żyły. Usiadła z powrotem i kiedy zapytała o zdjęcia z dawnych czasów, bo była ciekawa, jak wtedy wyglądała, postawiłem przez nią na stole całe pudełko. Najpierw patrzyła na nie chwilę nieporuszona z kieliszkiem w rękę. Potem zaczęła wyciągać jedno po drugim, można by powiedzieć, że ze wstrętem, i oglądała je długo i uważnie. Zdjęcia z początków, kiedy wyglądała bardzo nieskromnie. W różowym kapelusiku i z tymi wspaniałymi pełnymi wargami, nagimi ramionami pod bluzką w czarno-białe paski, którą później spaliłem. Jak Cyganicha w długiej nocnej koszuli w kwiaty, oparta o cętkowane szare płótno namiotu za wydmami, z tą dynamiką w biodrach i buźką nabrzmiałą od snu. I zastanawiałem się, czy myślała o tym, że tam pod tamtym brudnym płótnem spała z tą malutką kaczuszką między swoimi ślicznymi cycuchami i jak bardzo byliśmy szczęśliwi w tamtym wywapnowanym drewnianym łóżku. W stroju roboczym z chustką na głowie i upstrzona białymi plamkami, kiedy mi pomagała przy odlewaniu gipsu. Tańcząca w morzu w całej okazałości swoich pulchnych kształtów, kiedy za rozpryskującą się wodą widać było łódź rybacką. Z kotem na rękę, od maleńkości do kocicy. Na balkonie przy obieraniu dymki. I później dumna przed półką z pełnymi słoikami, kiedy cebulki były już zalane octem z ziarenkami czerwonego pieprzu tureckiego i liśćmi laurowymi, które wyraźnie się odznaczały wśród jasnych kuleczek. Wpatrywałem się w nią z natężeniem, kiedy tak z lotu ptaka przemykała nad rozsypaną łamigłówką naszego życia. Widziałem, że jej twarz próbuje pohamować emocje. Czasem powiedziała do siebie: „Wtedy miałam na sobie tę purpurową sukienkę”. „O, to przed krzakiem tarniny. Na rogu.

Zbieraliśmy ciarki z latarką elektryczną. Też już tego nie pamiętałam". Przy swoich aktach po prostu robiła się zawstydzona. A przecież nie wiedziała jeszcze i tego, jak często przy nich waliłem konia, próbując jak szalony wygarnąć jej białe ciało z tego szarego obrazka. Powiedziałem, że tamto jedno było zrobione przed lustrem po tym, jak stojąc przede mną wymacała się paluszkami. Że to jeszcze poznać po jej wydętych wargach. Udała, że nie słyszy, i oglądała dalej. Ale naraz powiedziała, że dostała kompleksu niższości z powodu figury. Że jej piersi nie są już te same co kiedyś, kiedy każdy mówił: „Olga ma najpiękniejsze”. Że na plaży nakłada na uda kremowe maseczki, żeby ukryć małe żyłki. Nigdy teraz się nie rozbiera przy świetle dziennym i nosi zawsze długie rękawy, bo przestały jej się podobać piegi na łokciach. Kiedy powiedziałem, że chciałbym jeszcze każdy z nich z osobna pocałować, odparła, że wciąż widzę ją taką, jaka była wtedy. Że ją idealizuję, ale że już dawno nie jest idealną kobietą. Że ten człowiek, z którym wkrótce ma się pobrać, kocha ją taką, jaka jest teraz. Nawet jeśli się upije i źle licytuje przy brydżu, bo jej się wtenczas zdaje, że jest genialna w te klocki, albo kiedy zupełnie inaczej zacznie się czesać. Kiedy ją zapytałem, co to za mężczyzna, powiedziała, że uważałbym jego twarz za strasznie interesującą. Że jest strasznie brzydki. Nie ze względu na rysy, ale że ma ospowatą twarz. Indiańską. Podobny do Humphreya Bogarta, powiedziała. I nosi ją na rękach, jakby napisała Courts Mahlerowa. Kiedy powiedziałem, że ja też to robiłem, odparła, że dobrze pamięta, ale zaraz popłynęła rzeka zarzutów. Że czuła się uwięziona i że przez te wszystkie lata ani razu nie była sama na mieście. Że o wiele za często szedłem z nią do łóżka. Że już się zaczynało, kiedy rano w kuchni nastawiała kawę. Wtedy myślała: Oho, już jest. Obliczyła to, czasem siedem razy jednego dnia. To już nie było normalne. Miałem po prostu satyriasis. Kiedy zapytała, czy ciągle u mnie z tym tak samo,

powiedziałem, że gdyby przy mnie została, toby tak było. Kiedy zapytałem, czy nie potrafi się śmiać z tamtych starych historii, powiedziała: „Nie, ja już się nie śmieję. Kiedy zaczynałam, myślałam: życie to bajka. Wyjdę za męża, będę szczęśliwa. Ale jestem dużo mniej szczęśliwa, niż się spodziewałam”. Milcząc patrzyła dłuższy czas na zdjęcie z kaczątkiem przytulonym do policzka, które trzymała w ręku. Wyglądała na nim tak uroczo i szczęśliwie. Jak róża z wydmowej doliny. Zobaczyłem, że przełknęła ślinę, i powiedziałem, żeby odłożyła na bok wszystkie zdjęcia, które chciałaby mieć. To zamówię dla niej odbitki. Ale pokręciła głową i odłożyła to zdjęcie do pudełka odwrotną stroną do góry. Potem odsunęła je od siebie na środek stołu i wstając powiedziała, że przyjdzie kiedyś coś wyszukać, ale teraz musi iść, bo ma jeszcze kupić butelkę koniaku na wieczór do kart. A za pół godziny zamykali sklepy. Obiecała, że przed wyjazdem do Ameryki jeszcze do mnie wpadnie. U drzwi naraz ją uścisnąłem i pocałowałem w oba policzki. Bo myślałem, że już nigdy jej nie zobaczę. Łzy mało mi nie pociekły po gębie. Ale jednak przyszła tydzień później. Z mężem, z którym się pobrali dwa dni przedtem. Rzeczywiście był podobny do Humphreya Bogarta i przekonałem się, że to, co o nim opowiadała, było prawdą. Że nosił ją na rękach. Patrzył tak na nią, jak ja patrzyłem przez te wszystkie lata. Znowu była czymś skarbem i mnie samego prawie to uszczęśliwiało. Ale on też się bał, że ją może stracić, tak jak ja kiedyś. Bo kiedy wstawała z niskiej kanapy, gdzie siedziała obok niego, bo chciała iść do ubikacji, on nagle objął ją za nogi. Zrobił to odruchowo i roześmiał się trochę zakłopotany. Kiedy wróciła, zapytałem, czy jest teraz szczęśliwa, po tym trzecim zamążpójściu. Powiedziała, że oczywiście zwariowała na jego punkcie, ale w inny sposób, niżby może tego chciała. Że nie umie jeszcze sobie odpowiedzieć na tyle pytań. Jedynie wtedy, gdy szła na udry, wtenczas znała odpowiedź na każde pytanie. Ale to kochany człowiek.

Patrzyła na niego rozczulona, jak tam stał przed regałem oglądając uważnie murzyńskie rzeźby, i powiedziała: „Mój ojciec zawsze powtarzał, że Amerykanie to niecywilizowany naród. Ale oni wszystko wiedzą o historii Ameryki, wszystko”. Poczuł, że na niego patrzy i że o nim rozmawiamy. Odwrócił się i uśmiechnął do niej. Potem wskazał na rzeźby murzyńskie i powiedział: „Nice dolls”. Zauważyłem, że Olga się trochę zawstydziła, bo to niestety nie była najwłaściwsza nazwa dla tych rzeczy. Ale kiedy zacząłem z nim o nich mówić i też je nazwałem „dolls”, spojrzała na mnie z sympatią. Opowiadała, jak to jest trudno z językiem. Bo wprawdzie mówi zwyczajnie dobrze po angielsku, ale kiedy chciała powiedzieć co trudnego, albo coś od siebie wytłumaczyć, często myślała: A, niech tam. To po prostu za dużo by ją kosztowało trudu. Jakiś czas temu, kiedy ktoś przy kartach niemądrze zagrał, powiedziała: „*We are going to sew shoes for you*”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. A ona do tej pory nie wiedziała, czy to dlatego, że takiego zwrotu nie ma w angielskim, czy z powodu tamtej sytuacji. Jego to na powrót rozśmieszyło i otoczył ją ramieniem, kiedy usiadł koło niej. Powiedziała, że bardzo jej się spodobało to, że z nim nigdzie nie zamieszka na stałe. Że stale będzie się przenosiła z miejsca na miejsce. Że zawsze będzie mieszkać w wynajętym umeblowanym domu. Przy sobie nic więcej oprócz paru walizek z ubraniami. Zawsze żyć wśród mebli, które były niczyje albo każdego. I ożywiona opowiedziała, że zanim przeniosą się nad Zatokę Perską, on pokaże jej całą Amerykę. Od Nebraski po Teksas. I że na wiosnę pojedą w podróż poślubną do Teksasu. Przesunięty miesiąc miodowy. Kiedy znowu przyniosłem pudełko ze zdjęciami, szybko wstała i po prostu mnie z nim wypchnęła. On chciał je bardzo zobaczyć, ale mu zabroniła. Powiedziała, że nie mają na to czasu, że muszą już iść, bo jeszcze czeka ich taki szaleńczy natłok spraw przed wyjazdem. I obiecała, że jeśli się tylko uda, to zajrzą jeszcze raz. Ale

byłem pewien, że z powodu tych zdjęć już nie przyjdą. Że on nie zobaczy jej takiej, jaka była dawniej. Że wolno mu było kochać ją tylko taką, jaka jest teraz. I tak też wyszło, bo przez parę miesięcy nie dawała znaku życia. Potem przyszła widokówka z Ameryki ze zdjęciem domu w Nowym Orleanie z tymi znanymi żeliwnymi balustradami na balkonach. Napisała na odwrocie takim samym trudnym do odczytania pismem, jak w jej niegdyś listach miłosnych: *This is a very big country. Ameryka to niebywale wielki kraj. Na Florydzie zaskoczyła nas w środku czegoś w rodzaju puszczy ulewa. Na drodze leżało pełno gałęzi, które się ułamały, bo rosnący na nich mech zrobił się za ciężki od deszczu.* (Gdy to czytałem, przypomniał mi się pierwszy raz, jak ją spotkałem i jechałem w jej samochodzie drogą, która też była usiana gałęziami, ułamanymi pod ciężarem lodu.) *Musielimy czasem się zatrzymać, żeby odsunąć je na bok. A jeszcze przechodził na drugą stronę jezdni żółtów. Tak zwyczajnie dziko żyjący! Best regards! Olga.* I tamtej wiosny dostałem jeszcze jedno kolorowe zdjęcie z krajobrazem jakby wziętym z *The Troubles With Harry. AUTUMN IN THE FEATHER RIVER COUNTRY OF CALIFORNIA.* Bez żadnego tekstu, tylko pozdrowienia. Ale z Meksyku przysłała mi list. Dwa tygodnie po Wielkiejnocy. Napisała, że przypomniałem jej się wśród wysokich na dom kaktusów i mułów. Zobaczyła na czymś w rodzaju ostu trzmiela i motyla koło siebie i od razu stanął jej przed oczami album *Verkadego Kwiaty i ich przyjaciele*, który miałem. Pisała też, że jest tam obrzydliwy zwyczaj. W Wielką Sobotę palą wszystkie kukły Judasza, które przygotowują na długo przedtem. Przechodzili przez wieś, gdzie sterczały takie naturalnej wielkości i się paliły, a jej mąż powiedział, że to zupełnie, jakby to był Ku-Klux-Klan. I że czasem w środku upałów tęskniła do Alkmaaru. Do zielonych łąk i kanałów. Potem kapnęła od czasu do czasu widokówka. Z Manzanillo. (Barwny targ rybny z olbrzymimi żółtami wodnymi).

Vera Cruz, Yucatan. (Świątynia jakiegoś ludojada, jak na niej napisała.) I za każdym razem, kiedy znajdowałem w skrzynce taką jej kartkę, przez resztę dnia nie mogłem pracować z melancholii i poczucia bezradności. Może byłoby lepiej, gdyby wtenczas nie była mnie odwiedziła i gdybym więcej o niej nie usłyszał. Bo tak to się zaczęło strasznie upodabniać do tej trzeciorzędnej mądrości, którą tamte amerykańskie cipki przypięły do ściany frontowego pokoju: THERE IS NOTHING SADDER THAN ASSOCIATIONS HELD TOGETHER BY NOTHING BUT THE GLUE OF POSTAGE STAMPS. Wyglądało na to, że i moja daleka ukochana to wyczuła, bo naraz zamilkła na pół roku. Do Bożego Narodzenia tamtego roku. Wtedy znowu dostałem kartkę. Ale prawie z Antypodów. Z planem Zatoki Perskiej. Ponad bardzo niebieskim morzem wisiała wstążka, na której było napisane: GREETINGS FROM TRUCIAL STATES. Z lewej strony u dołu był Arab, przedstawiony na wielbłądzie, a z prawej oaza bogata w palmy. Pośrodku wzdłuż wybrzeża czerwone punkty, gdzie kraj był wysysany przez wieże wiertnicze jak komary. Na odwrocie zrobiła strzałkę w stronę purpurowego znaczka, na którym w zielonym owalu pysznił się ten czy ów szejk, i napisała: *No a tu ten prawdziwy „Sheik of Araby”, o którym słuchałam u ciebie na płycie Benny Goodmana, jak się tylko poznaliśmy.* Dalej pisała jeszcze, że na początku bała się zakwefionych kobiet. Że wielbłądy z rana i wieczora chodzą koło domu jak szczury i że byli na obszarze, który dopiero co opuściła szarańcza. Było łyso i beznadziejnie i wszystko było lepkie i miało gorzką woń. A mężczyźni tak na nią patrzą, że aż mąż jest zazdrosny. Na koniec skrobnęła, że niebawem, jak tylko jej się te nowości trochę opatrzą, napisze list. I faktycznie go dostałem. Zaraz po Nowym Roku. Na trzy stroniczki: *Zima oznacza tu burze piaskowe i przeziębionych ludzi. Wczoraj spadło mniej więcej dziesięć kropel deszczu. Mieszkamy w centrum miasta naprzeciw meczetu w nowym bloku wśród samych*

arabskich slumsów. W tej chwili jest ramadan, okres postu dla muzułmanów. Od wschodu do zachodu słońca nie jedzą ani nie piją i zabronione jest palenie. Nawet nam nie wolno jest jeść ani pić na ulicy lub w samochodzie. Jak to zauważą, to człowiek dostaje karę więzienia. O wpół do szóstej, kiedy zachodzi słońce, strzelają dwa razy z armaty na aperitif i każdy wyczarowuje wtenczas jedzenie, a w meczecie zaczynają się śpiewy, dla mnie to jest zawrodozenie. Te modlitwy ciągną się godzinami i brzmią strasznie nieśpiewnie. Na początku trudno mi było to odróżnić od marcujących kotów, które się kręcą koło domu. O trzeciej w nocy siedzę na łóżku zdrętwiała ze strachu. Wtenczas sygnalizują wszystkim, że się jeszcze po raz ostatni mogą napchać do pełna. Odbywa się to w ten sposób, że bębnią w dwa bębny, ale to tak, że Hitler by się nastraszył. Chodzą po wszystkich ulicach i człowiek w każdej chwili spodziewa się swojego zabójcy. Ten post trwa cztery tygodnie. Napisała jeszcze, że tam polują na synogarlice. Dokładnie takie same jak te, któreśmy kiedyś mieli. Na początku bardzo to ją gniewało. Ale potem je jadła, z dużą ilością czosnku i cytryną. Zdaje się, że chciała mi tym dokuczyć, bo napisała, że jadła też barani mózg, a nawet, nie wiedząc o tym, oczy owcy. Sprawilo jej pewną trudność przyznanie, że smak jest doskonały. I na tym zakończyła list. Największy przysmak zostawiła na koniec. Bo już nie dostałem żadnego listu ani kartki z GREETINGS FROM TRUCIAL STATES!

Fuck me I'm desperate

Osiem miesięcy po tamtych baranich mózгах i owczych oczach nagle u mnie się zjawila. Już była na korytarzu domu i zastukała do moich drzwi. Kiedy otworzyłem, myślałem, że osunie mi się w ramiona, tak chwiejnie stała na nogach. Okulary słoneczne miała odsunięte na włosy, tak że była podobna do ryby czworooka. Była trupio blada i na

prawej szczęce miała świeżą bliznę. Ale kiedy ją chciałem wprowadzić do pokoju zbyt wyraźnie jak pólinwalidkę, żywo mnie odepchnęła i powiedziała, że nic jej nie jest. Że tylko nie może przywyknąć do tego cholernego tutejszego klimatu. Myślałem, że zrobiła sobie urlop w Holandii, ale kiedy już siedziała przy kawie, powiedziała, że matka przywiozła ją samolotem. Wysłała telegram i kwoka natychmiast przyleciała, żeby zabrać pisklę do gniazda. Rzuciłem okiem na tę bliznę ze świeżą różową skórą i brązowymi plamkami. Ale nie pytałem o to. Sama opowie. Tak też zrobiła. Już podczas podróży po Ameryce pojawiły się trudności. Drugi jajnik też ciągle był w stanie zapalnym i wszystko tam w środku się pokiełbało. Co czternaście dni miała pięciodniową miesiączkę. A kiedy chciał z nią iść do łóżka, strasznie ją bolało. Na początku był bardzo wyrozumiały i miły. Ale kiedy już znaleźli się nad Zatoką Perską w tym bloku pośród slumsów, wtenczas się to zmieniło. Powiedziała, że to z powodu nudów i klimatu, od którego każdy dostawał jakiegoś tropikalnego kręćka. Kiedy wracał z objazdowego dozoru wież wiertniczych i znowu nie było można, szedł się upić w Klubie Amerykańskim. W ciągu godziny wlewał w siebie butelkę whisky. A kiedy wracał zapestkowany do domu, potrafił jeszcze godzinami siedzieć na brzegu łóżka i człapać o podłogę swoimi ruchliwymi płatfusami. Dostawała od tego szału. W końcu od byle czego. Od upału, od tych okropnych zwyczajów narodu, wśród którego tkwili zamknięci. Którego ni w ząb nie rozumieli. Miała tam starszą zaprzyjaźnioną sąsiadkę. Żonę kolegi męża. Na początku była całkiem normalna. Co prawda czytywała jakieś teozoficzne książki, ale nigdy o tym nie rozmawiała. Aż tu naraz, kiedy mężowie byli w objeździe, zaczęła kobietom w bloku podsuwać pod drzwi liściki, gdzie pisała: *Opanujcie swoje żądze! Dążcie do świadomej Jedności z Wszechświatem! Namiętność burzy harmonię w Kosmosie! Miłość jest Siłą jednoczącą Wielkiego*

Kosmicznego Magnesu! I inne tego rodzaju bzdurki. A skończyło się na tym, że któreś nocy wszędzie po ścianach klatki schodowej i korytarzy, a nawet na szybie windy swoją gryząco czerwoną szminką wypisała literami półmetrowej wysokości: FUCK ME I'M DESPERATE. Potem wyleciała na miasto w jednych majtkach i biustonoszu. Nazajutrz rano znalazły ją śpiącą w rynsztoku, gdzieś w nędznej dzielnicy. Zajebaną prawie na śmierć. Miała zdartą skórę po wewnętrznej stronie ud. Musiały przegalopować przez nią całe plemiona. I zamiast zadbać o to, żeby znalazła się w szpitalu, one wspólnie zabrały się do skrobania i malowania ścian, żeby nie było śladu po tamtych jadowniczo czerwonych szminkowych literach, kiedy mężowie wrócą do domu. A potem wróciła do swojego Humphreya Bogarta. Robił się coraz bardziej zazdrosny. Bo już prawie wcale ze sobą nie sypiali, a ci smagli zgrabni Arabowie nie przestawali na nią patrzeć. Aż jej sztywniały sutki. No i odwzajemniała spojrzenia, bo to było jedyne, co jeszcze mogła. Musiała odreagować spojrzeniami i flirtowaniem. Bo nic innego nie dało się zrobić, tylko coś zjeść i czegoś się napić. A życie mija, ani się człowiek obejrzy. Dlatego wybierała się gdzieś czasem z zaprzyjaźnionym Arabem, kiedy mąż znów był na parotygodniowym objeździe. Trochę się przejechać w jego samochodzie i trochę poprzytulać. Ale naprawdę niewierna nigdy nie była, zapewniała. Nawet by nie mogła, choćby chciała. No i kiedyś siedziała w knajpce i ktoś ją musiał przykablować, bo naraz wszedł jej mąż, który powinien był dozorować kilkaset kilometrów stamtąd. Podszedł bardzo spokojny i opanowany do ich stolika, gwałtownie ją stamtąd wywlókł i uderzył w sam środek twarzy. Jej przyjaciel nie mógł tego przełknąć. Zerwał się groźnie, wściekle wymachując rękami, rzucał się do bicia. Kucał i podskakiwał nisko, przybliżając się do jej męża. Ale to wszystko było zawracanie dupy. Próżny trzepot ptaka bojownika. Bo jej mąż trzema ciosami rzucił go na podłogę. Gdy tamten wygramolił się

na proste nogi, dostał jeszcze raz w szczękę i wyeliminowany leżał jak szmata na podłodze wśród swojego wspaniałego stroju. Nagle zobaczyła go przed sobą z rewolwerem w ręku. Potem nie potrafiła powiedzieć, czy miał zamiar do niej strzelać, czy chciał ją tylko zmusić, żeby z nim poszła. Ale naraz ludzie zaczęli go ze wszystkich stron przytrzymywać. Wtenczas rozległ się strzał. Nic nie poczuła. Tylko ciepło i uczucie pieczenia. Nie miała teraz w tym miejscu czucia, powiedziała pocierając palcem po bliźnie. Mogła tam przyłożyć zapalonego papierosa. Sądziła, że mąż dostał czegoś w rodzaju udaru mózgu. Stale na tym palącym słońcu i to ciągle picie. Na domiar złego kupił jeszcze kiedyś kameleona. Od handlarza, który przywiózł go z Madagaskaru. To było dla niej coś potwornego, to zwierzę w szklanym pojemniku w jej pokoju, z którym cały dzień była sam na sam. A te oczy tylko chodziły. Zupełnie jakby była podglądana przez dziurkę od klucza. Trzeba go było karmić karaluchami.

Kiedy mąż siedział z kolegami przy kartach i alkoholu, a zobaczył biegnącego po ścianie karalucha, to za ciężko mu było wstać i go złapać. To ona musiała uciąć kawałek taśmy klejącej i przykleić go szybko do ściany. Bo za żadne skarby nie wzięłaby czegoś takiego do ręki. On tylko wołał: „*Cockroach, cockroach!*” Kiedy wieczorem leżała w łóżku i nie mogła spać od gorąca, zdawało jej się, że słyszy drapanie o tynk łapek uwięzionych stworzeń. Następnego ranka on je zbierał ze ściany i rzucał kameleonowi. Nie miała nic przeciw temu, że kameleon zjadał te karaluchy. Ale odgłos, jaki przy tym wydawał, to było coś ohydneho. Kiedy ją zapytałem, jak to się skończyło z jej mężem, powiedziała, że pewnie siedzi gdzieś w więzieniu albo zakładzie. Że ostatnią rzeczą, jaką jej wykrzyczał, kiedy policja odprowadzała go po przesłuchaniu, było, że ją wszędzie odnajdzie. Popatrzył na nią surowo i powiedział zajadle: „Olga, miej się lepiej na baczności”. Zdjął ją śmiertelny strach i

natychmiast wysłała telegram do matki, żeby po nią przyjechała. I była teraz z powrotem w Alkmaar. Wśród tych mokrych błotnistych łąk. I głowa jej pękała z bólu od tej mgły, tak jak tam na początku bolała ją z tamtej spiekoty. Powiedziałem, że teraz przynajmniej jest wolna. Z miejsca na mnie naskoczyła: „Coś ty, ja wcale nie chcę być wolna. Czuję się z tym potwornie nieszczęśliwa”. Potem ścisnęła głowę rękami i odrzuciła włosy w górę bezładną rozwichrzoną chmurą, i dalej tak siedziała. Patrzyłem na te paznokcie polakierowane na macicę perłową, na białe jak ze starości dłonie w rudych włosach, które też były już takie zszarzałe i matowe. I musiałem się powstrzymać, żeby nie usiąść koło niej, nie otoczyć jej ramieniem i razem serdecznie nie wybeczeć się po tej udręce. Naraz odezwała się matowym głosem, jakby mówiła do siebie: „Ach, zaraz potem znowu się w pośpiechu rzuciłam w coś nowego. Myślałam sobie, że teraz to Pana Boga za nogi złapałam, a dziś go znów już całkiem zapomniałam. Oprócz przykrych rzeczy. Ten upał i te cholerne owady. I to moje ciało, które wciąż dawało mi się we znaki. Bo trzeba je ze sobą wszędzie włączyć. I mogę ci tylko powiedzieć, że nie jestem zadowolona z tego życia, jakie miałam do tej pory. Zupełnie nie. Nawet czasem myślę sobie, że powinnam iść do psychiatry. Nie wiem, co począć. Jeśli się nie dopuszcza na powierzchnię różnych swoich uczuć, to koniec końców sam już człowiek nie wie, jak to z nim jest. Wszystko wypierałam. O nas też. Póki mi nie pokazałeś tych zdjęć tuż przed moim wyjazdem. Wtedy wszystko się wydostało”. Wstała i zaczęła chodzić. Naraz zatrzymała się, wskazała na podłogę i powiedziała, że w środku upałów nagle zobaczyła to miejsce wyraźnie jak na dłoni. Jak tam siedzieliśmy słuchając tamtych dwóch płyt Benny Goodmana, kiedy pierwszy raz u mnie była. I że podczas pieszczot powiedziałem jej: „A teraz chętnie bym gdzieś wysiał to swoje bezcenne nasienie”. I że wtedy ją to śmiertelnie przestraszyło. Naraz zaczęła się ochryple śmiać, przeciągnęła

się, przycisnęła dłonie do żołądka i zapytała, czy nie sędzę, że jej piersi znowu się powiększyły. Powiedziała, że używa specjalnego mazidła na piersi. Zabrała tego całe słoiki. Z Abu Dhabi. Ma zapas wystarczający do sześćdziesiątki, dodała ze śmiechem. Po nasmarowaniu pojawia się pobudzające uczucie ciepła, jakby się leżało pod kocem elektrycznym. Potem skóra robi się czerwona. A kiedy to przechodzi, okazuje się, że naprawdę piersi są nabrzmiałe. Jej mąż wyśmiewał ją za to. Mówił, że to wcale nie pomaga. Że to zwykły krem hormonalny z Ameryki, który Arabowie przetaczają do swoich flakoników z tajemniczymi etykietkami. Zastanawiałem się, do czego ona zmierza. Żebym zapytał, czy mogę je zobaczyć i stwierdzić, że znów są takie jak przedtem? Czy było to tylko takie babskie gadanie. Bez żadnych ubocznych zamiarów. Tak czy owak na pojednanie między nami na bazie mazidła na piersi się nie zanościło. Ale i ona sama była już gdzie indziej. W Ameryce, gdzie jednak przeżyła przyjemny okres. Niekiedy jadła pięć homarów jednego dnia. A pewnego razu zobaczyli przy drodze przez rozległą prerię, jak grupa kowbojów szlachtuje krowę. Wysiedli i przez cały wieczór się przyglądali, jak to zwierzę było rąbane na sztuki i na miejscu pieczone na rożnie. To było całkiem jak film. Rzeka bez powrotu, z Marylin Monroe, który widziała ze mną w dalekiej przeszłości. Jeszcze następnego ranka czuła na policzkach gorąco ogniska, tak blisko siedziała. To był szalony kraj. W jednej miejscowości obsługujące dziewczyny prawie sobie maczały cycki w talerzu, a krok dalej malowali nawet chromowane części samochodu na czarny mat i trzeba było sobie ukrywać ślady po nikotynie na palcach, boby człowieka nie wpuścili. Któregoś wieczoru mąż jechał sto osiemdziesiąt na godzinę, bo ledwo żyli z niewyspania, a do najbliższego motelu było dwieście kilometrów. Naraz niebieskie migoczące światło koło nich. Ryk: „Nie widzieliście naszego radaru?” Policjant, takie byczysko w czarnej skórce. Ale kiedy mu wręczyła

parę drewnianych sabocików, zmiękł jak dziecko. Jego przodkowie byli Holendrami. I o mandacie nie było więcej mowy. Potem znowu zaczęła o pokazie kuriozów, na który poszła ze mną wtedy, jak mnie po raz drugi spotkała na jarmarku na Nieuwmarkt. Kobieta z wosku przywiązana do pała męczeńskiego z ciężarem u pasa stała jej wciąż przed oczami. Po łydkach ściekały czerwone strużki i krew leciała z ust. I właśnie tak się czuła, kiedy jej mąż, drugi, powiedział jej pewnego razu: „Jesteś taka dumna jak Joanna d’Arc, tylko nie taka mocna”. I wtenczas wziął ją siłą. Było to dla niej coś obrzydliwego. Wstrętne było dla niej tamto, jak na plaży Amelandu szufelką rozcinałem na kawałki wszystkie te meduzy, choć wiedziała dobrze, że są nieżywe. Ale wiatr tak nimi poruszał, że wyglądało, jakby żyły. Potem znowu naraz jej się to znudziło. Wywoływanie tych wszystkich kawałków przeszłości. Zresztą przyjechała do Amsterdamu, bo musiała pójść na badania do ginekologa. Bo tak się okropnie czuła z tym swoim brzuchem i głową pękającą z bólu. A zanim poszła, powiedziała, że z nią jest odwrotnie niż z tamtą przyjaciółką znaną z Zatoki Perskiej, która napisała na ścianach: „Wypierdolcie mnie, jestem zrozpaczona”. Też jest w rozpacz. Ale chciałaby każdemu wykrzyknąć: „Zostawcie mnie, na litość boską, w spokoju!”

Rosa turbinata

Kiedy niedługo potem zadzwoniła do mnie jej matka, od razu tknęło mnie przecucie, że to chodzi o Olgę. W jej głosie pobrzmiwało sztuczne współczucie, które mi wyraźnie dawało do zrozumienia, że jest silną i odporną kobietą, która potrafi się opanować. Powiedziała, że Olgę ostatnio coraz mocniej bolała głowa. Raz w nocy znalazła ją nieprzytomną w ubikacji. Leżała tam kilka godzin. Ponieważ lekarz

domowy nie mógł stwierdzić przyczyny, trzeba było zrobić prześwietlenie głowy w szpitalu w Amsterdamie. Jeszcze zanim przysłali jej wyniki, dostała telefon. Natychmiast trzeba było przeprowadzić operację mózgu. Wypilowali jej otwór z boku głowy i pokazał się tumor wielkości kawałka mydła toaletowego. Ale korzenie musieli pozostawić, bo były wrosnięte w mózg. W przeciwnym razie zostałyby sparaliżowana. Teraz była codziennie napromieniowywana i w szpitalu dawali jej nadzieję. Olga już kilka razy o mnie pytała, więc ona teraz do mnie dzwoni, żeby mnie poprosić, czy nie mógłbym jej od czasu do czasu odwiedzić. Bo ona jest jedyną, która do Olgi przychodzi, ale też nie może co dzień jeździć do Amsterdamu. Kiedy mi to wszystko opowiadała, byłem jak po zawrocie głowy. Niezdolny, żeby pojąć powagę sytuacji. Bo stanęła mi przed oczami Olga w szklistym świetle z włosami długimi jak u Wenus Botticellego. Taka piękna jak niegdyś. Jakby odrodziła się w dawnej chwale. Dopiero kiedy odłożyłem słuchawkę – ustaliliśmy jeszcze dokładne godziny odwiedzin, ponieważ nie chciałem w żadnym wypadku spotkać tej ropuchy, o czym zresztą jej powiedziałem – zauważyłem dziwnie sztywną obecność oczu w głowie. A może wszystko, co wyczyniała przez te ostatnie lata, od nagłej ucieczki ode mnie aż po ostatnie wojaże nad Zatokę Perską – może to było przez tę bezbarwną bulwę, która swoimi pasożytniczymi korzeniami naruszyła mózg. Przypomniał mi się jej nieruchomy wzrok nad książką niedługo, zanim ode mnie na zawsze odeszła. Teraz po wszystkim mogło się wydawać, że wtedy nasłuchiwała, co dzieje się tam w środku. A potem w panice uciekła przed czymś, czego sama nie rozumiała, co jednak nosiła ze sobą. Wszędzie. Nierozdzielne jak cień. Po tamtej rozmowie telefonicznej zadzwoniłem natychmiast do przyjaciela internisty. „Tamta twoja ruda, jeszcze z dawna? Szkoda”. Powiedział, że nic się na to nie poradzi. Może otwarcie mówić, bo

przecież nic mnie już z nią nie łączy. Że owszem, próbują to powstrzymać naświetlaniami, ale to tylko odraczanie egzekucji. Bo korzenie tam pozostają. I u jednego potrwa to pięć lat, póki to znowu nie zacznie rosnąć, u innego wszystko idzie na marne po paru miesiącach. Usłyszałem od niego, co już i tak wiedziałem. Że to ją zabija. Że nie ma dla niej ratunku. I powtarzałem to sobie, gdy po gębie w nerwowym ataku płynęły mi łzy. „Umierasz, Olga. Ty umierasz”. Następnego popołudnia poszedłem do niej. Leżaka w separacie. Pierwsze, co zobaczyłem, to było wielkie okno z wieloma parkowymi drzewami. Z powodu zawieszanej w nim gazy i światła, które złotawo w niej się rozpraszało, wyglądało to jak gobelin. A ona leżała w niebieskawym cieniu salki, a na dworze świeciło słońce. Położyłem róże w nogach łóżka i podszedłem do niej. Wyciągnęła rękę. Bez sił i wodnistą w dotyku. Twarz też miała nalaną. Jej oczy wydawały się przez to mniejsze. Lewą stronę głowy miała łąsą. Blizn nie było widać. Parę czerwonych kreseczek. Rozpoznać to było można tylko po drzeniu skóry. Że pod nią nie ma kości. Włosy, jakie pozostały, były krótkie i poprzedzielane łąsymi plamkami. Nerwowo przeciągnęła po nich palcami i przyglądając się w lusterku powiedziała, że może całkowicie wyłysieje. Że tak powiedział lekarz. To z powodu promieniowania. Ale że potem włosy jej odrosną i po bliznie nie będzie śladu. Spróbowała się roześmiać i powiedziała, że ma teraz głowę z drzewczkami. Że ten kawałeczek kości potem się wstawi. Że przechowują go teraz na dole w lodzie. Było to dla niej takie niepoważne. Że gdzieś indziej był kawałek jej. Na początku stale jej się przypominała rycina Antona Piecka na okładce książki Trygve Gulbrandsena Wiatry wieją na skały, którą widywała na regale u swojej matki. Lodowa ściana jak w lodowcu, a w nią wrysowana czaszka. Czuła po prostu ten ziąb na swojej głowie. W miejscu, gdzie była otwarta. Kiedy usiadłem koło łóżka, powiedziała, że dobrze

wyglądam, a ja poczułem się jak rozbawiony drań. Bo byłem zdrowy, a nie mogłem nic dla niej zrobić. Opowiedziała mi, jak to na początku patrząc przez okno zobaczyła wspaniałe jasnozielone kwiaty na drzewach. I długo się zastanawiała, co to może być, jasnozielone kwiaty. Takie to jej się wydawało tajemnicze. Dopiero pielęgniarka powiedziała jej, że to są kasztany. Coś dziwnego działo się z jej oczami. Bo najpierw mogła dokładnie przeczytać, co było napisane pod reprodukcją róży na ścianie naprzeciw niej. *Rosa turbinata*. Ale teraz widziała tylko szare plamy. Nie pozwolili jej czytać, powiedzieli, że to zbyt męczące. Ale w zeszłym tygodniu matka miała ze sobą Libelle. W tajemnicy schowała ją sobie pod poduszkę. Kiedy później próbowała coś przeczytać, musiała co chwilę wracać i zaczynać od nowa, bo po paru zdaniach zapominała, co było na początku. A czasem po prostu nie rozumiała, co było napisane. Więc sylabizowała słowa jak dziecko w szkole. Naraz zapytała, jak się miewa kot. Opowiedziałem jej nie tylko, co jest z nim teraz, ale też jak mu było przez cały czas, odkąd jej zabrakło. Że na początku wciąż biegał do drzwi, gdy było słychać wysokie obcasy. Że wszędzie jej szukał po domu. Zaczęła płakać i powiedziała, że tamto jedno małe, które wtenczas sama wyciągnęła z rodzącej kotki, to jedyne stworzenie, które naprawdę było jej. Przysunąłem krzesło bliżej łóżka, otoczyłem ją ramieniem i powiedziałem, że kiedy lepiej się poczuje, pójdziemy razem go obejrzyć. Skinęła, ale płakała dalej. Położyłem rękę na jej wilgotnym policzku i przytuliłem do siebie głowę. Przesiedzieliśmy tak, dopóki nie wpadła pielęgniarka rozbawiona, jakby to była izba porodowa, mówiąc, że minęła pora wizyt. I tak przez to ostatnie półrocze jej życia spędzałem przy niej parę godzin po kilka razy w tygodniu. Przez okno, z którego także na zimę nie usunięto gazy, widzieliśmy razem, jak żółkną drzewa, jak pada śnieg. Ale kiedy znowu wszystko się zazieleniło, musiałem jej już o tym opowiadać. Była już całkiem ślepa. Na początku była zazwyczaj

bardzo spokojna i trzeźwa. Przypominała sobie z niezwykłą dokładnością wiele szczegółów z przeszłości. Jak siedzieliśmy na ławce w parku Vondela i wysysaliśmy miód z weigelii, a obok w koszu na śmieci pełno było kłaków czarnej psiej sierści. Jak to asphalt był zawsze wilgotny, gdy wracaliśmy z nocnych koncertów, a kiedy raz siedzieliśmy na tarasie restauracji w Artis, widzieliśmy, jak mewa srebrzysta połknęła w całości wróbla, który się zanadto do niej zbliżył. Widziała, jak ptaszyna, jeszcze poruszając się, przechodzi przez gardło. Ohyda. Pewnego razu powiedziała, że w Meksyku kupiła mi terakotową rzeźbę z wykopalisk. Kochającą się parę. Jeszcze oblepioną ziemią. Zostawiła gdzieś w hotelu w San Diego. Jednakże później marudziła jak dziecko. Po kilka razy na godzinę musiałem obmacywać jej przednie zęby, bo zdawało się jej, że się obluźowują. W środku odwiedzin chciała mnie wysyłać po torebkę rachatlukum, bo tylko tę galaretkę miała jeszcze odwagę gryźć tymi obluźowanymi siekaczami. Albo chciała, żebym jej pomagał w układaniu łamigłówek z kolorowym krajobrazem jesiennym, chyba równie bogatym, co widoczek, jaki mi kiedyś przysłała z Kalifornii. Kiedy znajdowałem i układałem pasujące części, ona odbierała mi je mówiąc, że są niedobre, że nie pasują. Robiła się wtedy jakaś złośliwa. Z wielkim taktem musiałem wtedy tak jej podsunąć właściwe składniki, żeby odniosła wrażenie, że sama je dobrała. W przeciwnym razie stawiała się jeszcze bardziej rozdrażniona i kawałek po kawałku demontowała wszystko na powrót. Przed końcem roku była całkiem łysa. To się nawet zgadzało z wyglądem jej okrągłej, nabrzmiącej twarzy. Półdebilna macierz, która zdaje się uśmiechać, bo jest na pół ślepa. Ale ona była tym przerażona. Nie wiedziała, gdzie ma się podziać. Za każdym razem, gdy przychodziłem, najchętniej naciągnęłaby sobie poduszkę na głowę. Dlatego, uzgodniwszy to przedtem z lekarzem, kupiłem jej perukę. Pożyczyłem na ten cel sześćset guldenów, które zdołałem spłacić

dopiero w rok po jej śmierci. Była bardziej płomiennie ruda niż jej dawne włosy. Nie posiadała się ze szczęścia. Pierwszego dnia, kiedy ją miała na głowie, bez ustanku muskała ją dłońmi. Ale wyglądała w niej szkaradnie. To było coś przerażającego. Bo się już nie dostrzegało, że jest chora. Więc to było tak, jakby zawsze właśnie tak wyglądała. Jak nadęta złośliwa księżniczka z bajki. Jadowita i kłamliwa przyrodnia siostra Kopciuszka. A kiedy jej się peruka przekrzywiła, wyglądała tak głupkowato, że można było jednocześnie śmiać się i płakać. Opowiadała coraz więcej historii, które, jak podejrzewałem, były zmyślane. Że ten jej Amerykanin ją regularnie bijał. Za każdym razem, kiedy gdzieś byli, i on uważał, że z kimś flirtowała, dawał jej w domu w przedpokoju z całej siły pięścią po głowie. Dlatego jest teraz taka chora. I zawsze gdy dokąś wyjeżdżał, notował sobie stan licznika samochodu. I potem musiała się wyliczać z każdego kilometra. Kiedyś, jak byli pijani, rozebrał ją i nawkładał jej do pizdy kostek lodu. Mało nie wyskoczyła przez okno na te chatki Arabów, tak nieznośnie ją paliło i drażniło. A kiedy indziej opowiadała coś o mnie, jakby całkiem zapomniała, że przy niej siedzę. Że kazałem jej godzinami obok siebie jechać na rowerze. Póki zmęczona nie upadła razem z rowerem w trawę przy drodze. I zawsze kazałem jej wykradać róże z kwietników, więc miewała zakrwawione czubki palców od różanych kolców. Bała się śmiertelnie, że ją przyłapią. Ale po pewnym czasie skończyły się nawet kłamstwa i fantazjowanie. Nie mogłem dla niej nic więcej zrobić, jak tylko jej coś poczytać. Były jakie głupoty z Libelle. Było wszystko jedno, gdzie zacznę. Gdy na chwilę przerwałem, czasem coś powiedziała. Było to coraz bardziej bez ładu i składu, ale niekiedy domyślałem się, że coś próbuje wspominać. Kiedy do niej docierało, kim jestem. A pewnego razu powiedziała ni stąd, ni zowąd: „Jeżeli w połowie sierpnia robi się nagle zimno, wszystko staje się chaotyczne”. Niedługo potem wszystko się urwało. Nic już nie widziała.

Prawie nie mogła mówić. Oczy wychodziły z orbit, jakby je coś wypychało od tyłu. Zrobiła się jeszcze grubsza i bardziej nalana. Ale wciąż przynosiłem jej kwiaty. Bardziej dla pielęgniarce niż dla niej. Nie mogłem tak po prostu bezwstydnie przestać tylko dlatego, że i tak już nic nie widziała. Gdy przekraczałem jej próg, ogarniało mnie takie duszące niepokieszenie, że miałem ochotę wpaść jak Oliver Hardy, wstydlawie i nieokrziesanie rozbawiony, i z całej siły zawołać: „Aloha, babe!” A potem wyskoczyć z nią przez tę szybę i gazę i na bukietach róż jak na spadochronie przesybować nad pączkującymi kasztanami. Z nią, czarami na powrót odmienioną w dziewczynę moich marzeń. Kiedy przyszedłem po południu jednego z pierwszych dni wiosny, nie żyła. Umarła poprzedniego dnia wieczorem. Lekarz powiedział, że nie powinienem sobie robić żadnych wyrzutów. Zrobiłem, co mogłem. Podziwiali mnie, że zawsze przychodziłem punktualnie i nigdy nie wychodziłem przed czasem. Również kiedy mojej obecności już musiała nie zauważać. Powiedział, że to wiele dla niej znaczyło. Że musiałem ją ogromnie uszczęśliwić tą peruką, bo kiedy umarła, przyciskała ją do głowy obiema rękami. Kiedy widziałem ją ostatni raz – nie wyglądała bardziej odpychająco niż poprzednio – lekarz, który wracał ze mną, zapytał, czy może ma zatrzymać dla mnie perukę, bo zaraz będą ją składać do trumny i odwozić do krematorium w Velzen. Powiedziałem, żeby ją miała na głowie. Że ona tak chciała.

KONIEC

Ojciec, śmierć i ja (poślowie)

Jadwidze

Dziwnym zbiegiem okoliczności prawie równocześnie ukazują się po polsku dwie najlepsze powieści holenderskiego prozaika i rzeźbiarza

Jana Wolkersa: niniejsza z roku 1969 (*Turks fruit*) i wcześniejsza o cztery lata, którą pt. *Z powrotem do Oegstgeest* wydaje Państwowy Instytut Wydawniczy. Obszerne fragmenty obu były prezentowane w „Literaturze na Świecie” (1978/7) jako charakterystyczne i ważne osiągnięcie najnowszej prozy niderlandzkiej. Pod takim hasłem można je polecić również dzisiaj, kiedy oto dobiegają końca obfite w zabawne perypetie dzieje zabiegów o ich wydanie w Polsce; powiedzmy dla przykładu, że Autor już w 1979 roku na liście tłumaczeń swoich powieści jako najnowszą, dwudziestą ósmą pozycję umieścił – a miał po temu przesłanki – polskie wydanie *Terug naar Oegstgeest*. Gorzej było z *Turks fruit*, którego długo nikt nie chciał, kiedy zaś w 1983 roku znalazł się wydawca, Autor bał się powierzyć tłumaczenie piszącemu te słowa; uczynił to wreszcie w 1988 roku, przyciśnięty do muru kolejnymi komplikacjami. Może to i dobrze, bo tymczasem klimat i krajobraz literacki u nas się zmienił i już nie potrzebujemy (jak niegdyś redakcja „Literatury na Świecie”) liczyć na to, że mniejszy lodołamacz WOLKERS przetrze szlak przez manowce lodowe ulicy Mysiej supertankowcowi HENRY MILLER.

Nie zmieniła się natomiast przez te lata literacka pozycja Wolkersa; w dalszym ciągu jest to nie największy zapewne, ale w pewnym sensie najbardziej znaczący współczesny pisarz holenderski. Nie ma tam drugiego prozaika, który by się cieszył równą poczytnością i wywarł tak ogromny wpływ na rodzimą prozę, a zarazem uruchomił nurt rozrachunku z tradycyjną etyką kalwińską i, szerzej, chrześcijańską.

Jej źródłem i symbolem, probierzem i legitymacją jest Biblia, czytana w rodzinach protestanckich przy obiedzie – tu i ówdzie do dziś. Oparty na niej system wartości i ocen moralnych oraz autorytarną praktykę wychowawczą uosabia u Wolkersa postać ojca: żarliwie wierzącego, silnego, ale i paskudnie nietolerancyjnego, wręcz tyrańskiego. W

działaniu system pokazany jest na przykładzie rodziny i środowiska małomiasteczkowego (Oegstgeest koło Lejdy), ludzi żyjących pod niebem, które jest niczym innym, jak „spodem kamienia nagrobnego” (G. Boomsma). Taka jest sceneria większości wczesnych opowiadań, poczynając od znanego u nas, debiutanckiego *Straszego bałwana śniegowego* (1957, porównaj *Z Kraju Złotego Lwa*, PIW 1975). To samo mamy w powieści *Z powrotem do Oegstgeest*, która ogarnia wątki dziecięce i chłopięce z biografii Wolkersa i stanowi klucz do całej bodaj twórczości pisarza. Książkę tę krytyka niderlandzka dość zgodnie uważa za arcydzieło w trzydziestoletnim dorobku Wolkersa i bez wahania zalicza do tuzina najlepszych powieści tej literatury w ostatnim półwieczu. Widzimy w niej, jak narrator wraz z całym pokoleniem opuszcza podupadające domostwo ojca, biorąc zaś z nim rozbrat, przyczynia się do ostatecznego krachu jego sklepiku. Fundamentalisci religijni i moralni ortodoksi tracą autorytet i zostają bez następców, a ich dom i sklepik idą do rozbiórki. Zanim jednak staniemy oko w oko ze stertami materiałów budowlanych (bystrzy czytelnicy zauważyli je w dwutorowej kompozycji powieści i charakterystycznym podziale na „wolno stojące” rozdziały), prześledzimy przypomniane drobiazgowo losy rodziny na tle historii kraju, świata (kryzys gospodarczy, zmiany polityczne, wojna); przesunie się nam przed oczami cały film Wolkersowskich motywów i wątków w ich wręcz biblijnej obfitości, charakterystyczności i drastyczności: Bóg i pobożność, władza i posłuszeństwo, wina i pokuta, niebezpieczeństwo i strach, klątwa i groza, choroba i okaleczenie, okrucieństwo i czułość, seks i miłość, a wszędzie w polu widzenia śmierć, śmierć i śmierć. Piętno na skórze, jakie ma prawie każdy bohater Wolkersa, oznacza użądlenie śmierci; piękną historyjkę na ten temat zmyśla dla dziewczyny bohater pierwszej powieści *Kort Amerikaans* (1962, wydanie poprawione 1979, *Krótko na*

jeża): „Razem ze mną urodziła się siostrzyczka (...) Byliśmy bliźniakami. Przy narodzinach była martwa. Już od miesiący. Całkiem zgniła. Przy porodzie wszystko po prostu wypłynęło. To musiało potwornie śmierdzieć. W macicy leżała z czołem na mojej skroni, jak zgniłe jabłko, które zaraża zdrowe”.

Jakie owoce mogło wydać drzewko, któremu przyszło przeć w górę pod takim kamiennym niebem, i które było przy tym bezceremonialnie przycinane przez zadufanych ogrodników z tatusiem na czele? Człowiek w sytuacji podobnego stłumienia albo kładzie uszy po sobie (i wcześniej czy później nabawia się nerwiczki), albo czerpiąc siły z własnej witalności oraz słuchając ducha wiecznego przeczenia (co przemawia przez starszego brata, kolegę lub wuja) wybiera bunt. A to straszne słowo to tylko nazwa wyzwolenia. Zgodnie z tym upadek firmy ojca nie jest jedynym nurtem fabuły *Z powrotem do Oegstgeest*, nawet jeśli dodać równoległą utratę wiary. Jeśli autor gdzieś mówi: „Niewiara w Boga jest moją jedyną z Nim więzią”, nie jest to jedynie żarcik. Bo jeśli nie z Nim, to z kim? Przecież nie możemy istnieć bez obcowania z absolutem. Jest naturalne, że gdy człowiek straci zaufanie do kierujących nim autorytetów i poczuje się opiłkiem żelaza w polu rozpiętym między biegunami życia i śmierci, musi najpierw sam zdecydować, co go najbardziej przyciąga. Ci, którzy pozostawili nie składać się w ofierze – ani od razu, ani na raty – żywiołowi śmierci (w ich zastępstwie umrzeć może na przykład starszy brat), będą odtąd budować swoją osobowość opierając się na wartościach życia: program skromniejszy, bez przerzutki transcendentalnej, ale gwarantujący większą suwerenność (= wolność + odpowiedzialność). Wśród mnóstwa zdarzeń tej powieści można dojrzeć i taki fabularny nurt, którego sensem jest wyzwianie się dziecka, formowanie się chłopięcego ja. Najsilniejszym nakazem staje się solidarność z życiem, odrzucone zostało, ponieważ było nie do

przyjęcia, niebo, w którym nie ma miejsca dla wszystkich żywych istot, dla ukochanych zwierząt (w *Kort Amerikaans* młodzińczy narrator powiedział: „Gdyby istniały tylko zwierzęta, można byłoby wierzyć w Boga. Ale człowiek wszystko psuje”). Okrucieństwo wobec zwierząt jest aktem sprawiedliwości bądź bluźnierczym naśladowaniem Boskiej wszechmocy i panowania nad życiem. Z bólu i strachu nie ucieka się, ale się je pokonuje, skupiając uwagę na ich źródłach albo pomniejszając je dowcipkowaniem (humor to dobre zaklęcie na różnych czarowników). Dopiero jednak bezpiecznie przesterowawszy między Scyllą chemicznych rajów a Charybdą psychicznego kanibalizmu – iluż to skuszą te dwie słodkie ławizny – córka czy syn mogą stawić czoło rodzicowi, przejąć ster życia na stałe we własne ręce.

Coś z takiej sytuacji odnajdujemy w *Rachatłukum*. Młody dorosły (początkujący rzeźbiarz) spogląda wstecz na pierwszy samodzielnie napisany rozdział życia. Był dionizyjski. Prawdziwe zachłyśnięcie się życiem jako żywiołem i jako absolutem; czyli doznanie pełni: mieć kogoś, być czymś i uczestniczyć w czymś wyższym od siebie. Jeśli trzeba wyrazić pragnienie, aby szczęście trwało, a nie można się pomodlić, to pozostaje instynktowna chyba magia sympatyczna; robiąc coś w kółko wypowiadamy jakby zaklęcie: niech tak się stanie! Cieleśne inkantacje płoszą przy okazji z nieba wronę śmierci, przywracając mu normalny wygląd. (Ale ona przyleci i wyrządzi krzywdę.)

Gdyby śmierć Olgi, ukochanej bezimiennego bohatera tej powieści, była tragicznym trafem życiowym, wystarczyłoby ją skwitować stosowną dla romansu łzą. Ale w świecie przedstawionym w powieści pojawienie się tego elementu jest skrupulatnie przygotowane i następuje z taką koniecznością, że nie ma mowy nawet o użyciu go jako memento. Olga jest zarażona śmiercią rozumianą jako niezdatność do życia w suwerenności. Boi się macierzyństwa, choć gotowa jest do największych

poświęceń w opiece nad zwierzątkami. Chociaż bardzo kocha, daje sobie skołować w głowie i nie jest zdolna ocenić, czy w parze z ukochanym znalazła wszystkie przesłanki szczęścia. W obu sprawach winę za jej rozdarcie ponosi matka: spowodowała uraz i nie wypuściła spod swoich skrzydeł, czyli podwójnie okaleczyła córkę. Ta na pół macochowata, na pół zaborcza matka jest więc antagonistką bohatera. To, że nie ma w niej heroiczych rysów, jakich narrator nie szczędzi gdzie indziej ojcowskiemu przeciwnikowi, nie jest wcale efekciarskim uleganiem stereotypowi teściowej. Za ojcem stał autorytet Boga. Za teściową stoi tylko stragan z mieszczańskimi przesądami. To uzasadnia brak respektu wobec niej (nie fakt, że bohater nie musi się z nikim liczyć, bo już nie jest dzieckiem), zarazem zaś ilustruje zanik perspektywy metafizycznej (w każdym razie jej młodzieńczą neutralizację), kiedy to liczą się jedynie racje życiowe i transcendencja skraca się do jednego kroku: ode mnie do ciebie. (Nie boją się tego ci, co z matematyki wiedzą, że w tak zdawałoby się błahym przedziale od -1 do $+1$ można zmieścić wszystkie liczby od zera do \pm nieskończoności.)

Jest wypróbowaną metodą pisarską czynienie niesympatycznymi postaci, które bronią spraw na to nie zasługujących – jak w powiedzonku: „Jeśli chcesz się dowiedzieć, co Bóg sądzi o pieniądzach, popatrz, komu je wciąż daje”. Oczywiście taka mieszczanica i niedobra matka musiała stać się w powieści głupią lafiryndą, której piękna córka jest jak tytułowe rachatlukum: dużo słodczy, brak struktury, konsystencja galarety, może twardej, ale jednak galarety. (Możliwe są łagodniejsze interpretacje.) Ostrość Wolkersowego ubolewania nad niepełnością brać się może stąd, że formowanie i funkcjonowanie osobowości suwerennej przedstawia on w takim momencie dziejów człowieka, kiedy odpadła perspektywa metafizyczna, a jeszcze nie zapanowało zwątpienie w szanse suwerenności; wówczas to na miejsce powszechnych abstrakcyjnych i

normatywnych ideologii wkraczają jako rezerwuary sensów (instancji usensowniających) konkretniejsze, ale mniej zobowiązujące tradycje kultury i egzemplaryczne mitologie (że nie wspomnimy o dzisiejszych idiolatriach muzycznych w katakumbach hałasu) albo następuje odwrót od kultury i szerzy się rzutowanie sensowności od środka na zewnątrz. Wszystko staje się znaczące jako projekcja JA (ciała i duszy), które ulepiło „rzeczywistość” zapamiętując pewne swoje doświadczenia. Z tą drogą laicyzacji wiążą się pewne przemiany obyczajowe naszych czasów, widoczne choćby we wzroście zainteresowania problemami ciała, w przypisywaniu większego waloru młodości i tężyznie, ale też w dostrzeżeniu śmierci (nawet w literaturze dziecięcej). Podobnie zjawiska kulturowe, jak *Teatr Okrucieństwa* A. Artauda (oraz pewne rzeczy przed nim i po nim), czy na podwórku literatury niderlandzkiej poetycka generacja *Lat Pięćdziesiątych* (Lucebert), głosząca wyższość doświadczenia nad tradycją.

W takiej poetyce – w odniesieniu do Wolkersa stwierdził to G. Boomsma – nic niedzieje się obiektywnie, na zewnątrz, bo nie ma na dobrą sprawę „zewnątrz”. Wszystko, co istnieje, ma związek z moją osobą, o ile stworzę ów związek zasięgiem swojej uwagi. To rzuca nas we dwa ognie paradoksu autobiograficzności Wolkersa: między wyłuszczonej właśnie człon „wszystko jest zmyśleniem” (Boomsma) a „nigdy nie fantazuję”. Na poparcie tego zapewnienia Wolkersa sporośmy już powiedzieli – a niejedno można by dodać, jak to, że wszystkie rzeźby, jakie powstały na naszych oczach w trakcie czytania tej powieści, naprawdę istnieją, że kotkę niżej podpisany miał zaszczyt pogłaskać jeszcze w 1976 roku, a jej śmierć nie przeszła w Holandii nie zauważona – i tak dalej. Wszystko to w gruncie rzeczy nie ma większego znaczenia przy ustalaniu stopnia fikcyjności tej prozy. Ani *Oegstgeest* to nie pamiętniki, ani *Rachathukum* to nie zapis brykania Ego pisarza na wolności. „To, że u mnie przypadkowo

wszystko naprawdę się wydarzyło, jest tylko jakąś osobliwością – mówi Autor – chyba najdziwniejsze we mnie jest to, że rzeczywistość po prostu pokrywa mi się z symbolicznością”. Dla K. Fensa przypadkowa jest „tożsamość rzeczywistości obiektywnej i przeżycia rzeczywistości przez Jana Wolkera”. Ale naprzeciw prawdy, po stronie zmyślenia, sam. Autor obstawia takie komiksowe motto: „Wszystko, co ci się przytrafiło, zdarzyło się tylko w twojej wyobraźni”. Wyobraźnia widzi bowiem związki, które faktycznie nie istnieją (o postaciach Wolкера od początku mówiono „ofiary wyobraźni”). Dla artysty wszystko jest bardziej znaczące, podług Nietzschego (inne motto) artystą jest się za cenę tego, że jako treść, istotę rzeczy postrzega się to, co inni uważają za formę. Dobrze to widać w sytuacji powrotu bohatera na miejsce ukształtowania, jak w *Oegstgeest*, gdzie artysta chodzi po placówce z planem rozebranego domu w głowie, bierze co rusz z którejś sterty byle cegłę albo deskę i wzruszony rozpamiętuje te miejsca w domu, w które one były wbudowane.

Najwyraźniejszą warsztatową konsekwencją tego paradoksu prawdy i fikcji jest w *Rachatlukum*, ale nie tylko tam, tak zwana totalna narracja. Nie ma w niej nic prócz opowiadania, osobne partie opisowe właściwie nie istnieją, opis jest wbudowany bez reszty w opowiadanie zdarzeń. Całą tę powieść można za Fensem określić jako „zdarzenie totalne”, gdzie wszystko, co się opowiada, ma ze sobą związek i oznajmiane jest w porządku linearnym, jakby to była jedna przygoda. Narrator wyrzuca z siebie całą opowieść jednym tchem: tekst nie ma akapitów. Wewnętrznej segmentacji służą zaimki osobowe i wskazujące w funkcji anaforycznej (na ich nadużywanie uskarżają się recenzenci). Jest dużo zdań fragmentarycznych, zwykle są to zdania podrzędne, dopowiedziane po kropce, czasem po wtrąceniu zdania w innej składni. Przy okazji innej powieści powiedziano: „Poprzez

opuszczanie wszystkiego, co drugorzędne, i obłuskanie opowieści tak, aby pozostały elementy w niej niezbędne, Wolkers stworzył superprecyzyjną technikę narracyjną, która zapewnia niespotykaną siłę ekspresji. Jediną rzeczą, jaka przy tej technice czasem przeszkadza, jest to, że Wolkers, ze względu na postawione zadanie, siłą nagina język. Chce nadać mu kształt możliwie swoisty, ale dla precyzji albo ciekawego porównania musi czasem zmieścić w jednym zdaniu tyle informacji, że wyrodnieje ono w budowlę zbyt obszerną i pozbawioną naturalności. Przykładów jest mnóstwo (...). Ale z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że niektóre z tych «wymuszonych wysłowień» stały się perełkami sztuki słowa, jakich nikt prócz Wolkersa by nie umiał stworzyć” (J. Borre).

Inny krytyk tak reaguje na zjawienie się w nowej powieści zdania-olbrzyna: „Oto i ona, pierwsza z fraz retorycznych, w których tworzeniu tak celuje późniejszy Wolkers, poczynając od *Rachatłukum*, i szczególnie tam” (J. Goedegebuure).

Wolkers przełamał więc swoją twórczością nie tylko pewne tabu obyczajowe, ale i stylistyczne. Sprzeczki w obu wypadkach były w Holandii bardzo ostre. Jeden z recenzentów posunął się do stwierdzenia: „Byłaby pora, aby wydawca Wolkersa zaczął redagować jego teksty przed wydrukowaniem” (I. Sitniakowsky). Demonstracyjnie opuszczano wieczory autorskie, ganiono „obrzydliwe sceny” i słownictwo rodem z błota. Dopiero po jakimś czasie uwierzono bodaj Wolkersowi, że „zwykłe słowa to najlepsze słowa”, gdyż „są to nazwy, jakie ponadawał lud”. Artyzm języka nie polega wszak na ściboleniu eufemistycznych wyszywanek, ale na obrazowości w podawaniu motywów (ktoś powiedział, że *Oegstgeest* byłoby nudne, gdyby nie wspaniałe obrazy). I tu smakoszy niepokoiło, gdy na przykład chory mówił, że czuje się jak druciana suszarka do naczyń. Zapomnieli, że konał spec od artykułów

gospodarstwa domowego. To, że „przy całej szorstkości postaci powieściowe Wolkersa znają chwile wielkiego wzruszenia” (Itterbeek), w języku zaś oraz zachowaniach jednej osoby współistnieją tkliwość i wulgarność, dla niektórych było nie do pomyślenia. Na ogół jednak zjednywało to postaciom tych prostolinijnych buntowników sympatię publiczności (miliony czytelników w Holandii i za granicą). Obok zaś komizmu i ironii powyższa osobliwość kompozycji chroni tę prozę przed melodramatyzmem, tkwiącym w jej materiale. A czy można się z kolei dziwić, że dramatyczne relacje rodzinne to stały temat pisarza, który za punkt honoru poczytuje sobie pisać prosto o rzeczach, które każdego dotyczą? Że wraca więc do pewnych wątków, wcześniej zapowiada tematy? On wciąż chodzi po domu dzieciństwa i młodości, który ciągiem znaczących obrazów zachował się tylko w jego pamięci i jako taki nie zaistniał nigdzie więcej. Może artystą jest się nie przez to, że wszystko pod twoim dotknięciem zmienia się w złoto treści, ale że nie zapamiętuje się niczego, co nie jest znaczące, co nie skleiło się w żaden znaczący motyw i wątek. Boć przecież tworzywem nie są zdarzenia, ale sensory. I cokolwiek ma być przechowywane lub przekazane, musi być zapakowane. I tyle możesz wysłać przesyłek, ile masz opakowań. A dlaczego i dokąd wysyłać?

Pamięć istnieje przez motywy i ich zlepki, więc jest właściwie utworem.

Osoba ludzka (w odróżnieniu od natury zwierzęcej i jednostki społecznej jako dwóch innych wymiarów człowieka) polega w swoim istnieniu wyłącznie na pamięci.

Nie jestże więc każdy z nas swoim własnym utworem przez to, jaki materiał zapamiętał i jak go każdorazowo aranżuje, jakimi nićmi coś do czegoś fastryguje?

A gdy ze śmiercią rwą się nitki, czyż nie rozpadamy się znów na

pojedyncze anegdoty?

Krążą jeszcze jakiś czas niczym pozostawione na tym świecie i dziczejące psy: plotka na nasz temat, świński dowcip, video-clip. Tylko spisane echa dłużej trwają.

Jak antyczni zwycięzcy olimpiad, co zamawiali ody u Pindara, wiemy, że jest tylko jeden sposób na to, żeby JA mogło przeżyć ojca i przetrwać śmierć – jest nim piękna pieśń.

Andrzej Dąbrówka

Podkowa Leśna, w listopadzie 1988

